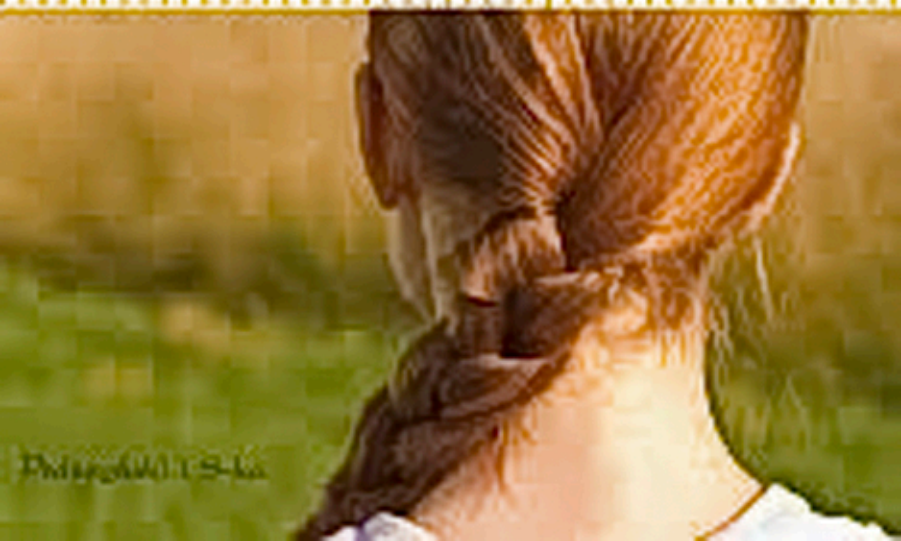




ZA OKNEM CUKIERNI



Sarah-Kate Lynch



ZA OKNEM CUKIERNI

Sarah-Kate Lynch



ZA OKNEM CUKIERNI

Przełożyła Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

*Mojej matce Margaret Lynch
i wszystkim pomocnym wdowom na całym świecie*

I

Lily po raz pierwszy zobaczyła drugą kobietę swojego męża i dwójkę ślicznych dzieciaków na laminowanym zdjęciu przemysłnie ukrytym pod wkładką jego lewego buta do gry w golfa.

Mimo doznanego wstrząsu i całkowitej pewności, że to dzieci Daniela, zwróciła uwagę na niezwykle praktyczny szczegół: zdjęcie było laminowane, i to już samo w sobie o czymś świadczyło.

Obrazy życia, jakie znała Lily, mogły rozplynać się w powietrzu, by już nigdy więcej się nie ukazać, ale obraz tego innego życia, o którym do tej pory nie miała zielonego pojęcia, trzymała w dłoni, solidnie zabezpieczony po wsze czasy.

Ostatecznie taki jest cel laminowania: nadanie czemuś trwałości. Nie laminuje się tego, co nieważne, albo jeśli nie ma się pewności, że jest ważne; na przykład listy zakupów w Fairway czy zdjęcia włoskich szpilek, wyciętego z ostatniego numeru „Vogue’a”.

Laminujemy coś tylko wtedy, gdy chcemy, żeby trwało dłużej, niż uprzednio zakładaliśmy, drukując to coś na papierze, który mógł zostać poplamiony keczupem albo pożółknąć od słońca.

Lily wywnioskowała, że laminowane zdjęcie nieznannej kobiety i dzieci stanowiło coś bardzo cennego, skoro wymagało najlepszego zabezpieczenia. Było dla Daniela tak ważne, że postanowił chronić je przed grzybicą, potliwością stóp i wszelkimi zagrożeniami, które na nie czyhały, gdy udawał się do Klubu Golfowego Manhattan Woods. Chciał je mieć przy sobie na wieki wieków amen, a przynajmniej tyle czasu, ile wynosi trwałość plastiku, czyli jakieś pięćset lat, o czym Lily przypadkiem wiedziała. Daniel umrze i zostanie pochowany, i ona, i wszyscy na zdjęciu, but do gry w golfa ulegnie

rozkładowi – może z wyjątkiem dwóch brązowych skuwek sznurowadła – a zdjęcie szczęśliwej „rodzinki” wciąż będzie istnieć.

Odkładając but, Lily przypomniała sobie o grzybicy, której Daniel nabawił się w zeszłym roku. Czyżby powodem było to fotogeniczne trio? Zdjęcie sprawiło, że pod podeszwą utrzymywała się większa wilgotność? Stworzyło idealne warunki dla rozwoju złośliwych zarodników po zaliczeniu przez Daniela osiemnastu dołków w dolinie Hudson? Wydał majątek na wizyty u podiatry; wiedziała, bo sama płaciła rachunki.

Ustawiła równiutko buty na półce, chociaż właściwie nie wiedziała dlaczego. Powinna zrobić coś zupełnie innego. Jej życie przed chwilą legło w gruzach. Właściwie należałoby oddać je do laminowania, żeby zachować na zawsze w takim kształcie, jaki jej odpowiadał.

Irytujące: gdyby uznała, iż należy to zrobić, zrobiłaby. Miała naturę pedantki. Zawsze dopracowywała szczegóły, stawiała kropkę nad „i”. Ale najpierw trzeba wiedzieć, że należy postawić kropkę nad „i”. Jeśli wydaje nam się, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, nie zaprzątamy sobie tym głowy, bo zwykle jest milion innych spraw wymagających uwagi.

Ciekawe, dlaczego Daniel wybrał sobie akurat but do gry w golfa.

Żeby móc wyjąć zdjęcie swojej rodzinki z torby sportowej, kiedy jechał z Jordiem i Dave’em, patrzeć na dzieciaki, siedząc z tyłu jeeпа Jordiego, gdy rozmawiali o handlu nieruchomościami albo o drużynie Knicks?

Uznała, że wnętrze samochodu nie gwarantuje dostatecznej intymności. Chyba że Jordie i Dave o wszystkim wiedzą, w co wątpiła, bo Jordie potrafił rozmawiać wyłącznie o nieruchomościach i drużynie Knicks, a Dave w ogóle się nie odzywał. Nie potrafiła ich sobie wyobrazić, analizujących zagrożenia stwarzane przez skrzywioną podstawkę pod piłeczkę, a co dopiero przez niewierność.

Nie, była niemal pewna, że laminowane zdjęcie nie miało żadnego związku z golfem.

Rozejrzała się po szafie męża. Reszta butów – wszystkie czarne i niemal identyczne – stała równiutko na trzech półkach. No cóż, nie miał za grosz polotu, jeśli chodzi o obuwie. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyła?

Chyba nie ukrył nic w podobnych do siebie pantoflach, bo traciłby zbyt wiele czasu, próbując to odnaleźć. Miał parę szarych butów do biegania, ale były zbyt przepecone, by dać odpowiednie schronienie jego laminowanej rodzinie (grzybica, której by się nabawił, przypuszczalnie by go zabiła), a mokasyny – uważnie im się przyjrzała – miały przyklejoną wkładkę.

Brazowo-białe buty do gry w golfa z zalotnymi skórzanymi frędzelkami naprawdę stanowiły oczywisty wybór. Mógł się wślizgnąć do garderoby i z łatwością wygospodarować kilka chwil, by w samotności pogapić się na zdjęcie. Poza tym Lily nie grała w golfa. Spróbowała kiedyś, ale uznała to za stratę czasu. Mogła skuteczniej spalać kalorie na kilkanaście innych sposobów, więc już dawno zrezygnowała z golfa. Daniel wiedział, że ona nigdy nawet nie dotknie tych właśnie jego butów.

Prawdę mówiąc, nie interesowała się zawartością szafy męża. Naprzeciwnie tej, w której w odległości pięciu centymetrów jeden od drugiego wisiały jego garnitury, miała własną. W szafie Lily, takiej samej wielkości, ubrania wisiały ściśnięte, a każda para butów była jedyna w swoim rodzaju. Poza tym nie skrywały żadnych tajemnic. Z jednym wyjątkiem – ceny pewnej pary: skłamała, zdając sobie sprawę, że to szaleństwo zapłacić aż tyle za pantofle.

Wszystko przez Pearl, jej asystentkę u Heigelmana. W sobotę Daniel obchodził urodziny i Lily zamierzała mu kupić koszulkę polo. Zaskoczyła ją reakcja Pearl, kiedy zwróciła się do niej, by to załatwiła.

– Wszystko, co każesz – odparła Pearl. – Byle nic niebieskiego ani zielonego, zgoda?

Pracowały razem od siedmiu lat; Lily wiedziała, że lepiej nie lekceważyć opinii Pearl.

– Naprawdę? A to czemu? – spytała zaintrygowana, bo Danielowi dobrze było w tych kolorach. Zielony podkreślał kolor oczu, a niebieski siwiznę, która coraz mocniej przyprószała jego gęste blond włosy. Z wiekiem wyglądał coraz lepiej, ale sam zdawał się nie dostrzegać, że jest przystojnym mężczyzną. Kochała go za to. I za jego dobroć, za uśmiech. Za to, że nie robił z niczego problemu. Nie robił z niczego problemu? No właśnie.

– W zeszłym roku na urodziny dałaś mu niebieską koszulę, a na gwiazdkę zieloną – przypomniała Pearl, kręcąc głową z dezaprobatą. Taka asystentka to skarb, ale Lily miała ochotę pociągnąć ją za pukiel czarnych błyszczących włosów. Pamiętała, ile palet towaru wysłano z Wirginii do Vermont w którymś tygodniu i ile to kosztowało z dokładnością do centa, dlaczego więc nie potrafiła zapamiętać, co dała mężowi w prezencie?

– Zawsze możesz mu dać krawat – podpowiedziała Pearl.

– Daniel właściwie nie nosi krawatów – odparła Lily, chociaż to nieprawda, co więcej, asystentka prawdopodobnie widziała go pod krawatem przynajmniej kilkanaście razy. – Nie za często – dodała. – To znaczy już nie.

Pearl zasznurowała usta i uniosła brwi, cud, że nie odfrunęły.

– Wiesz co? – Lily przycisnęła palec do czoła, udając, że nagle doznała olśnienia. – Mam inny pomysł. Dziękuję, Pearl, ale chyba sama się tym zajmę.

Do końca dnia łamała sobie głowę, próbując wymyślić jakiś prezent, aż przypomniała sobie, że Daniel od paru tygodni narzeka, jeśli można to nazwać narzekaniem, że podeszwy jego butów golfowych są zniszczone, popękane czy co tam jeszcze.

Nie zwróciła uwagi, kiedy o tym wspomniał, ale teraz postanowiła zerwać z tradycją kupowania koszul w prezencie, którą nieświadomie zapoczątkowała, i podarować mu buty do gry w golfa. Tyle że zapomniała, jaki numer nosi.

Powinam była to wiedzieć? – zastanowiła się, znów rozglądając się po jego szafie. Czy żona, która pamięta, co daje mężowi w prezencie, i wie, jaki numer butów nosi mąż, jest mniej narażona na znalezienie pod wkładką do buta laminowanego zdjęcia pięknej kobiety z dwójką dzieci?

Właśnie po to chciała sprawdzić, jaki rozmiar butów nosi mąż. Zajrzała do jego szafy. Odwróciła but i wyleciało z niego zdjęcie drugiej rodziny Daniela. Gdyby wiedziała, jaki numer obuwia nosi mąż, albo wzięła prawy but, istnienie drugiej rodziny pozostałoby tajemnicą.

Spojrzała na laminowaną fotografię i poczuła, że musi usiąść. Gdyby miała skłonności do gwałtownego okazywania uczuć, pewnie

by wybuchła, ale nie należała do tego rodzaju kobiet. Jej emocje, nad którymi zwykle panowała, zdawały się zwiastować burzę. Lily uświadomiła sobie, że drżą jej nogi. Musi usiąść. To normalny odruch. Dobrze.

Przysiadła na brzegu łóżka. Mała dziewczynka na zdjęciu miała jakieś pięć lat, a chłopczyk ledwo co wyrósł z wieku niemowlęcego.

Niemowlę.

Z jej ust wyrwał się zduszony jęk, przypominający skomlenie szczeniaczka.

Gapiała się na kobietę na zdjęciu, przesuwając palcem po ostrej krawędzi twardego plastiku. Właściwie nie była ładna, przynajmniej zgodnie z amerykańskimi kanonami, jak Lily, ale odznaczała się dziką, wyzywającą urodą, jak na „tę drugą” przystało, może nie groźną, ale drapieżną. Miała wąskie usta, wydatne kości policzkowe, wiatr rozwiał jej ciemne, niesforne włosy, uśmiechała się do fotografa, niewątpliwie był nim Daniel, mąż Lily od szesnastu lat; zdaniem wszystkich znajomych tworzyli idealną parę.

Dotknęła buzi dziewczynki. Miała długie, ciemne włosy jak matka i taką samą bezczelną dzikość, ale oczy Daniela i identyczny jak on dołeczek w brodzie. Stała przed matką i śmiało spoglądała w obiektyw, jakby rzucała wyzwanie robiącemu zdjęcie.

Maluszek zwrócił buzię w stronę mamy i śmiał się z tego, co wiatr wyczyniał z jej włosami. Był w bawełnianej koszulce i niepasującym do niej pajacyku w paski. Lily miała pełne szuflady ubranek, w których bobas wyglądałby o niebo lepiej. Uniósł tłusciutką rączkę, jakby chciał złapać błyszczący czarny kosmyk, unoszony wiatrem. Wyglądał identycznie jak Daniel na wszystkich swoich zdjęciach z okresu niemowlęctwa. Identycznie.

Powinna się rozplakać. A nawet poryczeć. Ale płacz wydawał się zbyt trywialny, a ryk – upokarzający. Łzy i szloch są odpowiednie na innego rodzaju bolesne przeżycia. Nie na takie jak to. Znów zauważyła zdumiona, że drżą jej ręce, a na czole wystąpiły kropelki potu.

Lily zbudowała swoją karierę zawodową na nieomyślności, nigdy nic jej nie zaskakiwało. Zawsze miała stuprocentową pewność.

Dzięki temu została wiceprezesem firmy, która trafiła na listę pięciuset najlepszych przedsiębiorstw sporządzaną przez liczący się, opiniotwórczy magazyn „Fortune”. Odniosła sukces i miała pieniądze. Było to coś, co ceniła sobie najwyżej.

A teraz stała w obliczu największego kryzysu w swoim życiu osobistym, jej zdolność oceny sytuacji zawiodła; najchętniej zwinęłaby się w kłębek w jakiejś mysiej norce daleko stąd, liżąc rany, unikając światła, zostawiona na pastwę losu.

Lily traktowała ich związek, a nawet chyba samego Daniela, jak zawleczkę w granacie swojego życia: może nie coś szczególnie fascynującego, ale jeśli ją pociągnąć, nastąpi wybuch. Wszystko rozprysnie po najodleglejszych zakątkach wszechświata i nigdy nie uda się jej tego pozbiierać.

Co z tego, że ostatnio więcej uwagi poświęcała pracy niż mężowi – czy jest kobieta, która na jej miejscu zachowywałaby się inaczej? Przez kilka lat pracowała nieco mniej intensywnie i z nadzieją wgapiła się w pustą kołyskę. Bezdietne mężatki nie mają innego wyjścia, jak skupić się na karierze zawodowej, i całkiem zrozumiałe, że szybciej awansują. Lily mogła zostawać w biurze po godzinach, bo nie musiała odbierać z przedszkola jasnowłosego chłopczyka ani pędzić na występ baletowy zielonookiej dziewczynki.

W wieku czterdziestu czterech lat Lily nie miała co liczyć na jasnowłosego chłopczyka czy zielonooką dziewczynkę. Już to przerażała i wiele lat temu się z tym pogodziła.

Machinalnie odwróciła fotografię i ku swemu osłupieniu zobaczyła pół zdjęcia Daniela, kobiety i niemowlęcia. Właściwie całe zdjęcie, ale było na nim widać tylko połowę Daniela. Niechybnie zrobiła je mała dziewczynka; trzymając aparat pod zwariowanym kątem, uwieczniła dorosłych od pasa w dół i grubiotką nóżkę niemowlęcia.

Lily zauważyła pasek od Prady, który podarowała Danielowi na któreś urodziny. (Nieprawda, że zawsze dostawał od niej koszulki polo!). Może na trzydzieste piąte? Kupiła go w sklepie Bergdorf Goodman po szczególnie obiecującej wizycie u ginekologa-położnika. Pamiętała, jak szła przez sklep, czując się tak, jakby płynęła w rzece szampana. Tym razem się uda, niemal podśpiewywała

sobie, tym razem się uda. Pasek kosztował prawie trzysta dolarów, ale zapłaciłaby za niego nawet trzy tysiące. Okazało się jednak, że i tym razem nic z tego.

Na zdjęciu nie było widać ramion Daniela, więc nie wiadomo, czy obejmował kobietę, ale stykali się biodrami. Gdyby nie dzieci tak podobne do Daniela, czy nie mogłyby to być biodra dwójki znajomych? Lily wyteżyła wzrok, fotografia miała wielkość karty do gry, biodra tworzyły trójkąt i zajmowały połowę zdjęcia. Ale kobieta wyraźnie przyciskała się do mężczyzny. Krągła, właściwie biodrzasta, gdyby być złośliwym. Miałyby kłopot ze znalezieniem dobrze leżących na niej dżinsów, może dlatego zdecydowała się na portfelową sukienkę w tureckie wzory w kolorze oczu Daniela, która podkreślała wydatny biust i wąską kibić, a maskowała rozłożyste biodra.

W trójkącie niezajmowanym na zdjęciu przez Daniela, kobietę i dziecko miękkie światło padało na odległe złote wzgórza, gdzieś niedaleko porośnięte olówkowatymi cyprysami. Równe rzędy posadzonych kaskadowo roślin, z pewnością winorośli, ciągnęły się w stronę okrągłej, starej kopuły kościoła o murach koloru miodu. Za kościołem wznosiła się dzwonnica.

Lily zdusiła jęk.

Domyśliła się, gdzie zrobiono to zdjęcie. A świadomość tego, gdzie je zrobiono, jeszcze bardziej utwierdziła ją w przekonaniu, że się nie myli – życie, jakie wiodła do tej pory, to już przeszłość.

W Nowym Jorku ani jego sąsiedztwie nie ma takich kościołów. Takie kościoły spotyka się we Włoszech.

Daniel miał bzika na punkcie Włoch, i to od zawsze. Kiedy się poznali, opowiedział jej o sąsiadach Włochach; traktowali go jak wnuka i uważali za członka swojej licznej rodziny. Jedynakowi, którego życie bynajmniej nie było radosne, owi sąsiedzi – dlaczego nie może sobie przypomnieć ich nazwiska? – zapewnili swego rodzaju beztrioską przystań wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebował.

Daniel chciał, żeby spędzili miesiąc miodowy we Włoszech, ale uznała, że to za daleko i powinni odpocząć po wyczerpujących przygotowaniach do ślubu i wesela.

Pojechali do malutkiego, romantycznego domku w Maine, gdzie pogoda była fatalna, co wcale im nie przeszkadzało.

Kiedy Lily się obudziła o poranku w ramionach świeżo poślubionego męża, po raz pierwszy w życiu załała ją fala niczym niezmaconego szczęścia.

Nawet teraz, tyle lat później, przywołując tamte chwile, doznała tego samego rozkosznego odczucia. Aż dostała gęsiej skórki, łzy napłynęły jej do oczu, takiego uniesienia nawet sobie nie wyobrażała.

Wtedy leżała naga, deszcz bębnił w dach nad jej głową, a ona patrzyła na śpiącego Daniela i upajała się wizją ich cudownej wspólnej przyszłości.

Byli zakochani, szczęśliwi. Myślała, że nadal tak jest. W porównaniu z rozwiedzionymi czy też tkwiącymi w nieudanych związkach przyjaciółmi Lily i Daniel stanowili dowód niemożliwej nierozdzielności małżeństwa mimo rozczarowania, które ich spotkało, a o którym nie rozmawiali. Daniel zawsze traktował ją z szacunkiem i okazywał pełne oddanie. Był dobry, taktowny, kochający. Ona też. Przynajmniej tak uważała. Często, nie bez zazdrości, robiono uwagi na temat ich wzajemnego przywiązania. Była dumna z ich małżeństwa, z męża, z siebie.

Wstała, wciąż ściskając w ręku zdjęcie, i podeszła do okna ich sypialni. Wychodziło na Zachodnią Siedemdziesiątą Drugą Ulicę aż do Central Parku. Tego ranka drzewa mieniły się, poruszone łagodnym letnim wietrzykiem. Kochała ten widok. Kochała park. Kochała swoje mieszkanie, swoje życie.

Zadała sobie pytanie, kiedy ostatni raz rozważała, czy naprawdę wciąż kocha Daniela. Po szesnastu latach małżeństwa nieczęsto sobie tym zaprzętała głowę. Było tyle innych spraw. Mnóstwo obowiązków i absorbująca praca. Kto miałby czas, żeby siedzieć i rozmyślać o kondycji swojego małżeństwa, zwłaszcza gdy wszystko świadczyło, że nic mu nie zagraża?

Znów spojrzała na kościół na zdjęciu.

Tolerowała miłość Daniela do Włoch, mimo że nie podzielała fascynacji kuchnią i trunkami, ale całym sercem go popierała, kiedy odkrył sposób przekształcenia swojej pasji w coś, co można uznać za dochodowe zajęcie: znalazł dla siebie niszę na rynku, występował jako kupiec włoskich win, importował wino z charakterem

Brunello i drogie Vino Nobile dla kiperów zaopatrujących renomowane restauracje i winiarnie na Manhattanie.

Ją pochłaniała praca u Heigelmana, nigdy nie budziło jej niepokoju, że jeden tydzień w miesiącu spędzał w Toskanii. Trwało to przez ostatnich dziesięć lat. Właśnie teraz też tam bawił, niewykluczone, że w towarzystwie kobiety o egzotycznej urodzie i ich dzieci.

Czuła w piersiach ból, chyba tak boli złamane serce. Ale zastanawiające, że ten ból nie był dla niej czymś zupełnie nowym. Prawdę mówiąc, znała znała go aż nadto dobrze. Może każdy człowiek potrafi znieść tylko określoną dawkę cierpienia i rozczarowań. Może każdy człowiek osiąga taki punkt, kiedy wszystko się odbija, nie zostawiając śladu wgniecenia.

Lily czuła pustkę. Jakie to adekwatne. Tragiczne, ale adekwatne. Pustka!

Przez te wszystkie lata torturowała swoje ciało, swój umysł i to biedne, obolałe serce – nie wspominając o koncie bankowym – starając się o dziecko. I przegrała. Nie była przyzwyczajona do porażek, z tą też niełatwo się pogodziła, ale w tym trudnym okresie nie załamano się dzięki temu, iż odnosiła sukcesy zawodowe i miała niezachwianą pewność, że Daniel kocha ją bez względu na wszystko, że ona jest dla niego najważniejsza, a nie marzenia, których nie udało się urzeczywistnić.

Okazało się, że przez cały ten czas urzeczywistniał marzenia na drugim końcu świata z inną kobietą.

Spojrzała na zegarek. Była jedenasta rano, niedziela.

Wsunęła zdjęcie do kieszeni jedwabnego szlafroka, przeszła korytarzem do kuchni, otworzyła lodówkę. Stała tam pełna butelka orzeźwiającego białego pinot grigio. Próbowano ograniczać liczbę kalorii; wino niekorzystnie wpływało na jej talię, odkąd skończyła trzydziestkę. Od paru lat miała zwyczaj pić samotnie, kiedy Daniel wyjeżdżał.

Nigdy nie paliła, nie zażywała narkotyków nawet okazjonalnie, udawało jej się nie ulegać pokusie jedzenia czekolady. Kieliszek wina od czasu do czasu był jedyną słabostką, na jaką sobie pozwalała. Z upływem lat z jednego kieliszka po pracy zrobiły się dwa, później trzy, a potem bywało, że opróżniała całą butelkę w ciągu wieczoru.

Kochała to błogie ciepło, które ją ogarniało po każdym kolejnym łyku, ale nie lubiła podpuchniętych oczu i przytępionego umysłu następnego ranka. No i te kalorie!

Daniela nie było od trzech dni, a ona nie wypila ani kropelki.

Wyciągnęła korek i nalała wino do wysokiego kryształowego kieliszka, wcale sobie nie żałując.

2

Violetta obudziła się, czując, jak siostra dźga ją w pachę dużym palcem u nogi. Uniosła głowę nad poduszkę i zobaczyła Lucianę w drugim końcu rozchwiezanego, starego łóżka. Ruszała pomarszczonym nosem, oczy jej błyszczały, rozciągnęła usta w uśmiechu, ukazując niepełny garnitur zębów, wykrzywionych w różne strony.

– Boli! – syknęła piskliwie Luciana, znów dźgając Violetkę paluchem w pachę. – Jestem tego pewna, siostrzyczko. Tak, chwała niech będzie świętej Annie di Chisa. Z całą pewnością boli!

Violetta potarła pomarszczony nochal.

– I łaskocze, prawda? – zawołała Luciana. – Wiem to. Łaskocze! I czuję zapach! Czujesz zapach? Bo ja tak!

Obie niczym krety wystawiły nosy i wciągnęły powietrze.

– Kwiat pomarańczy! – zapiszczała Luciana. – Tak wyraźny, jak starcze plamy na twoich policzkach, Violetto. Kwiat pomarańczy!

Violetta skinęła głową. Od dziesiątków lat mocna woń kwiatu pomarańczy zapowiadała siostrze, że to będzie wyjątkowy dzień. Rano Violetkę budziło łaskotanie w nosie, a Lucianę – ból w palcu u nogi. Potem dochodził je zapach kwiatu pomarańczy i wywoływał podniecenie. Wtedy raz dwa zwoływały zebranie i układały plan działania.

– Och, też jestem w odpowiednim nastroju – powiedziała Luciana. – A przynajmniej będę, kiedy uda mi się wstać i rozruszać stare kości. Możesz mi pomasować palec u nogi? Za każdym razem jest coraz gorzej. A jak tam łaskotanie w nosie?

– Koniecznie musisz być w takim dobrym humorze? – Violetta czuła się jak kęs niewyrobionej gliny, porzucony w upalny letni dzień: suchy i bezkształtny, nic nie przywróci mu dawnej świetności. – Jeśli od samego rana człowiek jest taki zadowolony, do końca dnia już nic go bardziej nie ucieszy.

Niemniej jednak jedną rękę wyciągnęła pod kołdrą, by wymacać nogę siostry, a drugą odsunęła cienką firankę, by wpuścić do środka pierwsze łagodne promienie słońca.

Na dworze lekka toskańska mgła spowijała wzgórza Val d’Orcia. Ale na horyzoncie kłębiły się ciemne chmury. Nic dziwnego, że tego ranka słońce było potulne. Zanosiło się na deszcz.

Violetta znów zmarszczyła nos. Zwykle lubiła to łaskotanie, nieukończenie przyjemniejsze od kręcenia wywołującego kichanie; podniecało. Ale dzisiaj niezbyt ją cieszyło. Dzisiaj było jakoś inaczej.

Puściła palec Luciany, wygrzebała się spod stosu kołder i koców, poczłapała do krzywej toaletki w kącie małego ciemnego pokoju.

Wzięła ze środkowej półki pokrytą śnieżną ramkę ze zdjęciem przystojnego młodzieńca w wojskowym mundurze. Przybliżyła fotografię do ust i pocałowała ją, a potem krzyknęła zaskoczona.

– Co, u diabła, on tu robi? – Gniewnie spoglądała na zdjęcie.

Luciana uniosła wzrok i nim niewinna pomyłka zdołała się przerodzić w coś poważniejszego, poprosiła siostrę, żeby dała jej fotografię.

– Nie rób afery – powiedziała ostrzegawczym tonem. – To jedynie znaczy, że masz coraz słabszy.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, że ma coś, czego stan mógłby się jeszcze pogorszyć, Violetta podała jej fotografię, a potem podreptała z powrotem do toaletki, gdzie na półce stało jeszcze jedno zdjęcie w zaśnieżonej ramce, na pierwszy rzut oka identyczne. Temu najpierw przyjrzała się na odległość wyciągniętej ręki – rzeczywiście wzrok szybko jej się pogarszał – i upewniwszy się, że przedstawia właściwą osobę, złożyła na nim pocałunek.

– Dzień dobry, Salvatore. Mam nadzieję, że dobrze spałeś. – Poczuli w piersiach przeszywające ukłucie bólu. Pomyślała, że nie pierwszy raz. A może to coś nowego, by wprawiać ją w zakłopotanie, jak tyle innych rzeczy?

- Dzień dobry, Silvio - przemówiła Luciana do swojego zdjęcia.
- I uważaj, gdzie się ustawiasz, inaczej znów trafisz do szuflady z serwetami.

- Zaparzę kawę. - Violetta udała, że nie dosłyszała słów siostry.
- Pora wstawać. Mamy dziś dużo roboty, nawet jeśli będą to tylko rozmyślania.

Zdaniem Luciany myślenie nie wymagało robienia szpagatu ani biegania wokół *piazza grande*, więc można było się temu oddawać na leżąco. Ale Violetta jest tu szefem. Była dziesięć miesięcy starsza, do niej należało podejmowanie wszystkich ważnych decyzji. Poza tym posiadała tak ważny szósty zmysł, kiedy chodziło o sprawy sercowe, więc Luciana, jak zawsze, ochoczo jej posłuchała.

- Masz rację. Już zaczęłam rozmyślać. A ty?

- Uważam, że zasłużyliśmy na jedno lub dwa szczęśliwe zakończenia, więc lepiej ruszmy tyłki i weźmy się do roboty.

- Naprawdę nie ma powodu, żeby tak zrzędzić - zbeształa ją Luciana. - Doprowadziłyśmy do szczęśliwego zakończenia historię Enrica i córki mechanika - przypomniała siostrze. - Chociaż okazało się, że musiała go znaleźć pod motocyklem, oblanego wiśniówką. Jaką zrobiła minę, kiedy uświadomiła sobie, że to nie krew! Takie momenty warte są, by je zachować w pamięci.

- Tak - powiedziała Violetta odrobinę łagodniej. - To była niezapomniana chwila. - Chociaż niepokój targał jej duszę niczym kociak kłębek włóczki, nadal potrafiła doceniać takie momenty.

- Kocham takie chwile. - Luciana westchnęła. - Chociaż aż dziwne, jak często poprzedza je wielkie zamieszanie.

- No cóż, miłość wiąże się z licznymi komplikacjami - zauważyła Violetta. - A więc do dzieła.

I Luciana wzięła się do pracy. Ale Violetta, krzątając się po kuchni, poczuła, jak dreszcz przebiegł jej po zgarbionych plecach i dołączył do bólu w piersiach, który rozpanoszył się tam jak czujny gołąb, szukający dziury w całym - i ją znalazł.

Chodziło o jej nos, jej pomarszczony nos. Wcale ją nie swędziało. Nic a nic. Ani przez chwilę. I nie czuła, chociaż wciągała powietrze, nawet cienia słodkiego, upojnego zapachu kwiatu pomarańczy.

3

W czasach, kiedy Lily i jej siostra Rose jeszcze ze sobą rozmawiały, wymyśliły własne określenie na kupowanie niestworzonych rzeczy przez Internet po wypiciu za dużej ilości margarity: buszowanie w stanie wskazującym na spożycie.

To w wyniku buszowania w stanie wskazującym na spożycie wybrały się do Madison Square Garden na występ na żywo Madonny tylko dlatego, że Rose usłyszała, jak ktoś powiedział, że Madonna ma obwisłą skórę na ramionach, tak jak każda normalna kobieta.

– Przecież nie lubi Madonny – zdziwił się Al, mąż Rose, w rozmowie z Lily, gdy się o tym dowiedział. – Obie jej nie lubicie.

Jeszcze bardziej się zirytował, kiedy się okazało, że będzie musiał zostać w domu i zająć się Jackiem, ich sześciomiesięcznym synkiem. Tak skutecznie udało mu się wywołać u żony poczucie winy, że Rose próbowała zrezygnować z pójścia na koncert.

– Myślałam, że chcesz zobaczyć, jak ta kobieta się trzęsie – przypomniała jej Lily. – W dosłownym znaczeniu tego określenia.

Poszły, wzięły lornetkę, tańczyły, śpiewały, świetnie się bawiły.

Rok później uczyły awans Lily taką ilością szampana, że wróciły do jej mieszkania, zataczając się, podeszły do komputera i znów oddały się buszowaniu w stanie wskazującym na spożycie. Tym razem zarezerwowały weekend w ośrodku odnowy biologicznej w New Hampshire.

Okazało się, że ten wyjazd był dokładnie tym, czego obie potrzebowały. Lily pracowała czternaście godzin na dobę, a Rose była wyczerpana opiekowaniem się nad wiek rozwiniętym synkiem.

Ale pod koniec pierwszego dnia pobytu Lily się zorientowała, że Rose jest jakaś inna niż zwykle.

– Powiesz mi, co się stało? – zapytała, kiedy zażywały kąpieli błotnej, wysmarowane brunatną mazią, z plasterkami kiwi na powiekach.

– Jestem w ciąży – wyznała Rose.

– Wspaniała nowina. Musisz być przeszczęśliwa! – Lily siliła się na entuzjazm, ale łzy popłynęły jej po twarzy, żłobiąc w glince smutne jasne rowki.

Co gorsza, kiedy urodził się Harry, Lily po prostu uznała, że powinien być jej synkiem. Uważała, że jest mu najlepiej w jej ramionach. Było rażącą niesprawiedliwością, że musiała go oddawać komuś innemu.

Na domiar złego, chociaż potrafiła godzinami rozprawiać z Rose o guziku odpadającym od koszuli albo o kłaczku kurzu stale powracającym na to samo miejsce pod stolikiem okolicznościowym, o tym jednym nie umiała z nią rozmawiać.

Właściwie stwierdziła, że nie może rozmawiać z Rose o niczym. Harry był prześliczny. Świadomość tego tkwiła jej w gardle niczym gula i Lily wołała nie kontaktować się z Rose.

Wykręcając się nadmiarem pracy, unikała wyjazdów w weekendy do Connecticut i przestała zapraszać siostrę do siebie. Rose czuła się winna, że jest taka płodna, poza tym była przemęczona i nie radziła sobie z huśtawką hormonalną. Obraziła się.

Kiedyś Lily przez cztery miesiące nie widziała się z siostrą i siostrzeńcami, a gdy wreszcie się spotkały, zaczęło się źle, a zakończyło jeszcze gorzej.

– Znów jestem w ciąży – zakomunikowała Rose, gdy oglądały szpilki u Barneya. – Tym razem będą bliźniaki. Bardzo mi przykro, Lily. Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę mi przykro, wiem, przez co przeszliście.

Lily rozciągnęła usta w uśmiechu, z którego już słynęła u Heigelmana, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziała.

– Nie mów bzdur. Moje gratulacje! – wykrzyknęła. – Bardzo się cieszę. – A potem zaciągnęła Rose do działu z bielizną – koniecznie chciała kupić jej w prezencie koronkowy stanik i majteczki.

Rose stała z nieszczęśliwą miną w przebieralni, patrząc na waleczki tłuszczu pozostałe po poprzednich ciążach, wyraźnie widoczne w ostrym świetle jarzeniówek.

– Czuję się jak słoń cyrkowy, wciśnięty w mikroskopijną spódniczkę. A za miesiąc będę wyglądać jak dwa cyrkowe słonie, wciśnięte w mikroskopijne tutu. Jeśli nie trzy. Dziękuję Lily, ale nie mogę tego przyjąć. Czuję się jak spasiona krowa. To bardzo ładnie z twojej strony, ale nie chcę tej bielizny. Kup ją dla siebie.

– To stanik ciążowy – zwróciła jej uwagę Lily. – Na co mi on?

Rozstały się w gniewie, Rose płakała, Lily pozostała wyniosła i bezlitosna. Nie mogła inaczej. W przeciwnym razie osunęłaby się na podłogę i już nigdy z niej nie wstała. To, że siostra bała się powiedzieć jej o kolejnej ciąży, tylko pogorszyło sytuację. Rozpacz Lily zyskała realne podstawy. Przemieniła ewentualność tego, że sama nigdy nie zostanie matką, w ponurą i absolutną pewność.

Bliźniaczki, Emily i Charlotte, przyszły na świat. Lily widziała je tylko raz, na chrzcinach.

– Bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś – powiedziała Rose. Oczy jej błyszczały, trzymała niemowlęta na rękach, kiedy spotkała się z siostrą przed kościołem.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłaś – odparła Lily sztywno, czując dłoń Daniela na swoim karku; jakby się bał, że upadnie.

I mało brakowało, aż zakręciło się jej w głowie, gdy patrzyła na swoją siostrę i czwórkę jej ślicznych dzieci, zebranych wokół chrzcielnicy, i na Maryję Dziewicę, spoglądającą na nich z góry z błogim wyrazem twarzy.

Udało jej się wytrzymać godzinkę na obiedzie, ale nawet nie musiała prosić Daniela, żeby zabrał ją do domu. Domyślił się. Malutki Harry, opity słodkimi napojami, wyrwał się swojemu starszemu bratu, Jackowi, i złapał ją za nogę, wydzierając się wniebogłosy, kiedy próbowała wyjść.

– Nienawidzimy bliźniaczek – wrzeszczał. – Nienawidzimy ich.

Teraz bliźniaczki chodziły do szkoły. Lily wysyłała im kartki oraz prezenty na urodziny i na Gwiazdkę (kupowane przez Pearl), ale to wszystko, na co potrafiła się zdobyć.

Dlatego nazajutrz po tym, kiedy odkryła istnienie drugiej rodziny Daniela, zdziwiła się niepomiarowo, gdy portier obudzwszy ją, poinformował, że na dole jest jej siostra.

– Moja siostra? – wychrypiła, patrząc na zegarek. Było po siódmej. Powinna wstać godzinę temu.

– Tak, pani Turner. Pani siostra. – Usłyszała, że pyta kobietę, z którą był na dole, o nazwisko. – Rose. Rose Rickman. Czy mogę ją wpuścić na górę?

– Wpuścić na górę? Chyba tak. Tak.

Nie miała pojęcia, co się stało, że nagle, po tylu latach, Rose przyjechała do Nowego Jorku. Musiała wyruszyć z domu przed piątą.

Wkładając szlafrok, odruchowo spojrzała w lustro. Wyglądała okropnie. Na twarzy rozmazany niezmyty wczorajszy makijaż, na głowie szopa gęstych jasnych nastroszonych włosów; na ich prostowanie dwa razy w tygodniu wydawała majątek, zwykle tworzyły gładki węzeł na karku.

Spryskała twarz wodą, przetarła myjką, tylko częściowo usuwając szkody, nim Rose nacisnęła guzik dzwonka. Z walącym sercem podeszła do drzwi, żeby otworzyć.

– Och, dzięki Bogu, że nic ci nie jest! – Rose wparowała do środka głośno, jak zwykle, jakby nie było między nimi tych wszystkich lat uporczywego milczenia.

Jeszcze przytyła, zauważyła Lily, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z szoku, że ją słyszy, że ją widzi w hallu swojego mieszkania. Ale dobrze jej było z tymi dodatkowymi kilogramami. Wyglądała na taką kobietę, jaką była: nieco udręczoną, ale poza tym szczęśliwą matkę z przedmieścia, o zarumienionych policzkach, bez makijażu, jeśli nie liczyć błyszcząca na ustach, nieprzywiązującą wagi do stroju. Włosy miała podpięte, była ubrana w proste, trochę za luźne dzinsy i zmiętą koszulę. Do tego buty na płaskim obcasie i stary kaszmirowy szal, który czasy świetności miał już dawno za sobą.

– Nic mi nie jest? – Lily, speszona, zrobiła wielkie oczy. Czyżby o czymś nie wiedziała? Co się stało, u diabła? – Jasne, że nic mi nie jest. Dlaczego miałoby mi coś być?

Rose prychnęła.

– Żartujesz sobie ze mnie? Zadzwoiłaś w środku nocy i opowiedziałaś mi, jak to Daniel uwił sobie gniazdko we Włoszech. Nie mogłam spać, tak się o ciebie martwiłam. Nie pamiętasz?

Lily ściślej owinęła się szlafrokiem.

– Zadzwoiłam do ciebie?

– Tak, żeby mi opowiedzieć o tej zdzirze.

– O jakiej zdzirze?

Rose ze zniecierpliwieniem pokręciła głową.

– Och, na litość boską, Lily, oszczędźmy sobie tych wstępów.

– Złapała szal, który zsunął jej się z ramion, po czym wepchnęła go do wielgachnej torby na zakupy. – Musimy stać w hallu? Nie spałam przez pół nocy, jestem wykończona, muszę napić się kawy.

– Oszczędzić sobie jakich wstępów? – Lily starała się ukryć zażenowanie, kiedy szła za siostrą do kuchni. – Nie możesz tak wtargnąć do mojego mieszkania i...

Rose nie zamierzała tego słuchać.

– Wiedz, że zostawiłam Ala w domu z gromadą wrzeszczących dzieciaków, dwoje akurat choruje na ospę wietrzną, a jedno odmówiło wyjścia z domu z powodu „dziewczyńskich zarazków”, zostawiłam wszystko, bo śmiertelnie się bałam, że moja siostra, która nie rozmawia ze mną nie wiadomo od jak dawna, zrobi coś głupiego, na przykład odbierze sobie życie.

– Odbierze sobie życie?

– Właśnie! – Rose ze złością odsunęła dzbanek z kawą. – Sądzisz, że skoro zniknęłaś z mojego życia, nie myślę o tobie? Nie martwię się o ciebie? Niepokoję się jak głupia, a uwierz mi, mam dość własnych zmartwień. Mogę sobie tylko wyobrażać, co przeżyłaś, Lily, i gdybym umiała zamienić się z tobą na miejsca, prawdopodobnie zrobiłabym to, naprawdę, szczególnie dziś. Ale jest jak jest i musimy się z tym pogodzić. Spójrz na siebie, Lily... Wyglądasz okropnie. I byłaś pijana, kiedy do mnie zadzwoniłaś. Pijana! Mówiłaś zupełnie jak mama.

Poczucie wstydu rozdrapało świeżo zabliznioną ranę i przez ułamek sekundy Lily rozważała, czy nie rzucić się Rose w ramiona i nie rozplakać z żalu, który już dawno nauczyła się ukrywać.

Wiedziała, że siostra bez wahania ją przytuli – zawsze była skłonna do wybaczenia, kochająca, lepsza – ale Lily tyle już lat chowała się za maską chłodu i wyniosłości, że nie potrafiła jej zrzucić. Stała, owijając szlafrok ciasno wokół szyi, aż wybawił ją z kłopotu telefon komórkowy Rose, który właśnie zadzwonił.

– Czego znowu? – warknęła Rose. – Nie wiem. Powiedz, że dasz jej mnóstwo cukierków, jeśli nie będzie się drapać. Wymyśl coś! – Przewróciła oczami. – W takim razie powiedz mu, że prawdopodobnie jest więcej „dziewczyńskich zarazków” w naszym domu niż w całym sąsiedztwie, szczególnie na drzwiach do toalety, i że umrze, jeśli przez cały dzień przesiedzi w domu, bo zarazki ospy wietrznej są najgorsze ze wszystkich i nie zważają na płęć.

Przytrzymując telefon ramieniem, naalała kawy do dwóch filiżanek.

– Jezu, Al, przyjechałam tu, żeby pomóc Lily uporać się z jej problemem, a ty... Nie, nic jej się nie stało. Jest taka, jak zawsze. – Odwróciła się, żeby spojrzeć na siostrę, która wciąż stała w tym samym miejscu. – Al cię pozdrawia – rzuciła krótko, ale potem jej twarz złagodniała. – Cześć, kolego. Jak sobie radzisz? Wiem, że cię swędzi, ale przestanie, jeśli nie będziesz o tym myślał. Może tatuś ci poczyta o Harrym Potterze, jeżeli go ładnie poprosisz. Nie chcesz spróbować? No dobrze, to obejrzyj *Transformerów*. Niedługo wrócę do domu. – Roześmiała się. – Dobrze, powtórzę jej. Pa, pa.

Wsunęła telefon z powrotem do torby.

– Harry mówi, że tęskni za tobą.

Lily nic nie powiedziała. Wolala nie myśleć, co się może stać, jeśli otworzy usta.

– Chociaż gdyby zacytowa^e go dokładnie, „tęskni” za tobą, bo stracił przedni ząb w wyniku niefortunnej przygody z udziałem kija baseballowego. – Rose klapnęła przy stole. – Lily, proszę, usiądź. Przez ciebie wszystko wygląda niechłujnie.

Lily odchrząknęła i wolno usiadła, próbując nie myśleć o domu Rose, pełnym drapiących się, słodkich dzieciaków, w którym zawsze panował bałagan i harmider.

– Al nie w pracy? – spytała. Szwagier był budowląncem specjalizującym się w remontach starych domów w stylu kolonialnym, których nie brak w Connecticut, gdzie mieszkali.

– Praca? A co to takiego? – odparła cierpko Rose. – Połowa biednych palantów straciła oszczędności całego życia przez jakąś piramidę finansową, cokolwiek to znaczy, więc nie remontuje domów. Nie ma pracy.

– Jest bezrobotny? Fachowiec w swojej branży, i to najlepszy?

– No cóż, najpierw musi istnieć branża, żeby móc być w niej najlepszym. Teraz jej nie ma. Ja znowu uczę piątoklasistów, Al zajmuje się domem, chociaż prawdę mówiąc, jest w tym beznadziejny, a co gorsza, nie mamy pieniędzy na remont własnego domu, więc popada w ruinę. Przypomina norę z przeciekającym dachem, w którym śmierdzi zgniłą wykładziną dywanową. Nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara, Lily. Uwierz mi.

Zrobiła minę, jakby żałowała, że w porę nie ugryzła się w język.

– O, cholera, nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. – Westchnęła.

– Przecież wiesz. Miałam na myśli pieniądze.

– Jeśli potrzebujesz pieniędzy, Rose – oświadczyła Lily chłodno – jestem pewna, że coś da się wymyślić.

– Nie potrzebuję pieniędzy, a przynajmniej nie od ciebie. Nie o to mi chodzi. – Telefon Rose zadzwonił. – Och, na litość boską! Czego teraz chce?

Odebrała i przez jakiś czas słuchała, mocno poirytowana.

– Sprawdziłeś w bieliźniarce? I w suszarce? W szufladach w ich pokoju? No to nie wiem, Al... Szukaj dalej. Czego ode mnie oczekujesz?

Rozłączyła się i wrzuciła telefon do torby.

– Odnoszę wrażenie, że jesteś bardziej potrzebna w norze z przeciekającym dachem niż tutaj. – Lily wstała zza stołu i podeszła z nietkniętą kawą do zlewu. – Jak widzisz, czuję się świetnie i przykro mi, że straciłaś tyle czasu, przyjeżdżając tutaj, by sprawdzić, co u mnie.

– W porządku, panno zarozumiała, a więc tak zamierzasz to rozegrać? – Na policzki Rose wystąpiły rumieńce, niechybny znak, że za chwilę wybuchnie.

Lily widziała to już setki razy. W dzieciństwie napady złości Rose przeszły do legendy, chociaż na ogół nie Lily była ich powodem; ona przeważnie uspokajała siostrę i przywracała jej dobry humor.

– Proszę bardzo, traktuj mnie jak psie gówno, w które niechcący wdepnęłaś swoim eleganckim pantofelkiem. Mam to w nosie! Ale skoro już tu przyjechałam, pozwól, że ci coś powiem. Nie jestem bardziej potrzebna w norze z przeciekającym dachem niż tutaj, ale i tak wrócę do domu. I pozwól, że powiem ci coś jeszcze: mylisz się, że wszystko z tobą w porządku, Lily. Ale wiesz co? Już nie potrafię ci dłużej współczuć. Po prostu nie mogę. Przez te wszystkie lata było mi ciebie bardzo żal, ale dosyć tego. Dokąd nas to zaprowadziło? Byłyśmy kiedyś najlepszymi przyjaciółkami! Byłyśmy sobie tak bliskie! A teraz? Jak widać postanowiłaś się zapić na śmierć, jak nasza mama. Ale nie zamierzam wychodzić z siebie, próbując cię przed tym powstrzymać, tak jak próbowałyśmy powstrzymać ją. Obie. Razem. Pamiętasz?

Rose i Lily nie rozmawiały o swojej matce. Bolesne doświadczenie bycia córkami Carmel Watson było czymś, co je łączyło na poziomie DNA, ale rzadko mówiły o tym głośno, a nigdy po jej śmierci. Umierała wolno i niegodnie, kiedy siostry miały dwadzieścia kilka lat.

To, że Rose teraz o niej wspomniała, porównując do niej Lily – do zgorzkniałej, złej kobiety, która zmarła na marskość wątroby po żalonym życiu obfitującym w napady szału i pretensji do całego świata – było niewybaczalne.

– Naprawdę powinnaś już sobie pójść. I skoro masz o mnie takie wyobrażenie, chyba najlepiej będzie, jak już nigdy więcej się tu nie pojawisz.

– Nie martw się, już wychodzę. – Rose złapała swoją torbę. – Możesz być spokojna, nigdy więcej moja noga tu nie postanie. Chyba że zadzwonisz zupełnie trzeźwa i poprosisz mnie o pomoc.

– Dziękuję za opinię, przedstawię ją na zebraniu zarządu. – Lily wiedziała, że Rose nie cierpi żargonu biznesmenów. Sztywno odprowadziła ją do drzwi jak niepożądanego klienta.

Rose, wściekła, otworzyła drzwi, ale przystanęła i wypuściła powietrze z płuc, nim przekroczyła próg.

– Jesteś moją siostrą i kocham cię. – Odwróciła się do Lily. Już nie była taka czerwona na twarzy. – Wcale nie mam o tobie złego zdania. Wprost przeciwnie. I w tym tkwi problem. Opiekowałaś się mną przez całe moje życie i prawdopodobnie nie byłoby mnie tutaj teraz, gdyby nie ty, ale przestań być tą zimną, samotną kobietą, jaką się stałaś, Lily. To nie jesteś prawdziwa ty. Wiem, że nie. Jedź i odzyskaj Daniela. Na litość boską, znajdźcie jakieś rozwiązanie. Przyznaję, że to efekt buszowania w stanie wskazującym na spożycie, ale wcale nie taki zły pomysł. Tylko proszę, błagam, zaklinam cię, nie zamiataj tej sprawy pod dywan, Lil.

– Do widzenia, Rose. – Lily zatrzęsnęła jej drzwi przed nosem. Efekt buszowania w stanie wskazującym na spożycie? Co, u diabła, miała Rose na myśli?

4

Violetta i Luciana, powłócząc nogami niczym dwa kulawe kraby, przeszły ze swojego ciasnego mieszkanca do przyległej do niego cukierni oddzielonej wahadłowymi drzwiami.

Rodzina Ferrettich piekła i sprzedawała swoje słynne *cantucci* na długo przed tym, zanim prawie sto lat temu siostry przyszły na świat. I przez cały ten czas niewiele się zmieniło.

Ich *cantucci* – przepyszne włoskie ciasteczka, które można maczać w słodkim winie czy kawie albo jeść bez żadnego szczególnego powodu o każdej porze dnia i nocy – wciąż cieszyły się najlepszą opinią w Toskanii.

To coś, czego siostry kurczowo się trzymały nie tylko dlatego, że było to ich dziedzictwo, ale również dlatego, że bracia Borsolini w swoim sklepie u stóp wzgórza też sprzedawali *cantucci*.

Nie wytwarzali ich sami, tylko sprowadzali z Mediolanu, i według Violetty smakowały jak *cacca*. Ale liczna rodzina Borsolinich robiła świetny interes, sprzedając całe ciężarówki tych ciastek w różnych smakach i kolorach, które nie miały w sobie nic z prawdziwych *cantucci*. Jeden z młodszych synów raz w tygodniu zmieniał wystawę sklepową i trzeba przyznać, miał do tego dryg.

Natomiast siostry Ferretti same wytwarzały *cantucci*, tylko o jednym zapachu (zapachu *cantucci*) i w jednym kolorze (*cantucci*), ale niestety w bardzo małej i coraz mniejszej ilości.

Na marmurowej ladzie w ich cukierni stało kilka wielkich mis ze żłobkowanego szkła, wypełnionych po brzegi ciasteczkami domowej roboty. Nie miały syna – zatwardziałego kawalera, który urządziłby wystawę przyciągającą oko

przechodniów. Ich okno wystawowe wypełniały pusty stolik i jedno krzesło.

Tego szczególnego ranka, ranka bolącego palca u nogi, ale nie łaskotania w nosie, Violetta odstawiła na bok misę ze żłobkowanego szkła i wsparła się na ładzie, by złapać oddech. Siostry spóźniały się z otwarciem sklepu, ale ostatnio wszystko pochłaniało im dwa razy więcej czasu. Nawet schylenie się po ściereczkę, która upadła, mogło trwać pół godziny, jeśli ramiona, stawy biodrowe i kolana odmówiły współpracy. Czasami ściereczka leżała na podłodze, aż odwiedził je ktoś z lepiej naoliwionymi stawami, kto bez większego trudu ją podnosił.

– Kiedy się tak zestarzałyśmy? – zagadnęła Violetta siostrę.

– Chyba w latach osiemdziesiątych. Chociaż któż to pamięta?

Roześmiały się, co zwykle bardziej przypominało odgłosy wydawane przez pustynne zwierzęta, które walczą o piszczącą zabawkę, ale tego dnia rechot Violetty zabrzmiał mizernie.

Zdawała sobie sprawę ze swojego wieku i bała się, tak, bała się, co czeka za rogiem. Starzenie się nie jest dla osób bojaźliwych. Sta-je się źródłem cierpienia, wymaga dużo czasu, a gdy już przyjdzie to najgorsze, na co można liczyć? Dół w ziemi i nagrobek, jeśli się ma szczęście. A zostało jeszcze tyle do zrobienia!

Krzątanie siostr za ladą zakłóciło pukanie do drzwi *pasticcerii*.

– Zaczyna się – mruknęła Violetta, kiedy dwójka duńskich turystów z plecakami wtoczyła się do sklepu i skierowała do misek z *cantucci*.

Siostry natychmiast zaczęły syczeć, jak zepsute rury z gorącą wodą. Luciana wymachiwała fartuchem przed zdumionymi turystami, a Violetta pokręciła głową i z gniewnym pomrukiem podeszła, utykając, do rosnących Duńczyków, po czym pchnęła ich w stronę drzwi, przez które przed chwilą weszli.

Dość szybko się połapali, o co chodzi, i wyszli na ulicę. Sta-li przez chwilę, zdezorientowani, a Violetta nie przestawała ich przeganiać – stała za szklanymi drzwiami, jakby śmiertelnie prze-rażona, że dwójka postawnych, ładnych blondasów próbuje kupić *cantucci* w sklepie z *cantucci* w ich ślicznym miasteczku Montevedova. *Ridicolo!*

– Zawsze możemy wywiesić napis „Zamknięte” – powiedziała Luciana.

– Nie zgadzam się! Nie chcemy, żeby nasze *cantucci* były tak łatwo dostępne jak *cacca* Borsolinich. Póki ludzie będą chcieli je kupować, a my im na to nie pozwolimy, jesteśmy górą.

Sprawdziła, że na drzwiach wisi tabliczka „Otwarte”, przekreśliła klucz w zamku, żeby nikt nie mógł się dostać do środka, a potem obie powłócząc nogami, podeszły do zakurzonych półek w głębi sklepiku.

Z niemalym wysiłkiem przesunęły półkę umieszczoną na wysokości ramion, aż ukazały się ukryte schody za ścianą.

– Jesteś gotowa? – spytała Violetta. Luciana skinęła głową, więc zaczęły schodzić, odpoczywając na każdym z trzech podestów, potem przycisnęły się wąskim korytarzykiem, aż stanęły przed dużymi drewnianymi drzwiami. Violetta zastukała, potem pchnęła drzwi.

Obie starszuszki weszły do dużego, przytulnego pomieszczenia, w którym paliła się lampa. Średniowieczne gobeliny wisiały na ciemnych dębowych ścianach, zza nich wylaniały się częściowo odrestaurowane freski, a w głębi sali magma w trzech lampach woskowych bulgotała w olbrzymim, otwartym kominku. Na stole pod freskiem, wyróżniającym się jedynie tym, że wszyscy na nim – nawet owieczki i osiołki – byli rudzi, stała karafka ze słodkim *vin santo* i tuzin małych kryształowych kieliszków.

W tym pomieszczeniu znajdowała się kwatera główna *La Lega Segreta de Rammendatrici Vedove* – Tajnej Ligi Owdowiałych Cerowaczek.

Początkowo liga, stworzona przez siostry, miała wypełnić pustkę powstałą po śmierci ich mężów-bliźniaków, Salvatore i Silvia, poległych daleko od domu, w Afryce Wschodniej, podczas drugiej wojny światowej.

Oplakując ukochanych mężczyzn, cerowały dziury w skarpetach, i w ciągu kilku miesięcy przyciągnęły kilkanaście innych wdów.

Mężczyźni z Montevedovy, którzy przeżyli wojnę, próbowali dołączyć do członkiń ligi, pojawiali się na spotkaniach, upijali grappą i snuli rozwlekle opowieści o tym, czego prawdopodobnie nie dokonali na polach walki.

Wdowy były niepokieszone, mężczyźni, których straciły, byli wspaniali, a ci, którzy przeżyli, okazali się tacy nieciekawi. Rozwiązały ogólnodostępne stowarzyszenie, przywłaszczyły sobie podziemia katedry, kiedy parafia chwilowo pozostawała bez księdza, i utworzyły tajną ligę.

Doszły do wniosku, że cerowanie skarpet jest trochę nudne, szkoda na to czasu, natomiast poszukiwanie prawdziwej miłości – której wszystkie miały szczęście zaznać i którą wciąż czule wspominały – jest bardziej potrzebne. Innymi słowy postanowiły leczyć złamane serca zamiast cerować skarpetki.

Kiedy Violetę łaskotało w nosie, Lucianę bolał palec u nogi, a powietrze wypełniał zapach kwiatów pomarańczy, to znaczyło niewątpliwie, że kolejna osoba z *calzino rotto* – tajemne określenie na złamane serce – pojawi się na ich drodze. Sztuka polegała na tym, żeby jak najszybciej zidentyfikować osobę z *calzino rotto* i pospieszyć jej na ratunek.

Wdowy całym sercem wierzyły w miłość, szczególnie Violetta, ale ostatnio jakoś trudniej było doprowadzić do szczęśliwego zakończenia, a na dodatek liczebność ligi – z uwagi na naturalny proces wymierania – spadła do tuzina.

Współczesna technika pomagała do pewnego stopnia przetrwać powstałe luki. Kiedy tylko zaczynało je łaskotać i boleć, a w powietrzu unosił się zapach kwiatu pomarańczy, Luciana machała szalem przez okno ich sypialni, by zwrócić uwagę wdowy Ciacci, mieszkającej naprzeciwko posiadaczki telefonu komórkowego. Do jej obowiązków należało poinformowanie innych wdów, które wciąż zachowały wzrok i wystarczająco sprawne palce, że niezwłocznie odbędzie się specjalne spotkanie. To oszczędzało staruszkom trudu przemierzania stromych uliczek Montevedovy, pukania do drzwi i syczenia pod oknami, jak to dawniej miały zwyczaj robić. Kiedy przeciętny wiek członkiń ligi niebezpiecznie zbliżył się do dziewięćdziesięciu dwóch lat, dotychczasowy sposób skrzykiwania się okazał się niewykonalny.

Tym razem większość wdów już się zebrała przed przybyciem sióstr. Weszły przez drugie tajemne drzwi za chrzcielnicą w kościele na tyłach *pasticcerii*. Osiem siedziało na drewnianych krzesłach

o prostych oparciach, tworząc półokrąg, podczas gdy dziewiąta – wdowa Rossellini – spała w najlepsze, półuśmiechnięta, lekko się śliniąc.

– *Buongiorno!* – powiedziały te, które nie spały, na widok sióstr Ferretti.

– Gdzie wdowa Del Grasso? – Doświadczenie nauczyło Violetę, że wynikają nieporozumienia, jeśli instrukcje wydawane są pod nieobecność którejś członkini ligi. Tylko połowa z nich miała dobry słuch, dwie trzecie niedowidziało i nie można powiedzieć, by mocną stroną którejkolwiek stanowiła pamięć. Najlepsze wyniki miały, gdy były wszystkie razem i mogły pytać siedzącą obok wdowę, co przed chwilą powiedziano i co ustalono.

– Wysłałam jej SMS – zapewniła wdowa Ciacci.

– Wdowo Mazzetti, czy można ci powierzyć zadanie przypilnowania, żeby w przyszłości się nie spóźniała? – spytała Violetta. Wdowa Mazzetti, trochę zrozumiiała i bardzo zasadnicza, energicznie skinęła głową.

– Jeśli chodzi o pozostałe, dziś nadszedł dzień, by te, które dobrze widzą, miały oczy szeroko otwarte, te, które dobrze słyszą, nastawiły uszu, a te, które śpią, niech nie przerywają sobie drzemki.

Spojrzały na pochrapującą wdowę Rossellini, która posłuchała polecenia.

– Wszelkie działania prowadzące do zidentyfikowania osoby z *calzino* należy zgłaszać wdowie Ciacci na górze albo... Wdowo Ercolani, czy pracujesz w informacji turystycznej w centrum? – spytała Violetta. – Dobrze. Albo wdowie Ercolani na dole. Wdowa Pacini będzie dyżurować na progu swojego *alimentare* w połowie drogi między nimi. Inne proszę o zajęcie zwykłych punktów obserwacyjnych na progach swoich domów i o modlitwę do świętej Anny di Chisa, żeby wszystko potoczyło się dziś gładko.

W tym momencie rozległo się ukradkowe pukanie, jedna z kobiet zerwała się na równe nogi, co wcale nie stało się tak szybko, jak można by przypuszczać, i otworzyła drzwi.

Na progu stała dwuną, członkini ligi, wdowa Del Grasso. I bynajmniej nie sama.

5

Rozdygotana i pełna najgorszych przeczuć Lily pobiegła do gabinetu, który dzieliła z Danielem. Urządzili go w pokoju, który kiedyś nazywali „dziecinnym”, ale teraz mówili na niego „biblioteka”.

Komputer był włączony. Obok stała pusta butelka po winie i kieliszek, a także leżał żółty notes z wypisanymi godzinami odlotów i nazwami lotnisk. Pusta butelka po winie zaniepokoiła ją, bo druga stała w kuchni.

O, nie, pomyślała błagalnie Lily. Tylko nie to.

Usiadła i kliknęła w pierwszy nieprzeczytany list w swojej poczcie elektronicznej.

Zawierał szczegóły jej wylotu z lotniska JFK do Rzymu dziś o 17.15. W pierwszej klasie. Bilet niepodlegający zwrotowi.

Jakby tego było mało, drugą nową wiadomość przysłano z wypożyczalni samochodów w sprawie wynajęcia auta – z ręczną skrzynią biegów! – na lotnisku Fiumicino.

Trzeci nieprzeczytany list przyszedł z hotelu Prato w Montevedovie, zawierał potwierdzenie rezerwacji pokoju na tydzień.

W Montevedovie? Sądziła, że tam przebywa Daniel? Ale dlaczego? Mógł być gdziekolwiek w Toskanii. Nie wiedziała, gdzie bawił podczas swoich wyjazdów. Zakładała, że jeździł, odwiedzając winnice, spotykał się z producentami win, degustował trunki.

Zauważyła, że wciąż ma otwarte okno przeglądarki internetowej, i nie bez pewnego niepokoju kliknęła w pasek „historia”. Ukazała się długa lista witryn internetowych, które odwiedziła ostatniej nocy, sporo było poświęconych tokańskim czerwonym winom i kościołom.

Zasady dedukcji były jej nieobce: sprawdziła ostatnią witrynę internetową, którą najwidoczniej odwiedziła, nim przystąpiła do bukowania biletu lotniczego. I wcale się nie zdziwiła, kiedy znalazła identyczny kościół jak ten ze zdjęcia w bucie do gry w golfa.

Kościół Madonny di San Biagio znajduje się na zboczu wzgórza w pobliżu Montevedovy – informowała witryna internetowa – na samym końcu malowniczej alei, obsadzonej wysokimi cyprysami.

Z dalszej lektury dowiedziała się, że to jeden z najsłynniejszych kościołów – pasterce objawiła się tam Matka Boska, jak łatwo się domyślić – w części Toskanii słynącej z doskonałych win, i dlatego nawet po opróżnieniu dwóch butelek nie miała kłopotu z jego odszukaniem.

Ale zidentyfikowanie kościoła ze zdjęcia to jedno, a postanowienie udania się na miejsce to zupełnie coś innego. To była spontaniczna reakcja, a Lily rzadko pozwalała sobie na działanie pod wpływem impulsu.

Chociaż kiedyś późnym wieczorem kupiła w Internecie rower treningowy i zupełnie o tym zapomniała. I umieściła swój profil (na całych dwanaście godzin) na Facebooku. W piwnicy wciąż jeszcze trzymała kosmetyki upiększające reklamowane przez Cindy Crawford, które dostarczono pewnego ranka ku jej zdumieniu. O północy, po kilku kieliszkach wina, uznała ich zakup za wspaniały pomysł. Ale chęć upodobnienia się do Cindy Crawford wydawała się czymś rozsądniejszym od tego, co zrobiła teraz. Za parę dni Daniel i tak wróci, do tego czasu zdążyłaby znaleźć wyjście z sytuacji. Nie rozumiała, dlaczego – pomijając, że się raczyła pinot grigio – chciała przyspieszyć cały proces, nim się do tego właściwie przygotowuje.

Wróciła do poczty elektronicznej i zobaczyła wiadomość poniżej potwierdzenia lotu z Alitalii. Nie zauważyła jej wcześniej, bo nie była wyfluszczonej drukim; już ją wcześniej otworzyła i przeczytała. Od Daniela.

To samo w sobie było dziwne. Rzadko kontaktował się z nią z podróży. Wyjeżdżał na siedem, osiem dni i w tym czasie nigdy nie wynikło nic pilnego. Gdzieś ona albo Pearl miały jego numer, bo we Włoszech korzystał z innego aparatu komórkowego,

by zaoszczędzić na kosztach roamingu, ale do tej pory nie musiała z niego korzystać.

Czyżby Daniel przyczajał się podczas pobytów za granicą? Wcześniej jej to nie przyszło do głowy, ale nie miała powodu, żeby coś takiego podejrzewać. Aż do wczoraj żyła w świętym przekonaniu, że jej mąż jest chodzącym ideałem.

Świat zdradzanej żony był dla niej nowy i dziwny. Zupełnie jakby dawną, dobrze znaną przestrzeń nagle oświetlić żarówką w innym kolorze: wszystko znajdowało się na swoim miejscu, ale trudno to było rozpoznać.

Mówiła o Danielu. O swoim Danielu.

Otworzyła list.

Najdroższa Lily – pisał. – Bardzo przepraszam, że cię tym obarczam, ale wyniknęło tutaj coś, czym muszę się natychmiast zająć, w przeciwnym razie grozi mi ruina finansowa, a wiesz, jak bardzo to lubię. Okazało się, że jakiś inny dystrybutor z Ameryki próbuje podkupić moich dostawców i muszę pilnie z nimi porozmawiać, żeby uniknąć katastrofy. Wiem, że na sobotę planujesz moje urodziny, ale chyba nie wrócę do domu wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Wynagrodzę ci to po powrocie, obiecuję. Czy byłabyś tak dobra i poinformowała Jordiego, że w niedzielę nie zagram z nim w golfa? Nie mam przy sobie numeru jego telefonu. Amore, Daniel

Cóż, to na pewno pomogło jej odtworzyć kolejność wydarzeń poprzedniej nocy. Z jakiegoś powodu postanowiła sprawdzić pocztę, może po pierwszej butelce wina, znalazła wiadomość od Daniela, otworzyła drugą butelkę, zaczęła surfować po Internecie, rozważała, jakie ma możliwości, i...

Wpadła na pomysł wyjazdu Bóg wie dokąd, by stanąć twarzą w twarz ze swoim mężem i jego rodziną z laminowanej fotografii.

Tak samo mogłaby zamówić kontener viagry i przedłużkę penisa.

Kompletny absurd. Ale prawdopodobnie w tych okolicznościach tak postąpiłaby każda pijana, niepoczytalna osoba surfująca po Internecie.

Teraz Lily nie była ani pijana, ani niepoczytalna. Odczuwała lekkie mdłości, jej poziom potasu niebezpiecznie się obniżył za sprawą

pinot grigio. I było jej wstyd, że nie pamiętała, co zrobiła. Chętnie wyrzuciłaby to z głowy. Albo zamiotła pod dywan.

Rose nie wiedziała, co mówi – nie ma nic złego w zamiataaniu rzeczy pod dywan. Właśnie do tego służą dywany. Bez nich świat pełen byłby zwykłych, zniszczonych parkietów, pokrytych kurzem, pożłobionych przez termity. Nikt nie chciałby patrzeć na coś takiego.

Życie polega na szukaniu rozwiązań. Wszyscy tego pragnęli i Lily zawsze to proponowała. Jeśli zamieciecie pod dywan wydawało się najlepszym sposobem uporania się z problemem, Lily się nie wahała. Nigdy nie zamiatała ani więcej, ani mniej niż to konieczne. Po prostu tak samo dobrze operowała miotłą jak każdy inny samodzielny pracownik korporacji z odpowiednim życiorysem zawodowym. Był to jeden ze sposobów postępowania, jaki należało wybrać w danych okolicznościach. Alternatywa.

I w obecnych okolicznościach dobry sposób. W sumie taki, jakie preferowała.

Takie kobiety jak ona nie lecą natychmiast do Włoch w pogoni za zdradzającym je mężem; jeszcze raz zerknęła na plan podróży swojego opitego winem alter ego. Miała inne zobowiązania. Na przykład swoją pracę. W której powinna być od godziny.

Złapała wstydlivy dowód nocnego pijaństwa i zaniósła do kuchni. Akurat wtedy zadzwonił telefon. Tak się przestraszyła, że upuściła butelkę, która potoczyła się pod stół.

Telefon domowy dzwonił niezwykle rzadko, uświadomiła sobie, kiedy biegła, żeby odebrać. Tylko podczas nieobecności Daniela? Czy w ogóle?

Dzwoniła Pearl. Lily ogarnęła irytacja: Pearl rozpoczynała pracę o ósmej trzydzieści, a była raptem ósma trzydzieści jeden. Asystentka dała jej całą minutę przed wysłaniem ekipy poszukiwawczej.

– No cóż, minęło siedem lat, a do tej pory jeszcze nigdy nie weszłam do pustego gabinetu – zauważyła Pearl. – Bałam się, że cię porwano, pobito, potracił cię autobus albo coś w tym rodzaju.

Lily była wzorem punktualności. Pearl spodziewała się usłyszeć wiarygodne wytłumaczenie. Ale jej, gdy patrzyła na pustą butelkę po winie, nic nie przychodziło do głowy.

– Są już informacje o oszczędnościach w Eastern Seaboard?
– zapytała.

– O jakich oszczędnościach? – zdumiała się Pearl. – Nic mi nie wiadomo o żadnych oszczędnościach.

– Och, może piłeczka wciąż znajduje się po stronie Boba Haywarda. – Lily wiedziała, że Meredith, asystentka Boba, jest zawziętym wrogiem Pearl i ta będzie wściekła, że Meredith wie o czymś, o czym ona nie ma zielonego pojęcia. – Możemy z tym zaczekać. Byłabyś tak dobra i przypomniała mi, co zaplanowałyśmy na dziś rano?

Przykucnęła, żeby sięgnąć po butelkę, starając się wymyślić szczegóły rzekomego zatrucia pokarmowego, kiedy zobaczyła pod krzesłem szal Rose – przypominał rozlane mleko na podłodze. Podniosła go, zwinęła i przytknęła do twarzy, słuchając, jak Pearl wymienia zaplanowane na dziś sprawy.

Szal paszmina był miękki i różowy, jak sama Rose, pachniał lekko Paris, zapachem, który Lily dla niej wybrała wiele lat temu. Świetnie do niej pasował, Lily nie potrafiła sobie wyobrazić, by Rose mogła pachnieć inaczej.

Kiedyś tak dobrze знаła swoją siostrę. Daniela też. A teraz prozę, spójrzcie na nią. Spójrzcie na nich wszystkich. Pusta butelka po pinot grigio przeturlała się po podłodze.

– No więc o dziesiątej przychodzi Todd ze swoim przybocznym z działu badań i rozwoju – mówiła Pearl – ale mogę ich przesunąć na popołudnie, bo kwadrans po drugiej mamy okienko. Finanse chcą, żebyś dziś o jedenastej, a nie jutro, przedstawiła przewidywane wydatki na najbliższy kwartał. Widziałam w twoim komputerze arkusz kalkulacyjny, wygląda, że wszystko już jest gotowe, więc nie masz nic przeciwko temu?

Nie wiem, przeciwko czemu nic nie mam, pomyślała Lily. Nie mam nic przeciwko temu, żeby lecieć do Włoch i próbować odzyskać swojego męża, który pobłądził? Właśnie tego chcę? Ktoś o zdrowych zmysłach robi coś takiego?

Ale duch Paris Rose zdawał się szeptać z paszminowego szala: kto ignoruje coś takiego?

Słuchając monotonnego staccato Pearl, Lily znów wtuliła twarz w szal siostry i wciągnęła jego zapach. Nie chciała być zimną,

samotną kobietą, jak ich matka. Nie chciała pod żadnym względem jej przypominać.

Chciała być kobietą, jaką zawsze była albo na jaką wyrosła, nim seria rozczarowań zrobiła jej w głowie kompletny mętlik. Pragnęła Daniela. Chciała czuć jego ciepło przy sobie, kiedy deszcz bębnił w dach nad ich głowami. Chciała być zakochana. Może wtedy udało by się częściowo odzyskać to, czego brakowało, odnaleźć to, co zabrały ostatnie trudne lata.

Przypomniała sobie piknik w Central Parku ze swoim mężem, Rose i Alem, zanim urodziły im się dzieci. Al pokpiwał z ekologicznych jabłek, które przyniosła – były to czasy sprzed powstania sklepów ze zdrową żywnością, kiedy „naturalne” wciąż znaczyło „mało dorodne” – i nikt nie chciał jeść owoców, gdy Al stwierdził, że jego jabłko wygląda jak Richard Nixon.

Lily wzięła jabłka i zaczęła nimi żonglować.

Powiedziała im, że w college’u chodziła na zajęcia z żonglerki, bo podobał jej się nauczyciel, a on odszedł w środku semestru, by występować w cyrku, czemu trudno się dziwić.

Nie zmyśliła sobie tego. Ani nie wyobraziła. Dawno temu żonglowała. Była fajną dziewczyną.

Kucając obok kuchennego stołu, uświadomiła sobie, że nie potrafi przejąć się swoimi projektami zawodowymi na najbliższy kwartał.

Przytrafiło jej się to po raz pierwszy. Zwykle tak się nimi przejmowała, że nie miała czasu przejmować się niczym innym. Ale nie dziś.

– Przepraszam cię Pearl – przerwała asystentce, która wciąż o nich mówiła, i o tym, jakie szanse ma Meredith na terminowe przedstawienie planów Boba, które zdaniem Pearl były znikome, jeśli uwzględnić czas tracony na pogaduszki przy automacie z chłodzoną wodą i flirtowanie z Desmondem z księgowości, żonatym mężczyzną z trójką małych dzieci, który kręcił z Alyssą, chudym rudzielcem z działu płac.

Lily się wyprostowała i powtórzyła prośbę Daniela.

– Coś wyniknęło i muszę się tym natychmiast zająć. Przykro mi, Pearl, ale nie przyjdę dziś do pracy i mogę jedynie przeprosić,

że nie uprzedziłam ciebie wcześniej. Poradzisz sobie beze mnie?
– Niemal widziała wyraz zaskoczenia na twarzy Pearl, związanego z odpowiedzialnością i nadarżającą się okazją wykazania się. Nie wątpiła, że asystentka doskonale sobie bez niej poradzi.

– Cóż, jasne, że tak, jeśli sobie tego życzysz. Może wstąpiłabym do ciebie i pomogła w załatwieniu tego, co niespodziewanie wyniknęło?

Pearl, choć bardzo o to zabiegała, na szczęście nigdy nie dotarła dalej niż do hallu apartamentowca, w którym mieszkała Lily.

– Dzięki, Pearl, ale sama sobie dam radę.

– No cóż, w takim razie do zobaczenia jutro. – Asystentka była urażona.

– Prawdę mówiąc, zajmie mi to chyba trochę więcej czasu – oświadczyła Lily i chociaż podczas dziesięciu lat pracy w firmie na stanowisku wiceprezesa odpowiedzialnego za logistykę i dystrybucję na wschodzie kraju nigdy nie wzięła ani jednego dnia zwolnienia, chociaż wiedziała, że mąż ją zdradził i prawdopodobnie zdradza, i chociaż miała kaca i potwornie bolała ją głowa, poczuła dreszcz – pierwszy raz była tak zdeterminowana.

Odłożyła słuchawkę, owinęła się szalem Rose i poszła po walizkę.

6

To Fiorella Fiorucci – oznajmiła wdowa Del Grasso członkiniom ligi. – Siedziała dziś rano na progu mojego domu, kiedy wyszłam podlać geranium.

Kobiety spojrzały na Violetkę. Liga liczyła mało członkiń, ale to nie znaczy, że każdy mógł do niej wstąpić. Bądź co bądź było to tajne stowarzyszenie. Jego członkinie na ogół znały kobiety, zanim one utraciły swoich ukochanych i zostały wdowami, i zwykle jedna z nich, bliżej związana z nową wdową, delikatnie ją zagadywała, kiedy minął trudny pierwszy rok żałoby.

Żadna nie przypominała sobie, by wcześniej widziała Fiorellę Fiorucci, która – o zgrozo – miała na sobie jaskrawopomarańczową luźną sukienkę w duże różowe kwiaty, podczas gdy wszystkie pozostałe były od stóp do głów odziane na czarno.

– Mój do niczego mąż, syn takiej i owakiej, wreszcie kopnął w kalendarz – oznajmiła Fiorella Fiorucci. – Chcę do was dołączyć.

Wdowom odjęło mowę, znów spojrzały na Violetkę.

– Chcesz do nas dołączyć? – spytała.

– Głucha jesteś? Tak, chcę do was dołączyć. Zostałam wdową i się kwalifikuję.

– Znamy się chyba z biblioteki, ale jeśli mam być szczerą... – zaczęła wdowa Del Grasso zmieszana. Ostatnio miała kłopoty z pamięcią, więc podejrzewała, że znała Fiorellę, tylko o tym zapomniała. Było to irytujące, ale nie aż tak irytujące, jak inne sytuacje: zdarzyło się jej zapomnieć o zdjęciu wałków do włosów przed pójściem na mszę albo włożyć buty przed wybraniem się na targ.

Właściwie w porównaniu z tym to wcale nie było irytujące. – Ale jeśli mam być szczerą – powtórzyła pogodniej – nawet nie wiedziałam, że byłaś mężatką.

– Dlaczego miałabyś o tym wiedzieć? – Fiorella wzruszyła ramionami. – Dlaczego ktokolwiek miałby o tym wiedzieć? Mój mąż uciekł z moją siostrą w siedemdziesiątym siódmym roku i od tamtej pory mieszkał w Neapolu, niech Bóg splunie na jego duszę, kiedy ją wywlecze z ciała tego nędznika. – Poprawiła grube okulary i zmarszczyła nos.

Gdyby ropuchy nosiły grube okulary i jarmarczne stroje, można by ją wziąć za ropuchę.

– Hmm, współczujemy ci w związku z poniesioną stratą – odezwała się Violetta, by przerwać niezręczne milczenie. – Ale nie jestem do końca przekonana, że szukamy kogoś takiego jak ty. – Wszystko zdawało się świadczyć, że ta kobieta-intruz nie zaznała prawdziwej miłości przyzwoitego faceta, a prawdziwa miłość przyzwoitego faceta była najważniejszym warunkiem przystąpienia do ligi. – Tak czy owak, nie mamy wolnych miejsc.

– Stać was na to, żeby grymasić? Potrafię w ciągu godziny tak zacerować cztery skarpetki, że nigdy byście się nie domyśliły, że kiedykolwiek były dziurawe – powiedziała Fiorella. – Mój kuzyn Enzo sprzedaje je na targu w San Quirico jako nowe. Dostaje dwa euro za parę.

Wdowy zakasłały i zaszurały butami po podłodze.

– Rzecz w tym, że cerowanie skarpet nie jest głównym celem istnienia ligi – wyjaśniła Violetta.

– Och, wiem. – Fiorella machnęła ręką. – Widziałam smutne ofiary losu, zapłakane i zasmarkane, które w cudowny sposób podnosiłyście na duchu, chociaż się tego nie domyślały. Zanim się zorientowały, były zakochane i przeżywały najwspanialszy okres w swoim życiu. Rozgryzłam was.

To było tajne stowarzyszenie. I chociaż doprowadziły do ponad dwustu pięćdziesięciu szczęśliwych zakończeń, pozostawało to tajemnicą.

– Co więcej – ciągnęła Fiorella, znów poprawiając na nosie wielgachne okulary – wykładam towar na półki w aptece przy

wyjeździe z miasteczka. Nie w tej w centrum, gdzie ludzie kupują jakieś nudziarstwa. Uwierzcie mi, tam, gdzie pracuję, sprzedajemy wszystko, co ciekawe. Ani jedna prezerwatywa, test ciąży czy tabletki szczęścia nie opuszczają tego miejsca, żebym nie wiedziała, kto jest nabywcą. Trzymam rękę na pulsie. W przeciwieństwie do aptekarza na prochach. Nie wie, jak się nazywa, póki nie sprawdzi w swoim prawie jazdy.

Zszokowane wdowy nie wiedziały, gdzie podziąć oczy. Z całą pewnością mogły wykorzystać takie informacje z apteki przy wyjeździe z miasteczka, ale nie ulegało wątpliwości, że Fiorella Fiorucci jest postacią dość kontrowersyjną.

Wdowa Mazzetti, która znała na pamięć statut ligi i wiedziała o każdym aneksie do niego, począwszy od 1947 roku, wyglądała, jakby za chwilę miała jej pęknąć jakaś żyłka. Miała bzika na punkcie statutu tak samo jak Violetta; ta zmrugała oczy, odchrząknęła i poprosiła Fiorellę, by powiedziała trochę więcej o zmarłym mężu.

– O czym tu mówić? – Fiorella wzruszyła ramionami. – Sześćdziesiąt cztery lata temu wrócił z wojny i oznajmił mi, że mój ukochany z dzieciństwa, Eduardo, skonał na jego rękach na polu bitwy. Wkrótce się pobraliśmy. A potem okazało się, że Eduardo przeżył, pojawił się w domu. Stracił nogę, ale pozostał stuprocentowym mężczyzną, był tym, którego kochałam całą duszą i sercem, z nim miałam nadzieję spędzić resztę życia.

Atmosfera w pomieszczeniu uległa zmianie: wdowy, milcząc, spoglądały na nią ze szczerym współczuciem.

– To musiało być okropne. – Pierwsza odezwała się Luciana.

– Tak. Cóż, w tamtych czasach dziewczyna nie rzucała męża tylko dlatego, że kłamał i zdradzał, że przez swoje oszustwa pozbawił ją wiecznego szczęścia.

– Zgadza się – potwierdziły wdowy.

– A co z Eduardem? – zainteresowała się Luciana.

– Och, spotkaliśmy się jeszcze raz, dał mi medalion z naszym zdjęciem. Wciąż go mam. – Wyciągnęła medalion spod jarmarcznej sukienki i otworzyła; zobaczyły spłowiełą fotografię w sepii przedstawiającą Fiorellę – była młodsza, ale miała takie same okulary – i uroczego młodego żołnierzyka. – Powiedział, że powinnam sobie

wybaczyć, bo każdy nabrałby się na kłamstwo Lorenza, słynął z nich, i że powinnam spróbować być z nim mimo wszystko szczęśliwa. Potem poszedł do domu i umarł. Przypuszczam, że pękło mu serce, chociaż inni twierdzą, że powodem jego śmierci była sepsa.

– Porządny gość – zauważyła jedna z wdów, a inne zawtórowały jej chóralnym *sí, sí*.

– Jeśli mam być szczerą, czułam się jak wdowa przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Ten wyrośnięty *gnocchi* żył ze mną przez trzydzieści lat, a kolejne trzydzieści lat z moją płacziwą i gadatliwą siostrą, nim zrobił to, co słuszne, i wpadł pod ciężarówkę.

Znów zapadło niezręczne milczenie.

– Sprawiasz wrażenie nieco zrzędlivej – odważyła się powiedzieć Luciana.

– Chyba powinnyśmy takie być, no nie? – odpaliła Fiorella.

– Wszystkie takie jesteście.

– Tak, ale my tylko udajemy – wyjaśniła Violetta.

– No cóż, może ja też udaję.

– Jeśli to prawda, wychodzi doskonale – mruknęła wdowa Benedicti.

– Słuchajcie, wiem, co znaczy być stara i niezauważalna. – Fiorella bawiła się medalionem, rozglądając się po pomieszczeniu. – Możemy siedzieć bez słowa na progach naszych domów i czuć się tak, jakbyśmy nie były warte przeciętnej zawartości naszych nocników, nie robiąc nic dla nikogo. We Włoszech jest mnóstwo takich kobiet jak my. W każdym miasteczku w Toskanii znajdują się ich co najmniej dwa tuziny. To przekleństwo podeszłego wieku! Ale widzę, jak wykorzystujecie swoje możliwości leciwych kobitek w dobrym celu, nie złym, i co mogę dodać... Podoba mi się to. Więc przyjmijcie mnie! Moje własne szczęście odebrał mi skończony leń i nierób o wielkich, spoconych łapskach, ale jeśli mogłabym pomóc uszczęśliwić kogoś innego, chętnie bym to zrobiła. Eduardo by tego chciał.

Akurat w tym momencie z głośnym chrapnięciem obudziła się wdowa Rossellini.

– Nie czuję się najlepiej – oznajmiła.

– I nie wyglądasz najlepiej – zauważyła wdowa siedząca obok niej.

- Od kilku tygodni źle się czuje – zawtórowała inna.
- Jej córka od miesiący próbuje ją nakłonić do pójścia do... No wiecie, mikrofalówki – szepnęła druga.
- Do mikrofalówki? – Fiorella obrzuciła je zdumionym spojrzeniem.

Wdowy umilkły. Nazywały mikrofalówką błyszczący blok szpitalny, zbudowany zaledwie kilka lat temu parę kilometrów na południe od miasteczka. Wznosił się w nieskazitelnym krajobrazie i przypominał lśniące, nowoczesne urządzenie kuchenne. Kiedy kobiety w ich wieku udawały się tam, dosłownie schły i nawet jeśli nie znikwały całkowicie, opuszczały to miejsce jako cień swojego dawnego ja, o ile miały dość szczęścia. Te, którym go zabrakło, opuszczały to miejsce jako cień swojego dawnego ja, na dodatek bez ręki, piersi albo jakiegoś narządu wewnętrznego. Przynajmniej takie krążyły słuchy. A te zupełnie pozbawione szczęścia nigdy go nie opuszczały.

Kobiety w ich wieku robiły wszystko, żeby uniknąć pójścia do mikrofalówki.

- Powinna tydzień, dwa poleżeć w łóżku, a poczuje się lepiej – powiedziała wdowa siedząca obok niej. – Zabiorę ją do domu i posiedzę przy niej.

- Pomogę wam – zaoferowała się któraś, bo wdowa Rossellini rzeczywiście niepewnie stała na nogach.

- Ja też – pisnęła inna.

- No cóż, wygląda, że jednak zwolni się miejsce – zauważyła radośnie Fiorella, kiedy kobiety zaczęły opuszczać pomieszczenie. Zanim Violetta zdążyła ją zbesztać za brak wrażliwości i obcesowość, niespodziewanie, ku ogólnemu zaskoczeniu odezwała się Luciana.

- Owszem, wygląda na to, że tak, przynajmniej chwilowo. Fiorello Fiorucci, czy zechciałabyś wstąpić do naszej ligi?

- No pewnie – padła odpowiedź. – Ale czy macie do jedzenia coś innego poza *cantucci*? Wzięłam kilka z misy pod rudym gobelinem. Są niezjadliwe. Co do nich dodajecie? Cement? Mówię wam, że nie rozmiękczy ich całe *vin santo* z całego świata chrześcijańskiego.

Zrobiła parę kroków, by poczęstować się odrobiną *vin santo*, które zostało, a Violetta gniewnie zwróciła się do siostry:

– Co ty sobie wyobrażasz?

– Uznałam, że ma coś w sobie.

– Nie ulega wątpliwości – skwitowała Violetta. – Ale jest to coś wielce niestosownego.

Komplikacje, które wyniknęły w ostatniej chwili w związku z tym, że postanowiła tak nagle rozstać się ze swoim dotychczasowym życiem, wymagały więcej wysiłku, niż przypuszczała. Wykręcenie się od licznych zobowiązań okazało się tak samo czasochłonne, jak ich dotrzymanie.

Na szczęście buszując po Internecie w stanie wskazującym na spozycie, wykupiła bilet w pierwszej klasie, więc podczas lotu spała, chociaż niespokojnie, do czego niewątpliwie przyczyniło się wypicie większej ilości szampana, niż jej przysługiwało, i dotarła do skąpanego w deszczu Rzymu zmęczona i przerażona, że przeoczyła jeden istotny szczegół: wszyscy we Włoszech mówią po włosku.

Nie tylko nie rozumiała ani słowa, nie mogła nawet nadażyć za gestykulacją i uznała, że właśnie dlatego znalazła się w najmniejszym wynajmowanym samochodzie na świecie. Był to fiat 500 i bardzo ją intrygowało, co oznacza 500. Nigdy nie widziała tak małego autka. Wielkości skarpetki. Jej walizka ledwo się zmieściła w mikroskopijnym bagażniku i Lily musiała maksymalnie odsunąć fotel, by znaleźć dość miejsca na swoje długie nogi.

Przez pół godziny krążyła po parkingu na lotnisku, próbując wyjechać, a potem nacisnęła zły guzik w wypożyczonym urządzeniu GPS, więc udzielało wskazówek wyłącznie ustnie głosem jakiegoś Dermotta o irlandzkim akcencie.

Nie rozumiała prawie nic poza „w prawo” i „w lewo”, ale okazało się, że to wystarczy, by trafiła na autostradę A1 w kierunku Firenzy, co, jak się domyśliła, oznaczało Florencję. Była niemal pewna, że to w Toskanii, więc zmierzała w dobrą stronę.

Lało jak z cebra, a Włosi sprawiali wrażenie jeżdżących bardzo ostro, jakby uciekali przed płomieniami liżącymi tylne zderzaki albo pędzili ku drogim sobie bliskim, łapczywie wdychającym powietrze przed wyłączeniem respiratora. Lily drżała noga na pedale gazu, kiedy ostrożnie zmieniała pas ruchu podczas słabej widoczności, i starała się zjeżdżać z drogi pojazdom poruszającym się szybciej od niej, to znaczy wszystkim.

Złapała jednak rytm autostrady i trochę się odprężyła, mogła już rozglądać się wkoło. To, co widać z A1, raczej nie trafia na pocztówki ani okładki romantycznych książek.

Po lewej widziała w oddali kominy fabryczne i dziwne skupiska zabudowań przemysłowych na zupełnym pustkowiu. Przypominały budowle z klocków na tle ponurego nieba. Gdyby nie przydrożne tablice reklamowe z tekstami w języku włoskim, ta szeroka autostrada nie różniłaby się od żadnej innej gdziekolwiek na świecie. Widok z prawej strony był jej zdaniem nieco bardziej włoski. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola czegoś wysokiego i smukłego, kołyszącego się na wietrze i deszczu, by ostatecznie zniknąć w majaczących w oddali zamglonych górach.

W świecie Lily we wtorkowy ranek zwykle nie majaczyły w oddali zamglone góry. Zwykły wtorkowy ranek to forsowne ćwiczenia z osobistym trenerem w siłowni, następnie prysznic, omlet z białek ze szczypiorkiem, zielona herbata, drobiazgowa analiza niezliczonych arkuszy kalkulacyjnych, a potem cotygodniowe spotkanie z kierownikami wydziałów w firmie Heigelmana.

Na myśl o omlecie poczuła głód, ale nie potrafiła się zmusić do zatrzymania się na którejś z olbrzymich stacji benzynowych – zdawały się one jedynym miejscem oferującym tu coś do zjedzenia. Wolą umrzeć z głodu, niż stoczyć batalię w obcym języku, wpytując o zawartość pestycydów i konserwantów w oferowanych potrawach. Poza tym wątpiła, by odpowiadały jej szczególnie podniebieniu.

Dermott kazał jej zjechać z autostrady w stronę majaczących w oddali zamglonych gór, gdzie okazało się, dlaczego większość osób jeździła bardzo małymi samochodami: tylko takie mogły się poruszać po wyjątkowo wąskich drogach.

Miejscami nie minęłyby się na nich dwie skarpetki. Na jednym zakręcie Lily zjechała z szosy, nacisnęła na hamulce i zamnęła oczy, kiedy jakiś wiekowy farmer w trójkołowym pojeździe znieacka pojawił się naprzeciwko niej.

Nie doszło do zderzenia, ale mało brakowało.

Przypomniała sobie równie sędziwego farmera, który zablokował drogę ciągnikiem i stadem krów, kiedy razem z Danielem spędzali swój miesiąc miodowy w Maine.

Staruszek jechał samym środkiem, niczym się nie przejmując, nie zważał, że zatarasował drogę Danielowi i Lily.

– Powiniennem być przed wyjazdem obryć się z zasad trąbienia w swoim kraju – powiedział Daniel. – Ty pewnie też tego nie zrobiłaś?

Kiedy wreszcie nacisnęli klason, zauważyła to tylko jedna wredna krowa. Zatrzymała się i obrzuciła ich tak gniewnym spojrzeniem, że Daniel stracił rezon i oświadczył, że według niego poboczne wygląda całkiem przyzwoicie i może powinni zostać tutaj, zamiast wracać do swojego domku. Lily tak się śmiała, że o mało się nie posusiała w majtki.

Dawno tak się nie śmiała. Teraz i ona, i Daniel byli tacy poważni i zajęci, na ogół starali się wszystko traktować spokojnie, bez nerwów.

Może tak się zachowują wszystkie małżeństwa z szesnastoletnim stażem. Może nikt nie sika w majtki, kiedy minie pierwszy wielki poryw miłości.

– Jedź prosto – poinstruował ją Dermott radośnie, mówiąc ze swoim irlandzkim akcentem, co tak speszyło Lily, że zdjęła nogę z pedału sprzęgła, więc silnik zgasł.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, ale nie udało jej się wjechać z powrotem na szosę, tkwiła na trawie pod dziwnym kątem, okno od strony pasażera dotykało błyszczących, wilgotnych liści żywopłotu z małymi, fioletowymi kwiatkami.

Z całą pewnością nie przypuszczała, że w przyszłości będą do wszystkiego podchodzić spokojnie, rozważnie, kiedy razem z Danielem pili w łóżku wino i jedli ser prosto z papieru, nie pofatygowawszy się nawet po nóż. Pragnęła miłości, szczęścia, śmiechu, zabawy. Tego, czego pragną wszyscy nowożeńcy.

Marzyła o rodzinie, dzieciach.

Na początku to wszystko zdawało się w zasięgu ręki. Nie mieli pieniędzy, mieszkali na czwartym piętrze w budynku bez windy, w którym okropnie śmierdziało wilgocią i naftaliną, ale mieli cudowne marzenia. W owym czasie ich majątek stanowiły bezgraniczna nadzieja i nieograniczone możliwości.

To wszystko wina dzieci. Uśmiechniętych, pulchnych, słodko pachnących bobasów o różowych policzkach, których nie dane jej było mieć. Ich brak pozbawił ją tamtego beztroskiego zadowolenia z życia. Odebrał jej zdolność śmiania się.

Deszcz tworzył na przedniej szybie przejrzystą kurtynę, otwieraną i zamykaną przez wycieraczki. Za oknem nad polami słała się gęsta mgła. Lily uświadomiła sobie, że nawet nie wzięła parasolki. Mogła tak samo być w Waszyngtonie.

Toskania? Trudno się domyślić, o co tyle hałasu. A poza tym co Lily chciała osiągnąć w Montevedovie, na co liczyła? Gdyby w tej chwili spotkała Daniela, nie wiedziałyby, co zrobić. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak rozpocząć rozmowę, nie mówiąc już o tym, jak ją zakończyć. To wszystko było takie trywialne.

Musiała postradać rozum, przyjeżdżając tu bez żadnego planu.

Zwykle nie otwierała oczu, nie mając przygotowanego planu działania. Nawet kiedy była małą dziewczynką, lubiła wiedzieć, co ją czeka za rogiem. Rose zawsze doprowadzało to do szaleństwa. „Zobaczymy, co się wydarzy – mówiła starszej siostrze nie raz, nie dziesięć razy, prawdopodobnie więcej niż sto razy. – Spróbuj popłynąć z prądem, Lily”.

Ale ona nie ufała prądowi. Prąd robił budzące lęk zwroty i groźne zakręty. Przypuszczała, że to wszystko wina matki. Od najmłodszych lat Lily denerwowała się, nie wiedząc, w jakim „humorze” będzie jutro Carmel. Kiedy tylko odkryła, że jeśli uda jej się zdobyć kontrolę nad sytuacją, przyszłość może być bardziej przewidywalna, zaczęła kontrolować sytuację.

W dorosłym życiu Lily nic nie pojawiało się ot tak, ni stąd, ni zowąd. Wszystko zaplanowała: stypendium na uczelni należącej do Ligi Bluszczowej, studia ekonomiczne na Yale, dobrą pracę, przystojnego męża, świetną pensję. Nawet widok z ich mieszkania przy

Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy był z grubsza taki, jaki zawsze sobie wyobrażała, i należało go jedynie znaleźć i za niego zapłacić.

Jedyne marzenie, którego nie udało jej się zrealizować, dotyczyło posiadania trójki dzieci: Edwarda, po ojcu Daniela; Rose, po Rose, a potem albo Amelii albo Angusa, jak los da.

Realizowała ten plan tak samo precyzyjnie jak wszystkie swoje zamierzenia, może nawet z większym zaangażowaniem: poddała się zapłodnieniu in vitro, zdecydowała się na wszczepienie jajeczka dawczyni, rozważała macierzyństwo zastępcze, a na koniec adopcję. Zagryzła usta i próbowała się pozbyć wspomnień. Ostatecznie i tak nic z tego nie wyszło.

Głośne puk puk puk, gdy ktoś zabębnił w szybę, przywróciło ją do rzeczywistości. Podenerwowana zaczęła szukać właściwego guzika, by otworzyć okno, ale najpierw przez przypadek zablokowała wszystkie drzwi, potem otworzyła okno od strony pasażera, nim wreszcie opuściła szybę w swoim oknie.

– Jedź prosto – zaświergotał Dermott, który do tej pory zachowywał wyniosłe milczenie. – Jedź prosto.

Zła jak osa Lily uniosła wzrok i ujrzała Włocha mniej więcej w swoim wieku, pochylającego się pod wielkim białym parasolem, by ją zobaczyć. Miał kręcone włosy do ramion, duże, brązowe oczy, rzęsy tak gęste i długie, że nie powstydzilaby się ich żadna supermodelka, a do tego wszystkiego pobrużdżoną twarz pokrytą kilkudniowym zarostem. Był przystojny mimo lekkiej nadwagi i niezwykle poważny.

– Widziałem, jak się pani tu zatrzymała – powiedział z silnym akcentem, ale mimo to jego angielski dało się bez trudu zrozumieć. – Czy coś się stało?

Miał na sobie białą płócienną koszulę. Tam, gdzie przemokła od deszczu spływającego z parasola, przykleiła mu się do ciała.

– Najmocniej przepraszam. – Lily ze wstydem stwierdziła, że głos jej drży. To przez dzieci. Te wszystkie dzieci, które straciła. – Właśnie przyjechałam z Rzymu i trochę się pogubiłam na tych wąskich drogach. Zjechałam, żeby... Czy zablokowałam panu przejazd?

Spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła jego wóz – czarnego range rovera. Stał tuż za nią, z włączonymi światłami awaryjnymi.

Sam sobie winien, jeździ taką wielką bryką, dlatego nie mógł jej minąć. Ale tak czy owak miał rację, powinna się stąd ruszyć. Nie może tu zostać na zawsze.

– Już odjeżdżam. – Znów przekręciła kluczyk w stacyjce, chociaż silnik już pracował, więc głośno zawarczała, co speszyło ją nie mniej niż wcześniejsze niezdarne próby otwarcia okna.

– Jedź prosto – powtórzył Dermott.

– Och, bardzo przepraszam – zwróciła się do mężczyzny. – Możesz się zamknąć? – warknęła na Dermotta. – Przecież jechałam prosto.

Mężczyzna się roześmiał i może dlatego, że właśnie ubolewała nad brakiem śmiechu w ostatnim okresie swojego życia, zirytowało ją to.

– Tak, to bardzo śmieszne, ale jeśli pan pozwoli, zaraz odjadę. – Zdjęła nogę z pedału sprzęgła, więc silnik znów zgasł.

Dermott miał dość instynktu samozachowawczego, by milczeć ale długowłosa Włoch nie był tak dostrojony do Lily jak jej GPS.

– Według mnie jest pani damą w opałach i potrzebna pani pomoc.

– Prawdę mówiąc, tam, skąd pochodzę, nie istnieje ktoś taki, jak dama w opałach. – Uśmiechnęła się do niego słodko. – Naprawdę nic mi nie jest, poradzę sobie. Nie zablądziłam, tylko odpoczywam. Zresztą mam tego irlandzkiego towarzysza podróży, który mi służy pomocą. Jeśli to droga do Montevedovy, jak przypuszczam, nie mogę zablądzić, muszę jedynie dotrzeć do hotelu, kiedy tam przyjadę, i już.

Włoch skinął głową, ale jakby nie do końca przekonany.

– Alessandro D’Agnello, do pani usług. – Ukłonił się, ignorując jej wyjaśnienie, że nie potrzebuje pomocy. – Przypuszczam, że jeszcze nigdy nie była pani w Montevedovie.

– Och tak? A czemuż to tak pan przypuszcza?

– Proszę mi podać nazwę swojego hotelu.

Zdążył już niemal całkiem przemoknąć. Mokre plamy się połączyły. Pod płótnem była widoczna śniada gładka skóra.

– Cóż, nawet gdybym pamiętała jego nazwę, a nie pamiętam, i tak bym panu nie powiedziała. Doceniam pańską troskę, ale naprawdę

niepotrzebna mi pomoc, więc proszę się cofnąć, żebyśmy mogła odjechać.

Alessandro uśmiechnął się łagodnie i zrobił krok w tył.

– Naturalnie. Proszę mi wybaczyć. Ale powinna pani wiedzieć, że nie można wjechać do zabytkowej części Montevedovy. W mieście obowiązuje zakaz ruchu kołowego.

Zdjęła nogę z pedału sprzęgła.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Nie można tam wjechać nawet takim małym samochodem, jak ten?

– Nie można.

– Więc jak się dostanę do hotelu?

– Właśnie dlatego zapytałem panią o hotel. Wokół murów staromiejskich są parkingi, w zależności od tego, gdzie jest pani hotel, mogę pani powiedzieć, który parking jest najbliżej.

Dane hotelu miała w walizce. Nie chciało się jej wysiadać i otwierać bagażnika.

– Albo może pani pojechać za mną – dodał. – Mogę panią zaprowadzić na główny parking w pobliżu informacji turystycznej i pomóc stamtąd dotrzeć do hotelu.

– Jedź prosto – znów wtrącił się Dermott i Lily była pewna, że powiedział to z naciskiem, jakby dotknięty, że ktoś poza nim chce nią pokierować.

– Nie, naprawdę dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Jest pan bardzo uprzejmy, ale poradzę sobie. I dziękuję za informację o biurze turystycznym. Skieruję się prosto tam.

– No cóż, skoro jest pani pewna, że sobie poradzi... – Alessandro lekko wzruszył ramionami. – *Buongiorno, signora*, i mam nadzieję, że miło spędzi pani czas.

Cofnął się i patrzył, jak ostrożnie wjeżdża na wąską drogę i rusza przed siebie. Niecodziennie spotykał piękne blondynki na drodze w pobliżu swojego domu. Prawdę mówiąc, nie przypominał sobie, by kiedykolwiek mu się to przytrafiło, chociaż nie brakowało pięknych blondynek w Montevedovie i okolicach, jeśli ktoś ich szukał. Nie żeby się nimi interesował. W najmniejszym stopniu.

Ale ta piękna blondynka była inna. Niewątpliwie Amerykanka, starsza od większości turystek z plecakami, których latem spotykało się w mieście całe chmary. Dlaczego jechała tam sama – bez męża, bez dzieci, bez nikogo do towarzystwa?

Wsiadł do swojego range rovera i skręcił w nieutwardzoną *strada bianca*, prowadzącą do jego willi. Nie spodobało się nieznajomej, kiedy ją nazwał damą w opałach, ale to wcale nie znaczyło, że nią nie jest. I mimo podenerwowania zachowała pewną elegancję, która mu się bardzo spodobała. Zauważył, że miała długą szyję, po obu stronach obojczyki tworzyły delikatne wypukłości, zostawiając w sam raz dość miejsca na pojedynczy brylant na cienkim złotym łańcuszku.

Góra w biało-niebieskie paski nie odsłaniała nic poza fragmentem dekoltu, szczupłymi nadgarstkami, gładkimi dłońmi o długich palcach.

Nie nosiła obrączki, co oczywiście od razu zauważył. Ale dostrzegł również w dużych, niebieskich oczach, że coś ją trapi. Była niewątpliwie damą w opałach, nawet jeśli sama o tym nie wiedziała.

Alessandro zwykle nie podążał tym tropem. Za wcześnie. Za wcześnie nawet myśleć o tym. Budziło to w nim poczucie winy, ale też, jak zwykle, wprawiało w przygnębienie.

Mimo to tajemnicza blondynka towarzyszyła mu, kiedy otworzył drzwi do swojego domu, włączył ulubioną arię Belliniego i postawił na kuchence dzbanek do kawy, żeby zaparzyć filiżankę espresso.

– Nie zabłądziłam, tylko odpoczywam – powiedział do siebie, potem do kota, potem do swojej gospodyni, wdowy Benedicti, która wpadła do domu niedługo po nim. Jej krągłe policzki były bardziej zaróżowione i błyszczące niż zwykle.

8

Daniel siedział przed zatłoczoną kawiarnią w pobliżu *piazza*, tuż za rogiem hotelu, opróżniał karafkę wina i palił czwartego papierosa.

We Włoszech Daniel palił.

We Włoszech Daniel był innym człowiekiem.

We Włoszech nie biegał rano ani nie grał w golfa w weekendy. Podczas obiadu nie odganiał kipera, nie żałował sobie oliwy z oliwek, nie rezygnował z deseru. We Włoszech nie robił nic z tego, co zwykle robił. Przypominało to wakacje, ale nie wakacje od pracy, bo właśnie praca go tu sprowadzała. Przypominało to wakacje od swojego zwykłego ja.

Wolno wypuścił dym i spoglądał przez jego zasłonę na wysoką blondynkę przeciskającą się między stolikami. Usiadła, zsunęła okulary na czubek głowy i posłała mu uśmiech, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Wyglądała jak Lily. Wprawdzie nie taka szczupła ani piękna jak jego żona, ale odznaczała się tą samą niewymuszoną elegancją. To była jedna z pierwszych cech, jakie dostrzegł w kobiecie, która została jego żoną: sposób, w jaki z wrodzoną gracją się poruszała, jak atlas zsuwający się z marmurowego blatu stołu.

Kiedy zobaczył Lily, wiedział, że chce ją poślubić, chociaż do tamtej chwili nie wierzył, że takie rzeczy się zdarzają. Uważał, że to głupoty wygadywane przez zakochane pary po fakcie; miały sprawić, by druga osoba czuła, że są sobie przeznaczeni.

Ale prawdę mówiąc, nie wątpił w to od chwili, kiedy ujrzał Lily w restauracji, do której zaciągnął go Jordie po jakiejś męczącej

partii squasha. Po prostu wiedział i już. Racja, nie miał pewności, że ją poślubi. Ale wiedział, że tego pragnie. Zwyczajnie. Po prostu.

Okazało się, że Lily jest przyjaciółką dziewczyny Jordiego – nigdy się nie dowiedzieli, czy to było ukartowane, czy nie, ale jeśli nawet któreś z nich coś wówczas podejrzewało, nie dało tego po sobie poznać. Później nigdy tego nie roztrząsali, cieszyli się, że się spotkali.

Tamtego pierwszego wieczoru Daniel zafascynowany obserwował, jak Lily ładnie je, jak swobodnie rozmawia, jak chętnie wybucha śmiechem, nie mając pojęcia, ile par oczu wpatruje się w jej śliczny kark, malutkie uszy, idealnie wykrojone usta.

Zupełnie stracił dla niej głowę. Uświadomił sobie, iż w porównaniu z tym, co czuł, wszystkie jego wcześniejsze miłości i miłostki były śmiesznymi, sztubackimi flirtami.

Miłość do Lily od samego początku sprawiała mu ból, tak dotkliwy, że nie wiedział, gdzie się zaczyna ani gdzie kończy, jak go opisać. Trawił go, póki nie zdobył serca dziewczyny. I wciąż go trawi.

Nigdy nie będzie czuł czegoś takiego do żadnej kobiety na świecie, nigdy, nawet gdyby żył sto lat, chociaż miał nadzieję, że tak się stanie, bo przez czterdzieści pięć lat zdążył popełnić tyle błędów, że teraz nawet nie wiedział, jak je zacząć naprawiać.

Bywało, że kiedy się golił, dziwił się, że widzi w lustrze wciąż tego samego człowieka. Jak to możliwe? Sprawiał wrażenie przyzwoitego faceta. Godnego zaufania, zwyczajnego, takiego jak dawniej. Ale ten porządny facet ukrywał tajemnice i wstydlive fakty, które nie dawały mu spokoju.

Doszło do tego, że golił się pod prysznicem, żeby nie patrzeć na siebie w lustrze, nie przejmując się tym, że czasem się zaciął.

Samotna blondynka przy stoliku rozmawiała przez komórkę. Miała duże uszy i krótką szyję. Wcale nie przypominała Lily, stwierdził, zapalając kolejnego papierosa. Blondynka miała swój styl i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Nieskomplikowanej. I szczęśliwej.

Gdyby to Lily siedziała przy tamtym stoliku, a mąż jakiejś innej kobiety palił papierosa i patrzył na nią, czy słowo „szczęśliwa” przyszłoby mu na myśl? Chyba nie. Podziwiałby jej urodę, może nawet

na krótko by go zauroczyła. Ale szybko wyczułby mrok czający się za tą piękną twarzą i stwierdziłby, że jego wzrok przyciągają mniej kolczaste róże, kobiety, które może nie są wyjątkowo urodziwe, ale mają błysk w oku.

Rozczarowania pozbawiły Lily błysku w oku. Blondynka siedząca dwa stoliki od niego zachowała go.

Nalał sobie kolejny kieliszek wina. Nie miał ochoty dłużej snuć rozważań nad trudnymi przejściami Lily. Już dość nad tym rozmyślał, wiedział, że niewiele może zrobić, jeśli w ogóle cokolwiek, by go rozproszyć. W Nowym Jorku był beznadziejnym mężem nieszczęśliwej żony, ale tutaj nie musiał nim być, a przynajmniej nie musiał patrzeć na nieszczęście. To również były swego rodzaju wakacje. Nie zazdrościł żonie jej smutków, jej dramatów. To były również jego dramaty. Dzielili je tak samo, jak dzielili wszystkie dobre rzeczy w życiu, radość i śmiech.

Ale stopniowo smutek niepodzielnie zawładnął Lily. Daniel często się zastanawiał, kiedy nastąpił przełom. Wiedział, kiedy to się zaczęło i kiedy się pogłębiało, ale nie potrafił określić momentu, kiedy kompletnie nią zawładnęło.

Naturalnie czuł rozczarowanie, gdy poroniła pierwszy raz, ale, bez przesady, strasznie nie cierpiał. Ojcostwo było jak wyspa, którą chciał odwiedzić, ale nie wiedział, czy chce tam zamieszkać na stałe.

Kolejne nieudane próby sprawiały mu coraz większy ból, ale to było nic w porównaniu z cierpieniem Lily. Każda tragedia zdawała się coś z niej odłupywać, aż zaczęła przypominać posąg, który zmieniał się z upływem stuleci: ta sama co zawsze bryła kamienia, ale zupełnie inna postać. Mniejsza. Bardziej kanciasta. Rzecz nie w tym, że dużo płakała albo miała myśli samobójcze czy ataki hysterii, chociaż wołałby to, nawet jeśli nie wiedział, jak sobie radzić z tego typu reakcjami. Ale Lily zamknęła się w sobie, światło zgasło, a on zbyt późno odkrył, że siedzi po ciemku. Sam.

Wtedy już za bardzo wszystko schrzanił, by móc to jakoś naprawić.

Zadzwo niła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz i ogarnęło go przygnębienie. Ale odebrał i czekał, by głos z drugiej strony zaczął od tego miejsca, w którym przerwał pół godziny temu.

– Powiedziałem ci, że to tylko kilka dni – odezwał się znużonym tonem, kiedy wreszcie udało mu się wtrącić. – Wiem, i bardzo mi przykro, ale coś wymyślę. Obiecuję. Potrzebuję tylko trochę czasu.

Słuchał jeszcze przez chwilę, a potem odsunął telefon od ucha, położył go na udzie i wyłączył.

Podszedł kelner, mocno posunięty w latach, mógł być ojcem Daniela, i spojrzał na niego niemal pogardliwie.

Daniel zamówił kolejną karafkę wina i wsunął swoje dawne ja do tylnej kieszeni razem z telefonem. Właśnie wtedy blondynka spytała, czy może się przysiąc.

To nie była Lily, ale niewiele się od niej różniła.

9

Wdowa Benedicti zwykle była taka dokładna w robieniu porządków, że pająki drżały w pajęczynach, gdy tylko usłyszały rozklekotanego renaulta na podjeździe do domu Alessandra.

Jednak tego szczególnego dnia pająki mogły bezpiecznie zostać na swoich miejscach, zjadać muchy i przyprawiać innych o gęsią skórkę swoim wyglądem, bo porządki były ostatnią rzeczą, o jakiej myślała wdowa.

Kręciła się po domu, niestaránie ścierając kurz, i obserwowała, co porabia chlebowadca, by móc skorzystać z okazji i zadzwonić z jego telefonu.

Kochała Alessandra. Jak wszystkie wdowy. Jak wszystkie mieszkanki Montevedovy. Był dobry, przystojny i bogaty.

Słyszał z uprzejmości, prznosił starsze kobiety przez kałuże, pomógł zejść dziecku z wysokiego krzesła, zatrzymywał się, gdy jakiś kierowca w rozklekotanym gruchocie nie mógł umocować rury wydechowej.

Innymi słowy był przywoitym człowiekiem. Na dodatek miał złamane serce.

W ciągu ostatnich dwóch lat członkinie ligi kilkakrotnie wysuwały jego kandydaturę na tego, któremu powinny poświęcić swoją uwagę, ale z takich czy innych powodów nigdy nie pojawiła się odpowiednia kobieta, którą można by pchnąć w jego ramiona.

Aż do dziś. Wdowa Benedicti na własne oczy widziała, jak Alessandro zatrzymał się na poboczu drogi i rozmawiał z jakąś piękną blondynką, przypominającą Grace Kelly w filmie „Okno na podwórze”.

Wdowa Benedicti kochała Grace Kelly w filmie „Okno na podwórze”.

Niestety w nocy stawiała pasjanse w swoim aparacie komórkowym, więc kiedy chciała zameldować wdowie Ciacci o ważnym fakcie, tak obiecującym, jeśli chodzi o ich ulubionego ewentualnego kandydata do uszczęśliwienia, okazało się, że bateria się wyczerpała. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, dorwała się do telefonu domowego Alessandra, by poinformować wdowę Ciacci, że zdaje się, iż nadeszła wreszcie dla Alessandra właściwa pora.

Pokrótkie opisała olśniewającą blondynkę, ale musiała się rozłączyć, bo Alessandro niespodziewanie wszedł do kuchni i zapytał, dlaczego powłoczki na poduszki przewróciła na lewą stronę, zamiast je uprać.

– Wy, młodzi, oczekujecie, że wszystko będzie jak należy – odburknęła zrzędliwie, ukrywając zawstydzenie, że przyłapano ją na niedbałym wykonywaniu obowiązków. – Za moich czasów nie mieliśmy powłoczek na poduszki. Nie mieliśmy nawet poduszek. Nie mieliśmy łóżka. Tylko słomę.

– Przykro mi, że musiała wdowa cierpieć takie niewygody. – Alessandro naprawdę jej współczuł. – Jeśli sytuacja nie uległa poprawie, z radością kupię wdowie nowe łóżko i tyle pościeli, ile trzeba, ale na razie chciałbym, żeby moje powłoczki zmieniano jak należy.

10

Hotel, o który pani pyta, zamknięto z powodu remontu – odparła pomarszczona staruszka w luźnej czarnej bluzce, odpowiadając na pytanie Lily, jak trafić do hotelu.

– Jak to? Wczoraj zarezerwowałam w nim pokój.

– Zamknęli go nagle, bo pilnie wymaga remontu – wyjaśniła starsza pani z informacji turystycznej.

– Hotel Prato jest zamknięty? – wtrąciła się ładna młoda dziewczyna, również pracująca w informacji turystycznej. – Myślałam, że...

– Ja obsługuję panią! – warknęła staruszka. – Sio! – Zwróciła się do Lily: – To żaden problem. Ma pani zarezerwowany pokój w drugim hotelu w Montevedovie. Adesso. To bardzo ładny hotel.

– Też czterogwiazdkowy?

– Nie ma gwiazdek. Ale hotel Prato też nie ma gwiazdek, tylko tak podają w Internecie. Hotel Adesso jest bardzo ładny.

Lily miała ochotę się pokłócić, ale kobieta wyglądała na taką, z którą lepiej nie zadzierać.

– To daleko stąd?

– Tak. I prowadzi do niego stroma ulica. – Kobieta spojrzała nad kontuarem na szpilki Lily, a potem na rześisty deszcz na dworze. – I bardzo śliska, kiedy pada.

Rzeczywiście, nim Lily dotarła do średniowiecznej bramy prowadzącej do starego miasta, jakieś pięćdziesiąt metrów od informacji turystycznej, przemokła do suchej nitki.

Przystanąła na chwilę w zabytkowej bramie. Montevedova składała się chyba z jednej beznadziejnie stromej i krętej brukowanej

ulicy, Via del Corso. Po obu jej stronach wznosiły się pochylone jedno- i dwupiętrowe domy, ich okna z okiennicami przypominały wścibskie oczy, spoglądające na tych, którzy dokądś spieszyli dołem.

W ładny dzień mogło to nawet mieć swój urok, ale nie dzisiaj, gdy lało.

Wyszła na deszcz, walizka na kółkach podskakiwała z głośnym turkotem na mokrym bruku, przyciągając uwagę.

Dwaj młodzi mężczyźni, siedzący w otwartym oknie zatłoczonej kawiarni, przestali rozmawiać i utkwili wzrok w Lily; paru robotników za plastikową płachtą rozciągniętą na rusztowaniach oplatających fronton kościoła roześmiało się, kiedy któryś wypuścił kółka dymu w jej stronę; jakaś staruszka na progu malutkiego sklepu spożywczego przyglądała jej się uważnie, bawiąc się telefonem komórkowym.

Mimo ulewy Lily wciąż się wspinała. Wreszcie uliczka stała się mniej stroma w miejscu, gdzie się rozwidła, dalej wznosząc się znów jeszcze bardziej stromo. Ale w miejscu rozwidlenia był podcień okazałego budynku i Lily pozwoliła sobie na chwilkę wytchnienia.

Postawiła torbę na wysokim murku i zgrabiętymi z zimna palcami wyciągnęła paszminowy szal Rose, owinęła sobie głowę, a potem rozpostarła przemoczoną mapę. Wyglądało na to, że jest w połowie drogi do hotelu. Deszcz jeszcze przybrał na sile. Woda spływała z obu stron Corso na środek jezdni i niczym rzeka sunęła w dół wzgórza.

Czarny, wychudzony pies dołączył do niej na suchym murku, otrząsnął się, ochlapując ją, a potem rzucił zawstydzone spojrzenie i chyłkiem uciekł. To, że kobiety w jej wieku marzą o pobycie w takich miejscach, by niespiesznie jeść obiad, podziwiać widoki i zażywać uciech cielesnych z młodymi, dobrze zbudowanymi mężczyznami, wydawało się czymś niedorzecznym.

Nagle przez monotonne kap-kap deszczu usłyszała, że w pobliżu ktoś gra na skrzypcach. Była to jakaś spokojna melodia, wcale niepasująca do aury. Nastawiła uszu, by usłyszeć lepiej. Szum ulewy tworzył coś w rodzaju rytmicznego *timpani*, ogólny efekt był całkiem przyjemny. Skrzypce zabrzmiały głośniejsze i Lily zamknęła

oczy. Niebezpieczne posiłki i cudowne widoki nagle wydały jej się bardziej prawdopodobne. Ale krótki flirt z romantyczną Toskanią niemal natychmiast przerwał płacz niemowlęcia.

Słyszała gdzieś, że matki mają dodatkowy zmysł, który pozwala im w morzu podobnych odgłosów rozpoznać płacz własnego dziecka i ze szczęścia natychmiast rośnie u nich poziom hormonów. Nie doświadczyła tego osobiście, ale wiedziała z całą pewnością, że kobiety bezdzietne też są wrażliwe na płacz niemowląt, z tą różnicą, że nie będąc matkami, słyszą płacz wszystkich dzieci. A hormony nie mnożą się u nich ze szczęścia, tylko rozbiegają jak kurczaki z uciętymi łebkami.

Kiedy była nastolatką, w pewien parny, sierpniowy dzień piły z koleżankami piwo. Nagle za sprawą piosenki zespołu Eagles przeniosła się na Fire Island. Było to wrażenie tak realistyczne, że czuła promienie słoneczne na karku i piasek pod stopami. Teraz odgłos płaczu dziecka przypominał jej z całą ostrością, że jest kobietą bezdzietną.

Miała wrażenie, że czuje to w swoim pustym łonie, że jakieś bezużyteczne przydatki zaciskają się na jej wnętrznościach i je szarpią. Poczucia to, kiedy stała, słuchając muzyki skrzypcowej, lekkiej fantazji w rytm bębnienia dużych kropli deszczu, spadających na Via del Corso.

Płaczące dziecko osłaniał ogromny czerwony parasol. Woda tryskała spod kół starego wózka sunącego środkiem stromej jezdni w stronę murku. Kiedy znalazł się bliżej, zobaczyła, że parasol jest przymocowany do rączki, żeby starzec, który go pchał, miał wolne ręce. A potrzebował obu rąk. Montevedova i wózki dziecięce nie były idealną kombinacją w żadną pogodę.

Lily pragnęła, żeby starzec skręcił w rozwidlenie ulicy, ale nie zrobił tego, tylko zbliżał się do jej miejsca schronienia, bezskutecznie próbując pokonać wózkiem krawężnik. Powinna podejść i mu pomóc, kiedy szarpał się z wózkiem, a z jego ust płynął potok przekleństw, co dało się wyczuć nawet bez znajomości języka. Ale nie ruszyła się.

Płacz stał się głośniejszy, staruszek przestał kłąć, nachylił się nad niemowlęciem i zaczął je uspokajać.

Odwróciła się, zaczęły ją szczypać oczy. Znów się odwróciła, kiedy usłyszała trzask drzwi gdzieś niedaleko. Młody mężczyzna, mniej więcej dwudziestokilkuletni, pojawił się w wejściu do sklepu na ukos od nich. Obrzucił Lily szybkim, taksującym spojrzeniem, spuścił głowę, zgarbił się i przebiegł przez jezdnię.

Pozdrowił staruszka, razem podnieśli wózek i wtoczyli go tam, gdzie było sucho. Starszy pan otrząsnął się z deszczu, a młody wyjął dziecko z wózka.

Lily pomyślała nagle, że niemowlę, które wyciągnął na zimne, wilgotne powietrze, może być dzieckiem Daniela, ale okazało się, że to dziewczynka: świadczyła o tym różowa wstążka zawiązana wokół dużej łysej główki. Dziewczynka po wyjęciu z wózka wydarła się ze złością, machała grubymi nóżkami wystającymi spod białej sukieneczki z falbankami. Wrzeszczała, kręciła główką, buzię miała pomarszczoną jak duży, czerwony rodzynek. Ale wystarczyło, by młody mężczyzna parę razy podrzucił ją w górę, zagadał pieśczośliwie, i płacz ustał, uradowana wyciągnęła rączki. Gaworzyła i śmiała się, kiedy podnosił ją i opuszczał, przemawiając śpiewnym głosem.

Lily nie mogła oderwać od nich wzroku. Pomyślała, że gdyby to zrobiła, przemieniłaby się w górę mokrych otoczków, które porwałby rześisty deszcz. Dlaczego odmówiono jej posiadania takiej słodkiej istotki? Co złego zrobiła? Gdzie jest sprawiedliwość?

Mężczyźni pożartowali sobie, młodszy pocałował dziewczynkę w czoło, czym wywołał jej pisk – tym razem zachwytu.

Z taką łatwością przemienił jej rozpacz w radość. Ciekawe, czy wiedział, jaki to wyjątkowy dar.

Daniel zawsze był niezdarny, gdy miał do czynienia z dziećmi. Trzymał je w dziwnych pozycjach, nie wiedział, co zrobić czy powiedzieć. To było zdumiewające, naprawdę, bo twierdził, że pragnie mieć dzieci, tak samo jak ona. Przypuszczała, że kiedy będzie miał własne, zachowa się inaczej, ale w ciągu sześciu dni i siedemnastu godzin, gdy cieszyli się małą Grace – pozwoliła sobie wybrać takie śliczne imię – sprawiał wrażenie niezbyt zachwyconego. Może czuł onieśmienie. Ciekawe, jakim Daniel jest ojcem dla swoich włoskich dzieci, czy wie, jak się do nich odnosić, czy jest to u niego czymś

naturalnym. Ona była najszczęśliwsza w życiu podczas niespełna tygodnia, gdy pozwolono jej opiekować się małą Grace.

Lepiej o tym nie myśleć.

Mężczyzna położył dziewczynkę do wózka, poprawił umocowanie parasola, pomógł wypchnąć wózek z powrotem na ulicę i staruszek znów zaczął mozolnie pchać go pod górę, ale w przeciwną stronę niż – jak wynikało z mapy – znajdował się hotel Lily.

Młody przez jakiś czas spoglądał za nimi, stojąc pod daszkiem, a potem przeniósł wzrok na Lily.

– *Buongiorno, signora!* – Wskazał głową na strugi deszczu. – *Piove a catinelle*, prawda?

– Przykro mi. Nie mówię po włosku.

– Ach, przepraszam. *Turista?*

– Nie. Znaczący się tak. *Sì. Turista.* – Muzyka skrzypcowa ucichła. Lily była zziębnięta, marzyła o prysznicu i przebraniu się w coś suchego. Deszcz nie przestawał padać. Ale musi jakoś dotrzeć do hotelu. Zaczęła zbierać swoje manatki.

– Alberto. – Mężczyzna podszedł do niej i wyciągnął rękę. – Może ma pani ochotę wstąpić do mojego sklepu i spróbować wina?

Miał krótkie, nastroszone ciemne włosy i pewien chłopięcy urok, co ją pociągało, podobnie jak kieliszek wina, ale coraz mocniej odczuwała szarpiący ból w środku, wywołany płaczem dziecka. Chciała znaleźć się sama w jakimś ciemnym i cichym miejscu.

– Może innym razem. – Uśmiechnęła się.

– Jest pani pewna? Wygląda, że deszcz szybko nie ustanie... Właśnie szykuję się do zjedzenia drugiego śniadania. Mam chleb, *prosciutto* i pomidory z ogródka mojej babki. Dopiero co mi przyniosła i powiedziała, że powinienem je zjeść z pierwszą ładną blondynką, którą zobaczę. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem panią. To chyba przeznaczenie, prawda?

– Moim zdaniem nie – odparła z większym naciskiem, niż zamierzała. – Przykro mi, ale jestem zmęczona i chciałabym jak najszybciej znaleźć się w swoim hotelu.

Alberto uniósł w górę ręce.

– Dobrze, dobrze. – Wciąż uśmiechał się ciepło. – Rozumiem. Nie ma sprawy. Tak czy owak, witamy w Montevedovie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się.

– *Ciao, ciao.* – Postawił kołnierz i wrócił biegiem do swojego sklepu.

Nim Lily znalazła się pod podartą i postrzępioną markizą hotelu Adesso, zdążyła sobie naciągnąć mięsień łydki i wykręcić ramię. Postanowiła, że z wdzięcznością przyjmie wszystkie, nawet najmniejsze wygody, oferowane przez hotel bez ani jednej gwiazdki.

Zatrzymała się pod markizą przemoknięta i pomasowała dłoń w miejscu, gdzie wpiła się rączka torby, utrudniając krążenie krwi. Właśnie wtedy uderzył ją prosto w twarz okropny smród.

Otworzyły się wszystkie drzwi w hotelu, w dwupiętrowym budynku rozległy się odgłosy obrzydzenia i oburzenia, a nad nimi górował krzyk pokojówki; biegła korytarzem, zatykając ręką nos.

– Co się stało? – spytała Lily, kiedy pokojówka zaczerpnęła haust świeżego powietrza i krzywiąc się masowała sobie brzuch.

– Zapchane rury – powiedziała. – Katastrofa.

– Wszystkie?

– Wybiły nieczystości w łazience.

– Ale ja mam się tutaj zatrzymać!

– Dziś to chyba niemożliwe. Proszę spróbować w hotelu Prato. Ma cztery gwiazdki.

Hall w głębi korytarza wypełniali rozgniewani goście, domagając się wyjaśnień od samotnej, udręczonej recepcjonistki, i marzenie Lily o schronieniu w pozbawionym gwiazdek hotelu rozplynęło się jak sen.

– Nie mogę w to uwierzyć. Hotel Prato zamknięto z powodu remontu. Wie pani coś o jakimś innym hotelu?

– Zamknięto hotel Prato? Czy pani... – Ale dalszy ciąg odpowiedzi pokojówki zagłuszył wrzask drobnej siwowłosej kobiety, która pojawiła się w hallu i dawała upust złości. – *Scusi* – powiedziała pokojówka, po czym zasłoniła twarz chusteczką i pobiegła korytarzem.

Lily patrzyła na rozpryskujące się na bruku przed nią krople deszczu i rozważała ponowną wędrówkę Corso. Smród nie zelżał, hall nie opustoszał. Wyszła na ulicę i skuliwszy się, zaczęła wspinać się pod górę. Zrobiła zaledwie parę kroków, kiedy po drugiej

stronie ulicy ujrzała mały domek porośnięty bluszczem, z krzywym napisem „Do wynajęcia” w ciemnym oknie.

Nie zastanawiając się, Lily otworzyła drzwi i weszła do środka, jej walizka przechylała się na boki, kiedy ciągnęła ją za sobą, torebka wysunęła się i upadła na podłogę, wokół niej zebrała się kałuża wody.

W środku panował mrok, ale nie musiała dużo widzieć, żeby się zorientować, że to nie zwykły dom. Jakiś sklep, pomyślała, kiedy wzrok przywykł do ciemności. Cukiernia. Małutka, niewiele większa od jej ulubionej garderoby w domu, ale nieskończenie ładniej tu pachniało. Przed sobą miała marmurowy kontuar w kształcie litery L. Na nim stało kilkanaście dużych mis ze żłobkowanego szkła w kolorach ciemnej czerwieni, błękitu i zieleni. Niektóre umieszczono na cokółkach, więc znajdowały się na różnej wysokości. Skąpe światło odbijało się od żyrandola, od wszystkich przedmiotów, a potem padało na misy, sprawiając, że Lily poczuła się tak, jakby się znalazła w samym środku witrażowego okna.

Zapach, którego nie potrafiła zidentyfikować, zdawał się emanować ze ścian. W pierwszej chwili pomyślała, że to cynamon, potem że wanilia, wreszcie że to coś kwiatowego, może lawenda. Zrobiło jej się bardzo przyjemnie, jakby owinęła się płaszczem z satynową podszewką. Już nie słyszała padającego deszczu, ciepło i korzenne zapachy w powietrzu sprawiły, że się odprężyła, krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, wróciły jej rumieńce.

W oknie z tabliczką „Do wynajęcia” stało samotne krzesło z kutego żelaza, a obok małutki okrągły stolik. Podłoga była wyłożona kafelkami, które tworzyły zwariowaną mozaikę w barwach spłowiałego oranżu, turkusu i szarości.

Zrobiła kilka kroków i zobaczyła, że misy są pełne *biscotti*, włoskich ciasteczek, których nigdy nie jadła, kiedy podawano je z kawą albo z rachunkiem w Baboo czy 'Cesca.

Napłynęła jej ślinka do ust. Dużo czasu upłynęło, odkąd coś jadła.

Na ścianie za ladą wisiało kilka półek, na których stała kolekcja przykurzonych pojemników na przyprawy i spłowiałych pudełek na ciasteczka. Odniosła wrażenie, że stoją tu od lat.

Prawdę mówiąc, cały sklep wyglądał jak relikwiarz minionej epoki. Jeśli to był sklep, Heigelmanna na pewno nie zainteresowałby się tym lokalem. Zmieściłoby się tu najwyżej pięciu klientów, i nie widziała kasy. Ani nikogo, kto by tu pracował.

Po bliższym przyjrzeniu się *biscotti* stwierdziła, że różnią się od tych, którymi gardziła w Baboo czy 'Cesca. Tamte były owalne i gładkie, te – dość niekonwencjonalne: miały różne kształty i nierówną powierzchnię.

Poza tym, o ile wzrok jej nie mylił – w pomieszczeniu mieniło się czarowne światło, nadając wszystkiemu eteryczny blask, więc mogła ulec złudzeniu – ciasteczka pokrywała warstewka kurzu.

Może to nie sklep, tylko jakieś muzeum. Tak czy owak, z całą pewnością to pomieszczenie nie było do wynajęcia, co wcale nie znaczyło, że nie było tu innego do wynajęcia, a Lily właściwie nie miała wyboru.

Wyszła z kałuży, która zebrała się wokół niej na podłodze.

– Dzień dobry! – zawołała. – Jest tu ktoś?

11

Wdowa Ercolani zaczekała, aż Lily opuści siedzibę informacji turystycznej, i wolno wykręciła numer wdowy Ciacci.

– Zarezerwowała pokój w Prato – poinformowała beznamiętnym tonem – więc skierowałam ją do Adesso, żeby była bliżej ciebie. Ale naprawdę nie rozumiem, o co całe to zamieszanie.

Ta starsza dama nie lubiła Grace Kelly w filmie „Okno na podwórze”. Należała do miłośniczek Sophii Loren.

– Mniejsza o to – odparła szorstko wdowa Ciacci. Było tajemnicą poliszynela, że wdowa Ercolani chciała, żeby Alessandro poślubił jej wnuczkę Adrianę, ale szkoda przyzwoitego faceta dla takiej latawicy. – Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć?

– Jest wysoka i pochodzi z Ameryki.

– Amerykanka? Och! Co jeszcze?

– Hm?

– Spytałam „co jeszcze”. Jest wysoka, pochodzi z Ameryki i...?

– Nie wystarczy tyle? Myślałam, że w tej sytuacji zrezygnujemy z niej. Poza tym jest za chuda jak na swój wzrost, i ubrała się nieodpowiednio na taką pogodę i na taki marsz. – Wdowa Ercolani nie musiała się zbytnio wysilać, żeby udawać zręczliwość. Miała to we krwi.

– Przecież chodzi nam o uleczenie serca Alessandra, prawda? – przypomniała jej wdowa Ciacci. – I nie my decydujemy, jak to się stanie ani kto to robi, tylko Violetta.

Wdowa Ercolani prychnęła. Na każdy temat miała swoje zdanie. Nawet Violetta nie była dla niej autorytetem.

– Cóż, ostatnio nie odnosimy takich sukcesów jak dawniej

– zauważyła kąśliwie. – Trzy ostatnie przypadki, którymi się zajmowałyśmy, zakończyły się niemal katastrofą.

To prawda. Od jakiegoś czasu nic im się nie udawało. Najpierw próbowały wyswatać syna piekarza z kobietą, która okazała się uczulona na mąkę; potem postanowiły skojarzyć bławatnika z jego szkolną ukochaną, nie wiedząc, że ostatnio wpadł w sidła hazardu; ostatnio pchnęły apetycznie zaokrągloną sekretarkę burmistrza w ramiona mężczyzny, który, jak się okazało, miał przyjaciela w Cortonie. Te trzy fatalne akcje pochłonęły dużo czasu i wysiłku, więc wdowy mocno przeżyły fiasko swoich zabiegów.

Nie ulegało wątpliwości, że nastąpiły ciężkie czasy, ale wdowa Ciacci nie chciała teraz w to wnikać. Bolał ją ząb i nie miała ochoty na wyciąganie szczegółów od wdowy Ercolani jak pestek z cytryny.

– Wszystko przez to, że kiepsko nam idzie zbieranie informacji – stwierdziła z przekąsem. – Co, przypominam ci, należy do twoich obowiązków.

– To nie jest przyczyną naszych niepowodzeń – zaprotestowała wdowa Ercolani. – Po prostu Violetta się zestarzała i nie potrafi już czynić cudów. – Ercolani sama czuła się staro. W uszach jej dzwoniło, dokuczały stawy biodrowe, a wydawała swoją rentę na czekoladę, więc nie starczało na środki przeciwbólowe.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy usłyszę, jak powiesz to Violetcie prosto w oczy na dzisiejszym spotkaniu – zauważyła wdowa Ciacci.

– Przepraszam. Co to było?

– Och, nieważne. Muszę zająć się rurami w hotelu Adesso.

– Cokolwiek byś mówiła – burknęła wdowa Ercolani – zrobiłam, co do mnie należało.

Tymczasem w domku na wzgórzu Violetta tak się przestraszyła, kiedy usłyszała, jak Lily woła z *pasticcerii*, że aż zakrztusiła się kawą, niemal opluwając siostrę siedzącą po drugiej stronie stołu.

– Już tu jest – powiedziała Luciana, niespieszona. – Szybko.

– Ten głupi dzwonek u drzwi! – wybełkotała Violetta.

Co się dzieje z czasem? Miała wrażenie, że dopiero co wydała instrukcje i poszła do toalety – w jej wieku to bardzo absorbujące zajęcie – a ta Lily już jest pod drzwiami i nawołuje.

Mimo że nie czuła łaskotania w nosie ani zapachu kwiatów pomarańczy, a jej zwykle łagodna młodsza siostra zmusiła ją do przyjęcia w szeregi ligi irytującej i nieodpowiedniej Fiorelli Fiorucci, zaskoczyło ją to, delikatnie mówiąc.

Pociągnęła łyk kawy. Prawie nie czuła smaku. Mniejsza o szósty zmysł, zostało jej ich teraz pięć, jeśli nie cztery. To sprawiło, że ogarnęło ją przygnębienie.

– Czemu się tak na mnie gapisz? – warknęła na siostrę. – Chyba mi wolno usiąść na pięć minut i napić się kawy bez konieczności słuchania, jak muczysz na mnie jak stara krowa, no nie?

– Jeśli ja jestem starą krową, to ty jesteś jeszcze starszą – odcięła się Luciana. – Co cię ugryzło?

– Nic mnie nie ugryzło. Po prostu obmyślałam dalszy plan działania.

– Przypuszczałam, że już wszystko obmyśliłaś. – Luciana głośno odsunęła krzesło, wstając wolno. – Zabierz Grace Kelly na górę i wyciągnij z niej wszystkie informacje, a ja razem z Ciacci spotkam się z Benedicti i resztą, by przystąpić do ustalania naszej strategii wobec Alessandra. Potem...

– Tak, tak, wiem, jak to się załatwia, Luciano. Pamiętaj, że ja jestem przewodniczącą ligi.

– Nie ma co, ładnie się urządziłaś. – Luciana uniosła obwisłe powieki, żeby lepiej przyjrzeć się siostrze. Rzeczywiście była stara. A dziś wyglądała wyjątkowo kiepsko. Poczowała lekkie drzenie gdzieś w pobliżu wciąż bolącego dużego palca u nogi, które nie miało nic wspólnego ze złamanym sercem. Chyba że z jej własnym.

– Dobrze się czujesz, Violetto? – spytała cicho.

Usłyszała coś w rodzaju prychnięcia.

– Zawsze dobrze się czuję. – Violetta sztywno wstała zza stołu. – Oczywiście ja będę mówić. A więc do dzieła.

12

Lily słyszała stłumione zrzęczenie, odgłos przesuwanych krzeseł i szurania nogami, nim drzwi w głębi sklepu otworzyły się ze skrzypieniem i wyszły przez nie dwie ludzako do siebie podobne staruszki, obie ubrane na czarno, obie z cienkimi siwymi włosami zebranymi w koczki, obie tak pomarszczone, że ich twarze przypominały suche jesienne liście.

Stanęły ramię przy ramieniu za kontuarem i po dłuższej chwili mierzenia jej wzrokiem jedna z nich zasypała Lily gradem niezrozumiałych słów, podczas gdy druga wciąż jej się przyglądała, kiwając głową.

– Najmocniej przepraszam... Nic nie rozumiem, nie znam włoskiego. – Lily próbowała przerwać monolog. – Chodzi mi o pokój do wynajęcia.

Trajkocząca staruszka nie przestała trajkotać, a potakująca – potakiwać.

– Jest pokój do wynajęcia? – powtórzyła głośniejszym głosem. – Czy może to kwatery? – Podeszła do okna i postukała w tabliczkę. – *Apartamento? Rento?*

Potakująca kobieta powiedziała coś do trajkoczącej. Umilkły i znów zmierzły ją wzrokiem od stóp do głów, po czym potakująca wyszła ze sklepu.

Trwało to wszystko dość długo, bo staruszka bardzo wolno się poruszała.

– A więc w sprawie tego pokoju – powiedziała Lily, kiedy potakująca zniknęła za drzwiami. – Może mi pani powiedzieć coś więcej? Bo jestem lekko zdesperowana.

Staruszka podparła się obiema rękami pod brodę i tak mocno się skrzywiła, że jej zmarszczki zaszły jedna na drugą, poruszając się jak kręgi na wodzie. Małe ciemne oczy zaświeciły się pod opadającymi powiekami. Wyszła zza lady, podeszła do Lily i schwyciła ją za rękę. Palce miała spuchnięte, zniekształcone, ale zdumiewająco miękkie i ciepłe.

Sięgała Lily do ramienia. Widziała jej cienkie włosy na czubku głowy, znoszony kołnierzyk czarnej bawełnianej sukienki. Pachniała wawrzynkiem. Nie tego Lily się spodziewała po jej wyglądzie. Z doświadczenia, dość skąpego, wiedziała, że starzy ludzie nie pachną tak ładnie.

Poczuła gulę w gardle, niewytłumaczalny przyływ źle ułożonego uczucia. Była zmęczona po długiej podróży samolotem, czuła się skrępowana.

– Nie mówić *italiano* – powiedziała staruszce, czując się jak prostytutka. Kiedyś Daniel zaproponował, żeby brali lekcje włoskiego, ale nie widziała sensu.

Stara kobieta mocniej ścisnęła jej dłoń, a potem pociągnęła Lily i zaczęła ją oprowadzać po małym sklepiku, wspierając się na niej lekko; stuknęła w szklane misy, tupnęła w podłogę, wskazywała napis w oknie i ani na chwilę nie przestawała radośnie paplać po włosku.

Lily uśmiechała się i kiwała głową; była przemoczona do suchej nitki, kompletnie wykończona i nie wiedziała, co innego mogłaby robić. Biorąc to za znak zgody, stara kobieta puściła jej rękę i dziarsko złapała walizkę. Jak na kogoś tak słabego udało jej się zdumiewająco szybko przeciągnąć walizkę za kontuar i przez drzwi, za którymi zniknęła siostra.

Lily zaczęła chwilę, a kiedy dotarło do niej, że kobieta nie zamierza wrócić, podążyła za nią. Pomieszczenie na zapleczu też było mroczne i też rozchodził się w nim odurzający zapach, ale tu nie czuło się chłodu jak w sklepie. Najwięcej miejsca zajmował duży stół, podobny do tych w refektarzach, tak często używany, że blat już nie był gładki, tylko pełen wybrzuszeń i zagłębień. Na obu krańcach stały dwa krzesła, pod ścianą w głębi ustawiono łóżko, na którym piętrzył się stos kołder. Za stołem znajdowało się coś

w rodzaju kuchni, półki z zasłonkami i mały telewizor na skrzyni, pełniący prawdopodobnie funkcję lodówki.

– Czy to ten pokój? – spytała Lily. Miała ochotę się położyć, a w pomieszczeniu było przyjemnie ciepło i mimo skromnego wystroju dziwnie przytulnie. Jednak łóżko wydawało się dla niej za krótkie.

– Przykro mi, ale widzi pani, chyba szukam czegoś innego – powiedziała staruszce, która wydała tylko jakiś gardłowy okrzyk i wskazała sufit, pomalowany na jasnożółto, ze zwisającym żyrandolem.

– Tak, jest śliczny, ale mimo wszystko – mówiła Lily, sięgając po torbę. Staruszka nie chciała jej puścić, kręciła głową, w jej małych czarnych oczach pojawił się stalowy błysk, kiedy otworzyła kolejne drzwi – Lily myślała, że do kredensu – i za nimi zniknęła.

– Och, na litość boską – mruknęła, ale ruszyła za kobietą. To nie był kredens, tylko wąskie schody, prowadzące do drugiego pokoju na górze, większego i jaśniejszego, z podwójnym łóżkiem, większym żyrandolem, olbrzymim telewizorem i takim samym dziwnym, słodkokorzennym zapachem.

Łóżko wyglądało zapraszająco, Lily nie pragnęła niczego więcej, tylko położyć się w miękkiej pościeli i pograżyć w nicości.

Sufit w tym pokoju też był pomalowany metodą al fresco w jasny, niebiesko-żółty, delikatny deseń kwiatowy, z fioletoworóżowymi i zielonymi zakrętasami na rogach. Coś to Lily przypominało; nie kojarzyła, co, ale coś miłego.

Stara Włoszka stała pośrodku pokoju, mamrocząc coś niezrozumiale, ale kiedy Lily rozglądała się po pokoju i rozważała ewentualność zatrzymania się tutaj, uświadomiła sobie, że kobieta wcale nie mamrocze, tylko powtarza w kółko kilka słów.

– *Mi chiamo Violetta* – mówiła staruszka. – *Mi chiamo Violetta*. – Postukała się w zapadniętą pierś, gdzie kiedyś miała biust (teraz piersi jej zwisały, jedna niżej od drugiej). – *Violetta. Capita? Violetta. Violetta.*

– Och, naturalnie! – wykrzyknęła Lily, kiedy wreszcie zrozumiała, że kobieta jej się przedstawia. Potwierdziła to, składając śmieszny ukłon, co prawdopodobnie nie należało do włoskiego zwyczaju, chyba że podczas spotkania z papieżem. – *Violetta*

– powtórzyła. – Miło mi panią poznać. Jestem Lily. *Mi chiamo Lily?* Tak to mówicie?

Violetta uniosła smętne resztki brwi.

– Li-li. – Wzruszyła ramionami. – Li-li. Dobrze. – Pokuśtykała do splewiałych zasłon w kwiatowy wzór, rozsunała je, by pokazać duże panoramiczne okno, wychodzące na dolinę.

Lily podeszła krok bliżej.

Deszcz przestał padać i chociaż miejscami mgła skrywała pofałdowany krajobraz i snuła się wokół kęp drzew, Lily ujrzała coś, co zaparło jej dech.

– O, mój Boże! – wykrzyknęła. Zapomniała o poobcieranych nogach, głodzie i niepokoju.

Widok był zadziwiający. Nagle wyobraziła sobie wyraźnie te długie posiłki i młodych, dobrze zbudowanych, zmysłowych mężczyzn.

Co więcej, kiedy tak patrzyła, posępna mgła nie przestawała się unosić, ukazując pofałdowany kobierzec w różnych odcieniach zieleni – ciągnął się od Montevedovy aż po horyzont. Szeregi smukłych cyprysów wyrastały na odległych graniach, równe rzędy drzew oliwnych przecinały wzdłuż i wszerz szmaragdowe pola, winorośle pięły się w górę i schodziły w dół łagodnych zboczy. Mikroskopijne pomarańczowe wille, wciśnięte pomiędzy kaskady liści, dopełniały bajkowy widok.

Gołąb – w Nowym Jorku taki brzydki ptak – z wdziękiem trzepotał skrzydłami nad dachem pokrytym terakotowymi dachówkami. Kiedy odfrunął, wodząc za nim wzrokiem, dostrzegła inne domy na wzgórzu w oddali, wznoszącym się nad krnąbrnym pasmem mgły niczym kapelusz kardynałski.

– Jak tu ślicznie. – Była zachwycona. – Jak ślicznie!

– *Sì, molto bello* – przyznała Violetta, niezbyt przejęta. – *Molto bello.*

– *Molto bello.* – Lily otworzyła okno i wychyliła się. Jak ten zdumiewający widok, ten niezwyklej krajobraz mógł się ukrywać za tą kurtyną okropnego deszczu i pod warstwą wstrętnego błocka?

W dole po lewej stronie coś dużego i okrągłego próbowało się przebić przez warstwę upartej mgły. Po chwili ukazała się miedziana kopuła i dzwonnica, Madonna di San Biagio – kościół ze zdjęcia w bucie Daniela.

Mgła całkiem opadła i Lily zobaczyła wszystko bardzo wyraźnie. Trafiała tutaj z konkretnego powodu i nie czas na sentymenty.

Odwróciła się z kamienną twarzą i pozwoliła, żeby Violetta pokazała jej malutką łazienkę z mikroskopijną kabiną prysznicową, miniaturowym sedesem i zaledwie jedną szafką.

Nie zdecydowałyby się na taki pokój, ale był nieskazitelnie czysty i suchy, a ona była przemoczona i wyczerpana.

– Wie pani co? Chyba się na niego zdecyduję. Przynajmniej na kilka dni. W porządku?

– *Sí, sí*, w porządku, w porządku – powiedziała staruszka, klepiąc narzutę na łóżku.

Lily miała ogromną ochotę się na nim wyciągnąć. Gdyby udało jej się przespać kilka godzin, a nawet kilka minut, mogłaby jaśniej myśleć.

Wyjęła z portfela pięćset euro i zaskoczyło ją, kiedy Violetta złapała banknot, ale była zbyt wyczerpana, by próbować dalej z nią rozmawiać. Dotknęła palcem ust, mając nadzieję, że na całym świecie ten gest znaczy „niech to będzie nasza mała tajemnica”, i zaczęła, aż stara kobieta zrobi to samo. I doczekała się. Potem nastąpiła długa, niezrozumiała przemowa, zakończona skinieniem ręki na pożegnanie.

Kiedy tylko Lily została sama, ściągnęła szpilki, zdjęła przemoczone ubranie, położyła się na łóżku i niemal natychmiast pogrążyła się w błogiej nicości.

13

Wdowy bynajmniej nie stanowiły przykładu zgodnej społeczności, kiedy Violetta pokuśtykała na dół, żeby spotkać się z nimi w podziemiach kościoła.

– Nie macie racji – krzyczała jedna grupa.

– Nie, to wy nie macie racji – twierdziła druga.

– Wszystkie nie macie racji – dołączyła do kłótni trzecia grupa.

Myśląc, że sprzeczą się o Lily i Alessandra, Violetta zagryzła usta i podeszła do siostry; Luciana stała pod rudym gobelinem i popijała z kieliszka *vin santo*.

– Co tu się dzieje? – szepnęła Violetta.

– Fiorella przyniosła *torta della nonna*. – Luciana wskazała stół, na którym nie zostało nic poza kilkoma okruszkami na zmiętym papierowym talerzu.

– Co zrobiła?

– Przyniosła *torta della nonna*; była pyszna, ale stała się powodem ostrej dyskusji.

– Bierze się całe jajka do ciasta – rozległ się czyjś gniewny głos.

– Nie, same żółtka!

– I dodaje skórkę pomarańczową.

– Nie, wanilię.

– Nie, łyżkę oliwy.

– O tym, czy *torta della nonna* jest dobra, decyduje nie ciasto, ale nadzienie!

– Tylko ricotta – zakrzyknęła jedna grupa.

– Żadnej ricotty – sprzeciwiła się druga.

Violetta weszła w sam środek spierających się kobiet i większość uciszyła jednym spojrzeniem. W ostatniej kolejności spojrzała na Fiorellę – siedziała z zadowoloną miną na krześle, dekolt miała obsypany okruszami ciasta.

– Nie jemy *torta della nonna* na spotkaniach Tajnej Ligi Owdowiałych Cerowaczek – oświadczyła zimno Violetta. – Jemy *cantucci*.

– Czyżby? – prychnęła Fiorella. – Kto tak powiedział?

– Ja – odparła z naciskiem Violetta.

Wdowa Mazzetti uniosła w górę księgę ze statutem i nią potrząsnęła, chociaż mało nie umarła, odmawiając sobie paru kawalków smakowicie wyglądającej *torty*.

– Takie są zasady – przypomniała Violetta.

Fiorella nie była przyzwyczajona do towarzystwa innych kobiet, a właściwie stała się odludkiem, i zaczęło do niej docierać, że sobie nie radzi, jeśli chodzi o nawiązywanie relacji z innymi.

– Dobrze. Nie ma sprawy. Skoro tak twierdzisz. – Wzruszyła ramionami. – To tylko *dolci*. Pomyślałam, że niektóre z nas chętnie zjedzą coś słodkiego.

– Mniejsza o to. Naprawdę chcemy pomóc tej nadętej amerykańskiej królowej śniegu? – Wdowa Ercolani przeszła do rzeczy. Cierpiała na niestrawność, więc nie spróbowała *torty*, chociaż może przydałoby jej się coś na osłodę życia. – Jeśli chcecie znać moje zdanie, ściągamy sobie kłopoty na głowę, zajmując się autsajderką. Kto zagwarantuje, że nie porwie Alessandra, kiedy zrobimy swoje?

Benedicti nie pomyślała o tym i spanikowana odwróciła się w stronę Violetty; oczekiwała wsparcia.

Formalnie w lidze obowiązywała demokracja, teoretycznie decyzje podejmowano, kierując się zdaniem większości, ale ostatnie zdanie miała Violetta, od zawsze; uważano ją za kogoś w rodzaju dalajlamy, tyle że ubierającego się na czarno.

I prawdę mówiąc, Villetta zawsze wierzyła, że w sprawach sercowych posiada szósty zmysł, a pomagała jej w tym Luciana, posiadaczka pięciu i pół zmysłu.

Zwykle dokładnie wiedziała, co robić i kto ma to zrobić, ale dziś nie dzwoniły żadne dzwonki, nie widziała żadnych znaków, jej umysł był absolutnie czysty. Czy Alessandro to naprawdę ich

calzino rotto? I czy Lily rzeczywiście mogła być kobietą, która uleczy jego złamane serce?

Dziś czuła się tak, jakby *cornetto*, które zjadła na śniadanie, utkwilo jej w przelyku i zawsze będzie tam tkwić..

– A co powiecie o Robercie, kierowcy autobusu z Cremony? – odezwała się Luciana, starając się pomóc siostrze. – Poznałyśmy go z Angeliką ze szkoły językowej? O ile pamiętam, początki były trudne, a teraz mają dzieci i wnuki.

– Cremona to nie zagranica – zauważyła Ercolani.

– Ręka w górę, która z was była kiedykolwiek w Cremonie. – Violetta odzyskawszy rezon, wykorzystała okazję.

Żadna nie podniosła ręki.

– Ręka w górę, która z was była kiedykolwiek w Ameryce.

Ani jedna ręka się nie uniosła.

– W tej sytuacji uważam, iż można śmiało powiedzieć, że Ameryka nie jest w większym stopniu zagranicą niż Cremona.

To zadowolilo większość obecnych, ale Fiorella uznała, że powinna głośno wyrazić swój sceptycyzm.

– Pozwólcie, że powiem bez ogródek: widziano tę blond *turista*, jak rozmawia ze starym przykiem w dolinie, i na tej podstawie uznaliście, że są dla siebie stworzeni?

– Widziano, jak blond *turista* rozmawia ze starym przykiem w jeden z wyjątkowych dni Violetty – odparła z naciskiem wdowa *Benedicti*. – To istotne. I nawiasem mówiąc, nie jest starym przykiem. – To, że Alessandro nie jest starym przykiem, już wcześniej zostało ustalone.

– No tak. Dobra zasada. – Fiorella przeciągając słowa, przewróciła oczami – co robiła z niezwykłą wprawą.

Kiedy indziej Violetta zamknęłaby jej usta groźnym spojrzeniem albo poprosiłaby wdowę *Mazzetti* o przypomnienie, co mówi regulamin w kwestii narodowości, ale wydarzenia dzisiejszego dnia wytrąciły ją z równowagi. No i ten ostry ból w piersiach nie dawał jej spokoju. Czowała się, jakby ktoś ją dźgał palcem od środka.

Z doświadczenia wiedziała, że trudne sprawy czasami można rozwiązać na przykład przez analogię do cerowania, i uwzględniając okoliczności, postanowiła to wykorzystać.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że naszym zadaniem nie jest ocenianie skarpetki na podstawie jej koloru, a nawet jakości włóczki, a jedynie zacerowanie dziury, czy to na palcu, czy na pięcie.

Jej słowa najpierw przyjęto milczeniem, potem parę wdów skinęło głową, dołączały kolejne, a po chwili gdziekolwiek spojrzeć, widziało się potakujące skinienia.

I tylko jedną parę oczu, wzniesioną do góry.

Snop porannego światła padał na twarz Lily i przez moment myślała, że jest u siebie, w mieszkaniu przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

Otworzyła oczy, przeciągnęła się i dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że nie leży obok Daniela na materacu Hästens, który sobie kupiła na czterdzieste urodziny, chociaż kosztował tyle, ile samochód. Daniel nie spał obok niej, pościel była w odcieniu morelowym, którego nigdy nie dopuściłaby do swojego apartamentu, a to, że miała naelektryzowane włoski na ręce, świadczyło, że pościel uszyto z poliestru.

Przekręciła się na bok i spozrzała na ogromne, puste łóżko.

Znów przewróciła się na wznak. Westchnęła. Niech w pełni dotrze do niej beznadzieja sytuacji.

Jeśli ma być szczerą wobec samej siebie, już od dawna poranki były fatalne, nie pierwszy raz tak się czuje.

To dlatego w domu dbała, by mieć zapełnioną każdą minutę od chwili, kiedy otworzy oczy. Niezrażona stawiała czoło nowym wyzwaniom. Odpowiadało jej to. Zakonnice zawsze mówiły, że bezczynność prowadzi do złego, i Lily przekonała się, że dotyczy to również bezczynności umysłu. Diabeł wtedy podsuwa mu zajęcie.

Usiadła na łóżku z syntetyczną pościelą, aż naelektryzowała się jedwabna piżama. Powinna wyjść i wycisnąć z siebie siódme poty, ale kiedy stała, szukając butów do biegania, zobaczyła przez okno panoramiczne widok jak z pocztówki.

Toskania, miejsce, którego nigdy nie miała najmniejszej ochoty zobaczyć, chociaż nie brakowało okazji, i nawet nie próbowała sobie

wyobrazić, a pierwsze spotkanie z nim smutno ją rozczarowało. Ale dziś rano oszołomił ją krajobraz za oknem.

Gapiała się na pofałdowaną mozaikę zieleni; tyle różnych odcieni, a każdy głębszy lub jaśniejszy, inny od sąsiedniego. Dotarło do niej, że gdyby kiedyś spróbowała sobie wyobrazić Toskanię, widziałaby ją jako pełną spalonego oranżu i złota; to intensywne barwy, ale ostre i suche w porównaniu z kolorami soczystych i kwitnących łąk, winogron, oliwek, lasów i pól, ciągnących się w dole.

To wszystko było takie piękne, że nie mogła się skupić na tym, co ją tu sprowadziło.

Oparła się o framugę okna i patrzyła, jak światło dnia przesuwają się po krajobrazie; zapomniała o morelowej poliestrowej pościeli i swoim nieszczęsnym sercu.

Powinna wyjść, coś zrobić, wziąć się do tego, co ją tu sprowadziło – czymkolwiek to było – ale stała jak zahipnotyzowana widokiem słońca, wznosiło się coraz wyżej, wolno rozciągając złociste palce na wzgórze i doliny.

Dopiero kiedy usłyszała, jak na dole coś upuszczono z hukiem, uświadomiła sobie, że jest głodna. Nie miała pojęcia, która godzina może być w Nowym Jorku ani ile posiłków opuściła. Nie miała nic w ustach od wczorajszego lotu. Umierała z głodu.

Przeszła przez pokój i wyrzła przez drugie okno, wychodzące na Corso. Hotel Adesso sprawiał wrażenie, jakby wcale mu nie zaszkodziła wczorajsza awaria rur kanalizacyjnych; cichy, z zamkniętymi okiennicami wyglądał, jakby spał, jak reszta ulicy. Słońce jeszcze nie obudziło miasteczka złotym dotykiem, jak obudziło Lily i dolinę.

Ciekawa była, czy Daniel śpi gdzieś w pobliżu, odprężony, z jasnymi włosami sterczącymi z jednej strony (zawsze sterczały, nim je umył rano), a śniada, niebezpieczna kobieta rzuca się niespokojnie na łóżku obok niego.

Znów ścisnął się jej żołądek, ale nie z głodu, tylko na wspomnienie Daniela. Odwróciła się od pięknego widoku.

Powinnam być zła, pomyślała, kiedy myślała włosy w mikroskopijnej kabinie prysznicowej, a nie zachwycać się pięknym widokiem i wyobrażać sobie zdradzającego mnie męża. Powinnam być

wściekła. Ale nie była. Za sprawą swojej matki aż za dobrze poznała, co to wściekłość. To klapsy i kuksańce, krzyki i płacz, ostre przedmioty ciskane w stronę małych główek, przerażające groźby, rynsztokowy język, ataki furii.

Lily czuła coś dziwnego – ostatecznie była w Montevedovie – ale w niej nie wrzało, emocje nie wybuchały, jak w przypadku matki. To, co ją dręczyło, było jak swędzenie, które może doprowadzić człowieka do szału, albo dotkliwy ból o nierozpoznanym źródle.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, starając się dostrzec na twarzy jakieś zewnętrzne oznaki kryzysu, ale tam również nie zauważyła mimicznych śladów furii; może nieco napiętą skórę wokół oczu, przygaste spojrzenie.

Kiedyś uważała się może nie za piękność – kto się za nią uważa? – ale za osobę o miłej powierzchowności. Nadal tak sądzi, ogólnie rzecz biorąc, nie wygląda źle: blond włosy, wydatne kości policzkowe, ładna cera, jak na kobietę w jej wieku, szczupła sylwetka, którą sobie ciężko wypracowała.

Przestała się wycierać i spojrzała na siebie: na przerwę między jędrnymi udami, kanciaste biodra, żebra, małe, ale sterczące piersi, obojczyk, kwadratowe ramiona.

Była szczupła. Zadbała o to. Kontrolowała swoje ciało z takim samozaparciem, jak to robią jedynie zawodowi sportowcy i aktorki.

Z upływem czasu stawało się to dla niej coraz ważniejsze, bo z każdym mijającym rokiem bezdietności wyraźniej widziała, że ten zespół mięśni i kości ma niejako swój własny pogląd w kwestii, która miała dla niej największe znaczenie.

Żaden specjalista nie potrafił zdiagnozować, dlaczego nie mogła donosić ciąży.

Naturalnie była u wszystkich lekarzy medycyny konwencjonalnej, nawet u psychiatry na wypadek, gdyby istniał jakiś tajemny, emocjonalny stan, który sabotował jej plany macierzyńskie, ale jeśli uwzględnić okoliczności, zdała ten test śpiewająco. Była u naturopatów, homeopatów, specjalistów od akupunktury, zielarzy, specjalistów w dziedzinie refleksologii, mistrzów reiki, irydologów; dała sobie nawet zbadać włosy dziwnie pachnącemu mężczyźnie

z brodą do pasa, by się przekonać, czy przypadkiem one nie kryją jakiegoś okropnego sekretu. Nie kryły.

Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby przygotować organizm do tak upragnionego macierzyństwa. Zrezygnowała z alkoholu, kawy, napojów gazowanych, owoców morza i sera. Zwiększyła spożycie kwasów tłuszczowych, kwasów omega-3, błonnika, łykała kwas foliowy oraz selen i cynk w tabletkach. Ale ciało ją zawiodło, więc teraz, żeby się odplacić, katowała je, by móc nosić ubrania w rozmiarze 2. Tyle poświęceń, a skończyła jako wieszak na ubrania.

Musiała przyznać, że ma ładne ciuchy, kiedy włożyła białe rybaczki i miękką różową górę z dekoltem w łódkę. Udała się na dół, zastanawiając się, co jej strześliło do głowy, by wynająć pokój, z którego jedyne wyjście na ulicę prowadzi przez czyjeś mieszkanie. Zapewne nieraz spotka Violetę i jej zabawnego małego sobowtóra.

Rzeczywiście słyszała, jak siostry szczebioczą, kiedy schodziła po schodach. Na jej widok ucichły, ale tylko na chwilę.

– *Mia sorella*, Luciana. – Violetta popychała siostrę w stronę gościa. – Luciana. Luciana. Luciana.

– Luciana? Dzień dobry – powitała ją Lily. – Dzień dobry pani, Violetto.

Stół i znaczną część kuchennej podłogi pokrywała mąka. Prawdę mówiąc, gdyby Lily nie wiedziała, jaki jest piękny dzień, mogłaby pomyśleć, że spadł śnieg. Violetta miała tyle mąki na twarzy, że wyglądała jak pomarszczona stara gejsza, a czarna sukienka Luciany była niemal całkiem biała.

Lily próbowała je ominąć i zejść im z drogi, ale szybko się okazało, że mają wobec niej inne zamiary. Nim się zorientowała, co się dzieje, zapędziły ją do jednego końca dużego stołu i pchnęły na krzesło, jedna staruszka wcisnęła jej do ręki coś w rodzaju francuskiego rogalika, a druga filiżankę mocnej kawy.

– Właściwie zamierzałam gdzieś pójść na śniadanie. – Lily już wstawiała, ale Violetta – a może to była Luciana, miała trudności z ich odróżnieniem – posadziła ją na miejscu.

– Nie mogę – zaprotestowała, patrząc na croissanta; próbowała postawić na swoim. – Szczerze mówiąc, słodkie pieczywo nie... Zwykle nie... Myślałam, że to francuski zwyczaj... Raczej wolę...

Siostry gapiły się na nią, mrugały, nie rozumiejąc ani słowa. Jak na niepozorne staruszki były dość apodyktyczne.

– No cóż, może mały kawałek. – Lily nie chciała okazać się źle wychowana i ugryzła kasek. Prawdę mówiąc, był całkiem smaczny, chociaż czuła, jak maślany tłuszcz osiada jej na podniebieniu. Nie była do tego przyzwyczajona. Napila się kawy i żeby odwrócić uwagę od rogalika, wskazała boczne okno, wychodzące na nijaki budynek po drugiej stronie ulicy.

– Prześliczny dzień. Pomyślałam sobie, że wybiorę się na spacer po mieście albo przejażdżkę po okolicy.

Jedna z sióstr podeszła, szurając nogami, do półek i wzięta ogromną emaliowaną puszkę z mąką, a druga sięgnęła po podobną puszkę z cukrem.

Ku wielkiemu zdumieniu Lily Violetta (jak jej się wydawało) teatralnym gestem wysypała większość mąki na stół przed nią. Mąka wzniosła się w powietrze niczym grzyb po wybuchu bomby atomowej i stało się jasne, dlaczego całe pomieszczenie wygląda jak zasypane śniegiem.

– Och, przepraszam. – Lily odsunęła krzesło, pomyślała, że przeszkadza.

Ale potem zbliżyła się Luciana i wysypała na mąkę cukier.

Staruszki spojrzały na nią i jednocześnie uniósłszy ręce przypominające sękaty gałęzie starych, powykręcanych drzew, zaczęły nimi poruszać.

Z identycznymi uśmiechami na twarzy zanurzyły sękaty dłonie w kopczyku mąki i cukru na stole, by wszystko wymieszać.

Wszędzie było pełno mąki i cukru: w powietrzu, na podłodze, na ich ubraniach. Sypkie składniki ciasta tańczyły niczym dobrze podsycony ogień na kominku.

– Moje panie, jestem pewna, że dokonano cudownego wynalazku, który okazałby się bardzo przydatny w waszej pracy – powiedziała Lily. – Nazywa się miska. Może podać ją wam?

Siostry znów coś do siebie zaświergotały, a potem jedna podsunęła Lily niedojedzony rogalik. Wzięta go i ugryzła kawałek.

Przez chwilę przyglądały się jej z zainteresowaniem, potem Violetta poczłapała do lodówki i wróciła z tuzinem jaj; część wbiła

do mieszaniny na stole, a Luciana powykrecanymi artretyzmem palcami próbowała połączyć składniki.

– Są też łyżki. – Lily nie mogła oderwać oczu od osobliwego widoku robienia ciasta. – Mogłybyście spróbować posłużyć się łyżkami do mieszania. Od razu zauważyłybyście różnicę.

Luciana się skrzywiła i odsunęła od stołu. Violetta zajęła jej miejsce.

– Widzę, że powinnam wam pomóc – odezwała się Lily. – Tyle że niezbyt dobra ze mnie kucharka.

Chwilę później Luciana przyniosła mały ronderek roztopionego masła i wylała je na masę na stole, która przemieniła się w grudkowate żółte ciasto. Violetta odsunęła się i wyprostowała plecy najbardziej, jak mogła, czyli niezbyt, i Luciana ją zastąpiła w pracy.

Lily teraz rozumiała, dlaczego ich ciasteczka są kostropate. Starsuszki były zbyt słabe, by je dobrze wyrobić, przyglądanie się ich wysiłkom sprawiało przykrość. Ale zarazem było w tym coś niezwykłego: przypominało współczesny balet. Robiły to bez względu na efekt.

Zapach, kiedy ciepłe masło połączyło się z ciastem, sprawił, że Lily zakręciło się w głowie. Był taki... Nie wiedziała jaki, ale niespodziewanie poczuła ucisk w gardle.

– W dzisiejszych czasach są maszyny do wyrobu ciasta – powiedziała łamiącym się głosem. – Miksery i roboty kuchenne, i wiele innych urządzeń.

Violetta i Luciana wciąż zamieniały się miejscami, unosząc w powietrze tłuste od masła i umączone dłonie jak szpony, cofały się i występowały do przodu, idealnie ze sobą zgrane.

Lily poczuła, jak po policzku toczy się jej łza, gdy starszuszka pokuśtykała po misce orzechów laskowych. Niezgrabnie wmieszały je do ciasta. Na koniec Violetta podzieliła ciasto na dwie części. Luciana każdą część znów podzieliła na połowę i utoczyła z nich cztery nierówne wałki, które Violetta umieściła na blaszce i wsunęła do piekarnika.

– Ja w swoim piekarniku trzymam kaszmirowe swetry – przyznała się Lily siostrze, ocierając oczy, kiedy wysypały więcej mąki i cukru na stół i zaczęły wszystko od nowa. Jak, na Boga, z tych nieforemnych wałków mogły powstać *biscotti*?

– Chociaż też mam siostrę, Rose – ciągnęła. – Kiedyś przyrządziła w nim indyka na Święto Dziękczynienia. Znaczy się w moim piekarniku.

Do mąki i cukru trafiły jajka.

– To było chyba po tym, jak drugi raz poroniłam – mówiła Lily. – Uważałam, że nie mam za co dziękować, ale Rose to nie odwidło od przyjazdu. Pojawiła się ze swoim dzieckiem i butelką szampana. I naturalnie z Alem, niosącym kosz z wielgachnym indykiem, tajnym przepisem jego matki na nadzienie oraz plackiem z orzechami, którego, nawiasem mówiąc, nie znoszę.

Violetta dodała więcej roztopionego masła do drugiej porcji ciasta na *cantucci*.

Lily pamiętała, że w tamto Święto Dziękczynienia opróżniła więcej niż jedną butelkę szampana.

Prawdę mówiąc, to mogło być po tym, jak poroniła po raz trzeci. I myślała wtedy, że nie ma za co dziękować! Wtedy jeszcze nie wiedziała, że ogółem okrutny los odbierze jej pięć aniołków, zanim jeszcze ona je pozna.

– A potem pojawiła się Grace – powiedziała rozmarzonym tonem, przypominającym szept. – Malutka Grace.

Też została jej odebrana, ale Lily zdążyła poznać maleństwo.

– Dane mi było trzymać ją w ramionach przez całych sześć dni. Przysięgam, że z tysiąc razy pocałowałam ją w główkę. – Kiedy zamknęła oczy, czuła jedwabisty dotyk złotych włosów na swoich ustach, policzku: wrażenie jedyne w swoim rodzaju.

– Czasami czuję zapach talku u jakiegoś innego niemowlęcia i jest tak, jakbym znów była w Tennessee i trzymała Grace w ramionach. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam na świecie, znajdowało się w tym jednym małym zawiniątku.

A potem, raz dwa, to też zostanie jej odebrane, i znów zostanie bez tego, czego najbardziej w życiu pragnęła.

– Grace – powtórzyła łagodnie Lily. – Już tak dawno nie wymawiałam na głos jej imienia.

Właśnie wtedy smuga dymu wyleciała ze starego pieca i siostry zaczęły wymachiwać fartuchami, wielkie grzyby mąki wyrosły przed nimi. Lily wzdrygnęła się, jakby ocknęła się z transu, i obrazki

wszystkich tych różowych pajacyków, których nigdy nie włoży żadne niemowlę, zniknęły w kątach pomieszczenia wypełnionego dymem. Nie miała pojęcia, dlaczego tak plecie bez ładu i składu. Dobrze, że staruszki nie zrozumiały ani słowa.

– Jeśli nie chcecie, żebym wezwała straż pożarną, to chyba już sobie pójdę. – Kiedy Luciana i Violetta były pochłonięte ratowaniem przypalonego ciasta, wyslizgnęła się z kuchni.

15

Co ona mówiła? – spytała Luciana, rozpędzając dym, kiedy Lily wyszła z kuchni.

– Ma kłopoty z *bambini* – wyjaśniła Violetta. – Znaczy, nie może ich mieć. Nie wiem dlaczego, ale tak czy owak to nie najlepsza wiadomość.

– Więc była już mężatką. Wielka mi rzecz. Alessandro też miał żonę. Zawsze uważam, że tak jest lepiej. Nawiasem mówiąc, nie przyszło ci do głowy, by wspomnieć Lily, że biegle mówisz w jej języku?

– Biegle? Przesadzasz. – Violetta nauczyła się kilku języków obcych, kiedy miała czterdzieści parę lat, ale nikt jej nie podejrzewał o znajomość języków obcych, więc nie ujawniała tego; dzięki jej umiejętnościom siostry uzyskiwały czasem najcenniejsze informacje.

Ale w tym wypadku być może Luciana miała rację. Violetta powinna była powiedzieć Lily, że rozumie, co ona mówi, ale nie miała okazji jej przerwać. A nawet jeśli nadarzyła się taka okazja, Violetta ją przegapiła. Kolejne *faux pas*, by wybić ją z rytmu! A to, że Lily tak się rozgadała, jeszcze bardziej ją zbiło z tropu.

– Coś tu jest nie tak. – Violetta trąciła palcem spalony wałek ciasta. – Coś tu jest bardzo nie tak.

Luciana zakasłała cicho.

– Coś tu jest bardzo nie tak już od jakiegoś czasu – przyznała, trącąc drugi wałek ciasta. – I cieszę się, że o tym wspomniałaś, bo wiem, że nie przyszło ci to łatwo, ale z całą pewnością nie możemy dłużej udawać. Nie możemy tego dłużej nie przyjmować

do wiadomości, Violetto. Fiorella ma rację, jeśli chodzi o naszą skuteczność.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Fiorella? Nasza skuteczność? O czym ty mówisz, u diaska?

– O *cantucci*. Violetto, uważam, że wybiła godzina. Nie możemy dalej udawać, że dajemy sobie radę.

– Rodzina Ferrettich wypieka *cantucci* w Montevedovie od 1898 roku – oświadczyła Violetta, kręcąc głową. – Są najlepsze w całej Toskanii, wszyscy to mówią. Nawet papież. Trzech papieży.

– Tak, wszyscy mówią, że są najlepsze, ale kupują u Borsolinich. Potrzebne nam są pieniądze, Violetto. Musimy się podleczyć. Z każdym dniem coraz bardziej szarzejesz na twarzy, mnie strasznie bolą stawy biodrowe, a nasze znajome powinny sobie sprawić sztuczne szczęki.

– Nic mi nie dolega – oświadczyła twardo Violetta, chociaż cały czas czuła dziwny ucisk w piersiach. – I nie miałam na myśli *cantucci*. Nie chcę o nich mówić. Mówię o swatach, o naszej *calzino*. Nic z tego nie wyjdzie. Alessandro jest zanadto zagubioną duszą, by związać się z inną zagubioną duszą, którą według mnie jest ta kobieta, ta Lily. To mnie niepokoi.

– Nie przejmuj się tym.

– Jak możesz tak mówić, Luciano? Musimy się tym przejmować! Świat potrzebuje miłości i ludzi zakochanych bardziej niż kiedykolwiek. Staramy się kontynuować dzieło świętej Anny di Chisa, dysponując coraz mniejszymi środkami, i...

– Violetto, powinnaś pomyśleć o sobie i o mnie. Mówię o nas. Potrzebne nam tabletki na artretyzm. Ręce nie przestają mnie boleć. Nie mamy pieniędzy.

– Mamy pięćset euro za pokój.

– Wiem, że liga to twoje ukochane dziecko, ale *cantucci* stanowią źródło naszego utrzymania i musimy pogodzić się z tym, że coraz trudniej je wypiekać. Została nam tylko dobra opinia, ale jeśli nie będziemy rozsądne, stracimy ją.

W tym momencie wdowa Ciacci wsunęła głowę przez boczne okno – mogła to zrobić tylko wtedy, kiedy stanęła na krześle kuchennym w alejce odchodzącej od Corso.

– Uważam, że najwyższy czas, byście sobie założyły czujnik dymu. – Zakasłała. – Albo zatrudniły ucznia. Naprawdę, spalicie się na węgiel i co wtedy zrobimy?

– Niewątpliwie traficie w dobre ręce Fiorelli Fiorucci – odparła Violetta. – Dziwię się, że jej tu jeszcze nie ma i nie przejmuję naszej cukierni. Na mój gust jest zbyt agresywna.

– Och, ale czy próbowaliście jej *torta della nonna*? – Wdowa Ciacci nie kryła zachwyty. – Chyba miesza ricottę z kremem jajecznym. I może dodaje odrobinę alkoholu. I może się schylić, żeby zagrać w *baci*! Żadna z członkiń ligi już tego nie potrafi.

To była ostatnia rzecz, jaką Violetta chciała usłyszeć.

– Jaki jest powód twojej niezapowiedzianej wizyty? – zapytała.

– Są dwa. Po pierwsze, wdowa Benedicti przefaksowała plan zajęć Alessandra na najbliższy tydzień, więc możemy zaaranżować spotkanie. Po drugie, w waszej *pasticcieri* jakieś dziecko rozmawia z Grace Kelly. Ta dziwna mała dziewczynka mieszkająca po drugiej stronie *piazza*, która zawsze wdaje się w bójki i wszystko psuje.

Kiedy udało jej się wymknąć z kuchni, Lily zatrzymała się na chwilę w sklepie, by się uspokoić. Oparła się o marmurową ladę i przyglądała się zawartości najbliższej misy z *cantucci*.

Biedne staruszki. Co one sobie wyobrażają? Godne podziwu, że kiedyś udawało im się wypiekać dość ciasteczek, by mieć co sprzedawać w cukierni. Wciąż próbują wykonywać swoją pracę, ale to zupełnie co innego.

Wzięła z misy jedno *cantucci*, zdmuchnęła z niego kurz i uniosła pod złote światło, wpadające z Corso. Choć twarde, wyglądało kusząco – dla osoby łasej na słodycze. Orzechy laskowe lekko połyskiwały. Powąchała ciasteczko i zaskoczył ją świeży, korzenny zapach, trochę przypominający zapach wybrzeża morskiego. Znów uniosła je pod światło. Jak na wyrób, który był sporo przeterminowany, trzymało się wyjątkowo dobrze.

Na ulicy senną poranną ciszę brutalnie zakłócił jakiś hałas, który się wzmagił. Lily zobaczyła przez brudne okno plamę jaskrawych barw, kłęb rąk i nóg, usłyszała piski i chichot. Drzwi się otworzyły, zabrzączał dzwonek, kakofonia dźwięków wypełniła małe pomieszczenie, drzwi się zamknęły, przenikliwe dziecięce głosy ucichły. Drobiniki kurzu uniosły się gwałtownie w powietrze, by po chwili opaść na podłogę niczym mieniąca się złota kurtyna, a zza niej wyłonił się mały śniady aniołek.

Pył osiadł. *Cantucci* z głośnym plask wypadło Lily z ręki z powrotem do misy.

Mały śniady aniołek okazał się dziewczynką ze zdjęcia w bucie Daniela.

Może była o rok, dwa lata starsza, do pleców miała przyczepioną parę skrzydeł, ale poza tym wyglądała identycznie.

W chwili kiedy Lily zobaczyła zdjęcie, wiedziała, że przedstawia dzieci Daniela, ale zobaczyć jedno z nich na żywo? Dziewczynka miała nawet jego nogi, długie i szczupłe, lekko rozstawione. Miała jego brodę i jego otwartą twarz. Daniel był ładnym dzieckiem i ta dziewczynka, jego córka, odziedziczyła po nim urodę, chociaż w przeciwieństwie do niego miała śniadą karnację. Ale oczy zielone, jak Daniel. Nie wyglądała milutko, w przeciwieństwie do niektórych dzieci, ale przykuwała uwagę czymś, co będzie mieć w sobie zawsze, co nie przeminie.

Skrzydła zrobiono z jasnożółtej gazy rozpiętej na drucianej ramie, przytwierdzonej do ramion. Dziewczynka sapała, jakby po długim biegu.

Nie obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy trąba powietrzna rąk i nóg wpadła za nią do sklepika. Stała, przyglądając się Lily.

– Kim pani jest? – zapytała bardzo dobrą angielszczyzną. Miała śliczną buzię i ciekawskie spojrzenie. Była bardzo pewna siebie. Pewność siebie i uroda: idealne połączenie.

Och, chcę mieć taką córkę, niestosownie odezwał się zegar biologiczny Lily. Chcę, chcę, chcę.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w krtani, gdy sobie uświadomiła, że być może dziewczynka wie o jej istnieniu, wie, że jej tata ma żonę imieniem Lily – wstrętną kobietę na drugim końcu świata, która niszczy mu życie.

Poczuła, jak ją parzą rozżarzone węgielki gniewu. Czy Daniel, jakiego znała i kochała, przedstawiłby ją w takim świetle? Możliwe, że właśnie tak ją widział?

– Jestem Lillian Watson – przedstawiła się, wyciągając swoje panieńskie nazwisko niczym zmięty kapelusz przeciwsłoneczny z kieszeni, zaskoczona, że jej głos zabrzmiał tak spokojnie, chociaż miała wrażenie, że cała może zniknąć w wirze złotego pyłu. – A kim ty jesteś?

– Nazywam się Francesca. – Dziewczynka z ujmującym za serce uśmiechem podeszła do lady. – Co jest z panią nie tak?

Lily, zaskoczona, przesunęła dłonią po policzkach, żeby się upewnić, że nie ma na nich łez, odgarnęła włosy do tyłu, zmusiła się do uśmiechu.

– Co jest ze mną nie tak? Myślę, że nic. Dlaczego pytasz?

– Zwykle u sióstr Ferretti zatrzymują się osoby, z którymi coś jest nie tak. Ale nie pracują w ich cukierni. Ani nie pomagają przy *cantucci*. Pomoże im pani przy *cantucci*? Byłoby dobrze, gdyby pani to zrobiła.

– No cóż, właściwie nie zatrzymałam się u nich. Przynajmniej nie na długo i mało prawdopodobne, żebym im pomogła przy *cantucci*. Chodzi o te *biscotti*, prawda?

– *Biscotti* to wszystkie ciasteczka, *cantucci* wytwarza się tylko tutaj, w Toskanii, a rodzina Ferrettich robi najlepsze *cantucci* na świecie.

– Ktoś je kupuje?

Francesca wzruszyła ramionami.

– Chyba nikomu nie wolno ich kupować. Siostry Ferretti na ogół nie wpuszczają ludzi do cukierni. Są złośliwe. Chyba że pojawi się ktoś, z kim jest coś nie tak. Weszłam tu tylko dlatego, że zobaczyłam panią.

– Mnie? – Wpadła w panikę.

– Panią, a nie je. Potrafią budzić strach i mają ręce jak... Jak... *Allora*, jak kapitan Hak. – Uniosła w górę paluszki, takie jakie ma Daniel, długie z gruzłowatymi kostkami, i rozczapierzyła je jak szpony. – No wie pani, ten z „Piotrusia Pana”.

Och, to jeszcze bardziej rozniecilo węgielki płonące w Lily. Naturalnie, że Daniel przeczytał swojej córce „Piotrusia Pana”. To była jego ulubiona książka w dzieciństwie, jej zresztą też. Kupili ich mnóstwo pociechom przyjaciół i swoim własnym nienarodzonym dzieciom.

Francesca wcale nie była aniołkiem.

– A ty jesteś Dzwoneczek – powiedziała Lily.

Francesca pokraśniała.

– To nie są prawdziwe skrzydła. Nie mogę latać.

– Kocham tę książkę – wyznała Lily. – Czytałam ją swojej siostrze, kiedy była mniej więcej w twoim wieku, i słuchałyśmy jej,

chyba na płycie gramofonowej. Nie można było przewrócić kartki książki, póki wróżka nie zadzwoniła dzwoneczkiem.

Lily zastanawiała się, gdzie były książki, które kupiła dla swoich dzieci: czy trafiły do sklepu z rzeczami używanymi, jak tyle innych przedmiotów dla niemowląt, które zgromadziła przez lata, czy też leżały upchnięte w jakimś kącie mieszkania? A może Daniel przywiózł je tutaj? Zrobiłby coś takiego?

Francesca podeszła do samej lady, nos miała na wysokości szklanej misy z *cantucci*. Zajrzała do misy, a potem spojrzała na Lily.

– Nie wiem, co to jest płyta gramofonowa. Widziała pani film o Piotrusiu Panu?

Te oczy. Oczy Daniela.

– Kiedy byłam mała, chyba nie grali tego filmu.

– A teraz?

– Teraz jestem duża, właściwie nie chodzę do kina.

Francesca wyglądała na rozczarowaną.

Proszę nie pytaj mnie, czy mam dzieci, modliła się w duchu Lily. Nie mogła znieść tego pytania w ustach kogokolwiek, nie wyłączając...

– Ale jest pani Amerykanką?

– Tak. – Lily pragnęła zmienić temat rozmowy. – A ty? Jesteś stąd? Z Montevedovy?

– Tak, ale kiedyś pojedę do Ameryki – oświadczyła Francesca, kręcąc szczupłymi bioderkami. – Sama. Będę chodziła do kina, i śpiewała hip-hop, i nie zabiorę ze sobą Ernesta.

– Ernesta? – spytała Lily. Nie mogła się powstrzymać.

– Młodszy braciszek. – Westchnęła. – Strasznie upierdliwy.

– Mówisz świetnie po angielsku, Francesco, ale nie jestem pewna, czy powinnaś używać słowa „upierdliwy”.

– Mój tata posyła mnie na lekcje angielskiego i mam prawie siedem lat. Nie jestem już mała. Ernesto jest mały.

Prawie siedem lat. Lily się odwróciła i zaczęła czegoś szukać w torebce. Nie chciała, żeby dziewczynka widziała jej twarz. Prawie siedem. Zaledwie rok młodsza od Grace. Grace miałaby teraz prawie osiem lat.

Tamtego roku, kiedy ją im odebrali, tamtego roku, kiedy jej świat znów się zawalił, kiedy się kompletnie rozsypała i do dziś nie mogła

pozierać, jedyne, co jej zostało, to praca. Praca i Daniel. Dzięki pracy mogła nie myśleć, a Daniel wiedział, co myślała. A jednak tamtego roku, tamtego okropnego, straszego roku Daniel wcale nie myślał o tym samym co ona, nie cierpiał tak jak ona. Przyjechał tutaj i stworzył sobie ten idealny, równoległy świat.

Miał w nim wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, ale bez niej.

Płomienie gniewu wystrzeliły, parząc ją, liżąc. Trzeba je było natychmiast zdusić.

– Wybacz, skarbie – powiedziała do Franceski. – Muszę już iść. Czy nie powinnaś gdzieś być? Może w szkole?

– Przecież jest lato. – Gdzieś zniknął jej śliczny uśmiech. – Nie ma szkoły.

Z ociąganiem poszła za Lily do drzwi i zaczęła, aż ją przez nie wyprowadzi. Ale kiedy znalazła się na ulicy, ta plama barw – jak się okazało, grupka dziewczynek mniej więcej w jej wieku – jakby ją przestraszyła.

Gdy tylko je zobaczyła, cofnęła się do sklepu i z całych sił przywarła do Lily.

Francesca starała się przed nimi ukryć. Jedna z dziewczynek zarżała, za jej przykładem poszły inne. Po chwili rozbiegły się, wykrzykując coś, czego Lily nie zrozumiała, ale Francesca jej nie puściła.

Z bliska okazało się, że w skrzydłach jest mnóstwo małych dziurek, jakby ich posiadaczka została już zestrzelona. Lily zauważyła też, że sukieneczka małej nie jest tak czysta, jak mogłaby być. Za każdym paznokciem dziewczynka nosiła żałobę. Miała potargane włoski. Kto się o nią troszczył?

Kiedy dzieci odbiegły, Francesca się uspokoiła i jak gdyby nigdy nic wyszła na ulicę.

Odwróciła się i podczas ułamka sekundy, nim dziewczynka wzięła się w garść, Lily uświadomiła sobie, że zbyt pochopnie uznała ją za pewną siebie.

Wprawdzie sprawiała takie wrażenie, ale nie wynikało to z wewnętrznego poczucia własnej wartości, jak myślała Lily. W konfrontacji z tamtymi dziewczynkami cała odwaga Franceski

zniknęła. Pragnęła przytulić tę dzielną dziewczuszkę, pocałować, uspokoić ją, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że jest warta więcej niż sto, tysięcy, milion innych dziewczynek.

– Poradzisz sobie? – spytała Lily z największą obojętnością, na jaką umiała się zdobyć.

– Będzie pani tutaj jutro?

– Nie jestem pewna. Ale jeśli będę, mam nadzieję, że znów ciebie zobaczę.

– Dobrze – powiedziała Francesca.

– Miło mi było cię poznać, Dzwoneczku. Naprawdę bardzo miło. – I żeby się nie zbłąźnić i nie wprawić w zakłopotanie dziewczynki, dając upust łzom, które powstrzymywała przez całe swoje życie, odwróciła się i zaczęła iść w dół wzgórza.

– *Ciao, ciao* – zawołała za nią Francesca. – *A domani.*

Do jutra.

Daniel obudził się na malutkiej kanapie w mikroskopijnym hotelowym pokoju, w ubraniu i z kosmicznym kacem.

Bolała go szyja, bolała go głowa, bolały go plecy, a przesłodzony zapach drogich perfum w powietrzu uświadomił mu, że blondynka, spotkana w kawiarni, nie jest daleko.

Nie pamiętał jej imienia i tego, jak się znalazła w jego pokoju hotelowym.

Nie miał zwyczaju podrywać kobiet i zapraszać do hotelu. Jak nikt zdawał sobie sprawę, czym to grozi, i teraz, kiedy już nabroił, nie mógł uwierzyć, że zrobił coś tak wstrętnego.

Strzyknęły mu kości, kiedy wstał. Ukradkiem spojrzął na kobietę, leżącą na wznak na jego łóżku, z ręką pod głową, niedbale przykrytą prześcieradłem. Mocno spała i też była prawie kompletnie ubrana. Stwierdził, że jest starsza, niż sądził, starsza nawet od niego. Nie dbała o figurę jak Lily; może za dużo czasu spędzała na słońcu, jej szyja nosiła ślady zdradzające wiek i tylko golf mógł je ukryć. Ale wyglądała na szczęśliwą również we śnie.

Odwrócił się od niej, wyslizgnął na malutki balkon, zamknął za sobą drzwi, zapalił papierosa i patrzył, jak jakaś zamroczona para chwiejnym krokiem idzie brukowaną ulicą w dole. Szli zygzakiem obok zaparkowanych wzdłuż krawężnika skuterów, by w końcu klapnąć na stopniach kościoła naprzeciwko hotelu jak dwa przekłute balony.

Wypuścił kółko dymu i pomyślał o idealnych piersiach pewnej mieszkanki Montevedovy; miała świetną figurę, jeżeli ktoś lubił kobiety o takich kształtach, tak jak on, nawet jeśli tylko przez krótki

czas. Teraz, oceniając to z perspektywy, doszedł do wniosku, że najbardziej podobała mu się naturalność tej kobiety. Lubiła siebie, ale nie obsesyjnie. Miło było przebywać w jej towarzystwie. Jadła makaron, pieczywo i pizzę tak, jakby miały wyjść z mody, opychała się serem i salami oraz tym wszystkim, czego unikała Lily, bo zawierało konserwanty albo hormony, albo było delfinami albo jeden Bóg wie czym, przed czym przestrzegala „zielona policja”. Podejrzewał, że Lily chodziło przede wszystkim o to, żeby nie przytyć. Włoszki nie przejmowały się dodatkowymi kilogramami. Uważały, że dzięki krągłościom są bardziej ponętne, i miały rację, chociaż na początku Daniel uznał za bardzo seksowne nieprzejmowanie się tym, co powiedzą inni.

Zgasił papierosa. Jak mógł być tak głupi? Nie, gorzej, taki pospolity? Te krągłości i niefrasobliwość zwróciły jego uwagę, kiedy znajdował się w dołku. Ale żeby posunąć się aż do tego? To takie banalne, że aż go zemdliło.

– Ej, Danny? – usłyszał, jak blondynka woła go z pokoju chropawym głosem. Ingrid, przypomniał sobie imię kobiety i to, że zbyt dużo jej powiedział, więc poczuł skrępowanie. Nic nie robili, tylko rozmawiali, właściwie on mówił. I pił. Boże, co za dureń. Zapatrzony w siebie, nudny, głupi dureń. Co Ingrid mu powiedziała o sobie? Zdaje się, że jej mąż przyleciał na symposium do Rzymu – a może do Mediolanu? – a ponieważ zawsze chciała zobaczyć Florencję, wybrała się tutaj sama, podczas gdy mąż obradował.

– Och, tutaj jesteś. – Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła go na balkonie.

Włożyła biały hotelowy szlafrok frotté, doprowadziła włosy do ładu. Nie miał pojęcia, jak obydwójce zachowają się tego ranka. Bał się tego, co za chwilę nastąpi, poczuł, jak jeszcze bardziej napinają mu się obolałe mięśnie pleców i ramion.

– Mam zadzwonić po obsługę hotelową? – zapytała i była to taka zwyczajna propozycja, że niemal się popłakał. – Nie wiem, jak ty, ale ja muszę napić się kawy.

Już miał pokręcić głową, ale kiedy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że jest głodny. Nie był pewien, czy ma ochotę być z Ingrid, ale też nie wiedział, czy chce być sam. Zamierzał powiedzieć, że może

w jadłospisie są jajka i krwawa mary, ale kiedy otworzył usta, wydobyło się z nich coś zupełnie innego.

Czuł się zagubiony, nie tylko tutaj, w pokoju hotelowym, ale wszędzie. W swoim życiu. Tonął i nie mógł za to winić nikogo poza sobą, nie było też dla niego nadziei na ratunek.

Chciał powiedzieć tej kobiecie, tej Ingrid z ciepłym uśmiechem i ujmującym sposobem bycia, że śniadanie to świetny pomysł, ale zamiast tego zaczął płakać, rozpaczliwie i w sposób niekontrolowany, jak małe dziecko. Jak niemowlę.

Ingrid kompletnie to zaskoczyło. Znała się na ludziach i wiedziała, że nie jest złym człowiekiem. Martwiła się o niego. I nie przejęła się zbyt jego płaczem; przywykła do widoku płaczących dorosłych mężczyzn. Miała trzech synów, teraz dwudziestokilkuletnich, wszyscy należeli do „wrażliwców”.

Podeszła do Daniela, zaprowadziła go do pokoju, posadziła na kanapie, objęła ramieniem i wyobraziła sobie, że jest jej synem. Chciała, by ktoś tak zachował się wobec jej synów, gdyby któryś z nich czuł się nieszczęśliwy.

Co tam się dzieje? – Luciana stała za Violetta, która przyciskała ucho do drzwi, wiodących do *pasticcerii*. – Słyszysz, co Lily mówi do dziewczynki?

– Nie. Nie, kiedy buczysz mi nad głową niczym syrena – zirytowała się Violetta. – Moje uszy mają prawie sto lat. Są zmęczone, daj im spokój.

– Cóż, stać by cię było na jedno z tych cudeniek, które wylapują nawet najmniejszy dźwięk, gdybyś rozważyła to, co powiedziałam o *cantucci*.

– Wylapują nawet najmniejszy dźwięk? – Violetta odwróciła się, rozszuszczona. – A po co mi coś takiego? Nie chcę słyszeć nawet głośnych dźwięków, szczególnie, że większość to twoje uwagi o naszej rodzinnej firmie albo o tej smarkuli Fiorelli Fiorucci; podważa mój autorytet i zadaje głupie pytania!

– Trudno ją uznać za smarkulę, Violetto. Ma osiemdziesiąt pięć lat. I tylko proponowała...

– Mogę ci powiedzieć, co Fiorella Fiorucci może sobie zrobić ze swoimi propozycjami! – wybuchnęła Violetta. – Może je sobie wsadzić tam, gdzie małpy wsadzają orzeszki! Będą przez nią same kłopoty, przez tę niską, grubą i ślepą babę, sądząc po jej okularach. Musimy się jej pozbyć, i to szybko. Karmi wdowę Ercolani teoriami spiskowymi jak miętówkami. Swoimi poronionymi pomysłami zmusza wdowę Mazzetti do zaglądania do regulaminu co pięć minut. Nie jest jedną z nas, Luciano. O, nie!

Siostra nonszalancko skubała rąbek sukni.

– Uważam, że właśnie kogoś takiego nam potrzeba. Poza tym jest zabawna.

– Kogoś takiego nam potrzeba? Zabawna? Uff! Co w ciebie wstąpiło, na litość świętej Anny di Chisa? – Szturchnęła Lucianę pięścią w ramię. – Zwykle mogłam liczyć na twoje poparcie, ale odkąd się pojawiła ta wygadana młoda wiedźma, stałaś się jej poplecniczka.

Luciana szturchnęła siostrę, nie pozostając dłużna.

– Pojawiła się zaledwie wczoraj, a ja jestem twoją poplecniczka, Violetto. I nigdy się to nie zmieni, ale jeśli uda mi się uchronić cię przed wykolejeniem i wylądowaniem w głębokim wąwozie razem ze mną, zrobię to.

Violetta poczuła, jak ucisk w piersiach się pogłębił.

– Dlaczego to robisz?

– Co robię?

– Zwracasz się przeciwko mnie!

– Nie zwracam się przeciwko tobie, Violetto. Próbuję ci pomóc. Jak zawsze.

– Gdybyś zachowywała się tak jak zawsze, przyznałabyś mi rację.

– Jedynie zawsze mówiłam, że się z tobą zgadzam. To wcale nie znaczy, że się z tobą zgadzałam.

– Nie zgadzałaś się?

– Nie zawsze.

– To dlaczego mówiłaś, że się zgadzasz?

– Bo wierzę w ciebie... Tak zachowują się siostry. I dlatego, że zwykle nie ma to znaczenia. Ale tym razem jest inaczej. Tym razem musisz usłyszeć prawdę.

– A jak brzmi ta prawda?

– Że nie możemy tego dłużej ciągnąć. I dotyczy to zarówno *cantucci*, jak i ligi. Jesteśmy stare, Violetto. Bardzo stare i z każdym dniem starsze. Musimy pozwolić, by zaświeciło jakieś nowe światło, w przeciwnym razie na zawsze zgaśniemy.

– Nie jesteśmy świeczkami!

– Nie, ale gdybyśmy były, przypominałybyśmy brzydkie ogryzki, a nasze knoty by się tylko tliły.

– Bzdura! Mogłabym podpalić całą Montevedovę, gdybym chciała.

– Możesz to zrobić niechcący, jeśli sądzić po tym, jak się toczy sprawa.

– Albo jesteś za mną, albo przeciwko mnie. – Violetta słyszała w uszach nierówne bicie skołatanego serca.

Luciana prychnęła.

– Zabawne. Mussolini powiedział to samo. Zresztą wiesz, że jestem za tobą. Wiesz to od...

Obie spojrzały na zdjęcia swoich zmarłych mężów, stojące na kominku.

– Miałam rację – zauważyła szorstko Violetta. – Rzecz w tym, że miałam rację. Udało się. Wiedziałam.

– Właśnie o tym mówię. Miałaś rację, poparłam cię wtedy i od tamtej pory jestem przy tobie, więc powinnaś mnie wysłuchać, kiedy oświadczam, że tym razem nie jestem taka pewna.

Przez chwilę milczały, Violetta przeklinała w duchu, że jej siostra straciła wiarę w nią akurat wtedy, kiedy sama straciła wiarę w siebie. Bez niej nie da sobie rady. Nie dziś. Będzie się musiała tym zająć kiedy indziej.

– Przypadkiem spalę Montevedovę? Bzdura! – powiedziała bez przekonania, próbując kopnąć siostrę w goleń.

– Ze mną lub przeciwko mnie, dobre sobie! – Luciana, szurnęła nogą, chcąc kopnąć siostrę.

– Uważaj, bo się przewrócisz, a nie dam rady cię podnieść, głupia, stara babo – ostrzegła ją Violetta.

– Uważaj, bo się przewrócę i nie będę chciała się podnieść – odgryzła się Luciana.

Odgłos dzwonka nad drzwiami do sklepu uciął kłótnię. Lily wyszła z cukierni.

– Szybko, zamachaj chustą wdowie Ciacci. Musimy się postarać, żeby Del Grasso ją zwodziła, póki ktoś sobie nie przypomni, gdzie jest Alessandro dzisiejszego ranka.

Lily akurat mijając szybkim krokiem hotel Adesso, kiedy mała siwa staruszka, którą widziała wczoraj, jak awanturowała się w hallu, wybiegła na ulicę i złapała ją za rękę.

– Pani chce zatrzymać się w ładny, czterogwiazdkowy hotel?

– Próbowałam wczoraj. – Lily łagodnie próbowała uwolnić rękę od uścisku jak w imadle. – Ale były jakieś problemy z rurami.

– Jakie problemy? Nie ma żadnych problemów.

– Rury się zapchały. Zrobiło się wielkie zamieszanie.

– Och, o to chodzi. Fałszywy alarm.

– Fałszywy? Czulałam smród, stojąc w wejściu do hotelu.

– Nie ma żadnego problemu – powtarzała kobieta, szarpiąc ją za ramię. – Przysięgam. Pani tu zostanie. Tu bardzo ładnie. Cztery gwiazdki.

– Pani w informacji turystycznej powiedziała, że ten hotel nie ma ani jednej gwiazdki.

– Pani w informacji turystycznej lubi sobie za dużo wypić.

Lily spojrzała na hotel. Ładnie się prezentował, smród zupełnie zniknął, ale zapłaciła już pięćset euro za pokój u Violetty, poza tym nie miała ochoty teraz o tym myśleć. Nie miała ochoty myśleć o czymkolwiek.

– Dziękuję, ale dobrze mi tam, gdzie się zatrzymałam. – Po lekkiej szarpaninie udało jej się wyrwać staruszce. Ruszyła w dół wzgórza, przeklinała bluszcz, elegancko oplatający mur ogrodu, słowiańskie, turkusowe ściany domu z zamkniętymi okiennicami, rustykalny urok starej latarni. Tak, Montevedova jest śliczna. Musiała to przyznać. Ale co Lily z tego przyjdzie?

Prawie dotarła do podcieni, kiedy zatrzymała ją wolno sunąca grupka staruszek, które zatarasowały jej drogę. Tyle staruszek! Gdzie ukrywają się młode kobiety?

Bez względu na to, w którą stronę Lily się zwracała, by ominąć staruszki, ciągle miała je przed sobą, ale nim ostatecznie straciła cierpliwość i zażądała, żeby zeszły jej z drogi albo się pospieszyły, zatrzymały się i okazało się, że jest przed otwartymi drzwiami do Poliziano, uroczej, staroświeckiej kawiarni, z której rozciągał się widok na dolinę.

Siwowłosy staruszek opierał się o kontuar, popijając z kieliszka wino; Lily niepotrzebna była dodatkowa zachęta. Weszła do środka i skierowała się w stronę balkonu, wychodzącego na dolinę. Było na nim miejsce tylko na jeden stolik, więc usiadła, zamówiła kawę i, udając lekkie wahanie, kieliszek prosecco, bo dochodziła jedenasta. Kawa była dobra, ale prosecco lepsze. Malutkie bąbelki rozprostowały wielką zmarszczkę, która pojawiła się dziś rano za sprawą Franceski.

To nie była wina dziewczynki; była... No cóż, Lily nie chciała o tym myśleć. Była idealna. I tyle. Jasne jak słońce. Idealna. Ale dlaczego miała potargane włoski? Dlaczego w jej skrzydłach były dziury? Kto się zajmował, a raczej kto się nie zajmował tym małym, zaniedbanym Dzwoneczkiem? Sącząc wino, poczuła, że gdzieś zniknęła jej zwykła pewność siebie. Gdyby w tamtej chwili w drzwiach pojawił się Daniel, wiedziała, co by zrobiła. Zabiłaby go. Strzeliłaby mu prosto w serce. A potem w głowę, a potem w jaja. A to, co by z niego zostało, rzuciłaby na pożarcie świniom.

Zamówiła drugi kieliszek prosecco.

To trochę ukoilo jej zranione serce.

Z balkonu rozciągał się tak samo wspaniały widok, jak z okna jej pokoju. Nie rozumiała, dlaczego wybrała to miejsce: stał tu stolik dla dwojga; beznadziejnie romantyczne miejsce, by patrzeć w oczy ukochanej osobie i dać się uwieść urodzie tych okolic.

Daniel przychodził tu ze swoją kochanką? Siedzieli przy tym stoliku i patrzyli na siebie, kiedy Francesca i jej mały braciszek zostawali sami w domu? Kim był mężczyzna, którego tak długo tak dobrze znała? Kłamcą, oszustem. Nawet nie dobrym ojcem.

Odstawiła kieliszek. Przyjechała do Toskanii, bo chciała odzyskać męża, odzyskać miłość, która kiedyś ich łączyła, pragnęła odzyskać to, co straciła. Ale wyszła na idiotkę.

Patrzeć na zdjęcie i próbować myśleć racjonalnie, nawet w pijanym widzie, że mąż ma drugą rodzinę, więc trzeba pojechać i coś z tym zrobić, to jedno. Ale zobaczyć tego rezultat na własne oczy? Poczuc tę istotkę, tulącą się do niej? Nie było od tego odwrotu.

Spojrzała na zegar szafkowy w kącie. Jeszcze nie wybiła dwunasta, ale uwzględniając różnicę czasu, zmęczenie długim lotem i targające nią uczucia, Lily zdecydowała się na trzeci kieliszek prosecco. Miało małą zawartość alkoholu. To właściwie lemoniada.

Ale coś w sposobie, w jaki spojrzała na nią kelnerka (na pewno liczyła sobie mniej niż trzydzieści lat), kiedy przyszła sprzątnąć jej pusty kieliszek, sprawiło, że Lily zmieniła zdanie.

Zapłaciła rachunek, zostawiła hojny napiwek i pokrzepiona małą ilością alkoholu, jaką zawierało włoskie wino z bąbelkami, postanowiła znaleźć kawiarenkę internetową albo budkę telefoniczną, żeby skontaktować się z Pearl.

Myśl o pracy sprawiła, że znów stała się dawną sobą, przynajmniej trochę. Wiedziała, na czym stoi w firmie – nic się tam nie zmieniło – ale zdążyła zrobić zaledwie dwa kroki po wyjściu z kawiarni, kiedy usłyszała:

– *Signora! Signora Turista!*

Odwróciła się i zobaczyła Alberta – stał przed swoim sklepem i machał do niej.

– Znów właśnie zamierzam usiąść do drugiego śniadania – zawołał. – Pieczywo, prosciutto, mozzarella, więcej pomidorów od babki z poleceniem, by je zjeść w towarzystwie ładnej blondynki.

Roześmiała się, ale pokręciła głową.

– Wybacz, Alberto, ale właśnie...

Akurat wtedy usłyszała awanturę, dobiegającą zza drzwi, które właśnie minęła. Mieściła się tam również cukiernia, bardziej tandetna od tej siostr Ferretti, w oknie wystawowym umieszczono pełno *cantucci* w różnych smakach i opakowaniach we wszystkich kolorach tęczy.

Krągła kobieta w portfelowej sukience wyszła ze sklepu i niemal wpadła na Lily. Krzyczała po włosku do kogoś, kto był w środku, i znalazła się tak blisko Lily, że ta niemal czuła jej zapach. Lekko cytrynowy. Kobieta była wściekła, jej długie, ciemne włosy poruszały się niczym ogon konia, oganiającego się przed muchami.

Lily mogła wyciągnąć rękę i za nie pociągnąć. Była to oczywiście kochanka Daniela.

– Ej, Carlotta! Znów rozrabiasz? – zawołał przystojny młodzieniec z *gelaterii* naprzeciwko i kochanka Daniela odwróciła się gwałtownie, zaczęła krzyczeć również na niego.

– Carlotta, Carlotta. – Pokręcił głową i wrócił do lodziarni.

Carlotta! Jak śmie nosić takie buntownicze, egzotyczne imię i mieć policzki płonące od emocji?

Druga rozgniewana kobieta wyszła z tandetnej cukierni z *cantucci*, wygrażając pięścią Carlotcie, która zaczęła się cofać w stronę Lily. Żeby uniknąć rozdeptania przez nią albo znalezienia się twarzą w twarz, Lily odwróciła się na pięcie i pospieszyła w stronę Alberta, który wciąż stał przed sklepem i przyglądał się awanturze.

– Zmieniła pani zdanie, tak? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Pomidorom mojej babki zawsze się to udaje.

Weszła do małego sklepiku z winami, ale odmówiła zjedzenia z Albertem drugiego śniadania, chociaż wyglądało bardzo apetycznie na białym półmisku na jego biurku: pokrojony na kawałki ser wymieszany ze świeżymi, posiekаныmi pomidorami i porwanymi listkami bazylii, a obok pokrojony na kromki bochenek ciabatty z chrupiącą skórką. Ale z bólu aż jej się ścisnął żołądek. Serce jej waliło. Carlotta!

– Co to za historia z tą kobietą na ulicy? zapytała.

– Jest szalona. Wzruszył ramionami. – Ładna dziewczyna, dobra dziewczyna, ale szalona. Jak cała jej rodzina. Raz w tygodniu bracia Borsolini wyrzucają ją z pracy. Ale oni też są szaleni. Napije się pani kieliszek wina?

Nie potrafiła się zdobyć na zadanie mu kolejnych pytań: czy zna Daniela, Francescę albo tamtego tłuściutkiego chłopczyka. Nie chciała zdradzać, jak bardzo ją to interesuje, a poza tym bała się, że jeśli już zacznie zadawać pytania, to nigdy nie skończy. Czy

Carlotta wiedziała, że Daniel ma żonę? Że jej córka chodzi w brudnej sukience? Że można być ładną i szaloną, ale nie powinno się kraść męża innej kobiecie, czyjeś przeszłości, marzeń, córki?

Jeśli Alberto zauważył jej rozkojarzenie, nie dał tego po sobie poznać. Nie przestał opowiadać o swoich winach, ostatnich deszczach, miejscowym jedzeniu, barze, do którego się wybierał dziś po południu, by spotkać się z przyjaciółmi (na wypadek, gdyby ją to interesowało).

Nie interesowało, ale pozwoliła mu opowiedzieć o miasteczku – co jeszcze można tu zobaczyć poza tym, co już wiedziała. Przygnębiło ją to, czego się dowiedziała. W Montevedovie, powiedział jej Alberto, właściwie są tylko dwie ulice, Corso i ta, która biegła w przeciwnym kierunku w miejscu, gdzie się rozgałęziały. Zresztą obie i tak znów się łączyły na *piazza grande* na samej górze miejscowości, gdzie Alberto umówił się ze swoimi przyjaciółmi.

Są boczne uliczki i ukryte zaułki między dwiema głównymi ulicami, wyjaśnił, ale właściwie nie ma tu nic ciekawego poza tym, co Lily już wiedziała.

– Z pewnością wszyscy się tu znajdują – zauważyła. – Ciągłe na siebie wpadacie.

– Można tak pomyśleć – zgodził się Alberto – ale niektórzy unikają ludzi. I dobrą stroną małych miasteczek jest to, że zawsze wiadomo, gdzie kto jest, więc można nie iść tam, tylko gdzieś indziej.

To było bardzo celne spostrzeżenie.

Lily już wiedziała, gdzie są Francesca i Carlotta, i mogła przypuszczać, że Daniel kręci się w pobliżu.

Stwierdziwszy, że już wiedziała wszystko, co Montevedova ma do zaoferowania, spytała Alberta, co może obejrzeć w okolicy. Zaproponował, żeby udała się do pobliskiego miasteczka, wprawdzie nie tak ładnego, jak Montevedova, ale wartego obejrzenia. Następnie zaprowadził ją do sutereny i wypuścił tylnymi drzwiami, niedaleko księgarni. Kupiła przewodnik i ruszyła w stronę samochodu.

20

Wszystkie wdowy ubrane były na czarno od stóp do głów, jak się tego spodziewała, ale Fiorella uznała (czekały w głównej siedzibie ligi na Violetkę), że w samym środku lata nie ma to najmniejszego sensu.

– Z całą pewnością pomaga to zachować skwaszone miny – powiedziała. – Lecz z uwagi na pocenie się należy z tym zerwać! Mnie jest to obojętne, dostaję w aptece rabat na dezodorant, ale jeśli chodzi o was... Chciałabym wiedzieć, dlaczego wciąż ubieracie się na czarno.

– Czarny wyszczupła – zauważyła Ercolani, chociaż w jej przypadku to się akurat nie sprawdzało.

– Tak wypada – wtrąciła inna.

– Wdowy zawsze ubierały się na czarno.

– Rzeczywiście – przyznała wdowa Ciacci – chociaż muszę wam zdradzić małą tajemnicę. – I z szybkością sycylijskiej striptizerki zadarła obszerną czarną suknię, ukazując pod nią jaskraworóżowe majtki, obcisłe, dość mocno wycięte, i koronkowy gorset w takim samym kolorze. – To La Perla.

Wdowy gapiły się z rozdziawionymi ustami.

– Ten kolor nazywa się fuksja – dodała.

– No cóż, ja noszę pumpy – wyrwało się innej kobiecie. Rozpięła spódnice, która z głuchym stukiem opadła na podłogę, taka była ciężka, i ukazała się wszystkim w jasnoniebieskich spodniach do kolan, zwisających w kroczu i niezbyt pasujących do cielistych podkolanówek, ale i tak dość odważnych.

– A ja mam biały biustonosz – przyznała się inna wdowa. – Jak resztę bielizny.

– Nie rozumiem, dlaczego w ogóle musicie chodzić ubrane na czarno – śmiało oświadczyła Fiorella. – Uważam, że powinnyście się ubierać w sukienki w kwiatki, kratkę i grochy, ozdobione cekinami. Kto ustala te głupie zasady?

– Tę zasadę wprowadziłam ja – odezwała się Violetta. Tylko wdowa Mazzetti usłyszała jej pukanie do drzwi i cicho ją wpuściła do środka. – Nasze owdowiałe matki ubierały się na czarno, a wcześniej ich matki i babki. To jest szacunek dla tradycji, Fiorello, chociaż wątpię, byś cokolwiek o tym wiedziała.

– Zatwierdziłyśmy to oficjalnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku – wtrąciła Mazzetti. – Zdaje się, że dwunastego kwietnia.

– Tworzymy tajne stowarzyszenie, Fiorello – ciągnęła Violetta – którego cel znany jest tylko członkiniom. Jako grupa milczących, odzianych na czarno kobiet, opłakujących naszych ukochanych, tak jak to zawsze czyniono w naszym kraju, możemy zniknąć w tłumie, co byłoby niemożliwe, gdybyśmy paradowały w czerwonych szpilkach i boa z piór. Jeśli tobie bardziej to odpowiada, nikt ci nie broni tak się ubierać, ale nie jako członkini naszej ligi.

Fiorella Fiorucci rzeczywiście miała parę czerwonych szpilek – dostała je w prezencie od swojej siostry-zdziry z przeprosinami za odebranie męża, ale uznała, że nie warto o tym mówić.

Przez tydzień wkładała je, gdy szła do apteki albo kiedy siedziała, milcząc, na progu domu i patrzyła na przechodniów. Ale nikt tego nie zauważył.

– Na takie stare baby jak my nikt nie zwraca uwagi bez względu na to, co włożymy – oświadczyła. – Pomyślałam sobie jedynie, że nie zaszkodziłoby ubierać się trochę weselej.

– To poważna sprawa – warknęła Violetta. – Staramy się zrobić coś dobrego, więc gdybyście były tak łaskawe i się ubrały... Gdzie jest wdowa Del Grasso? Powinna złożyć meldunek o Lily.

– O Lily? Dlaczego? Myślałam, że Alessandro jest *calzino rotto* – zdziwiła się Fiorella.

Luciana złapała Violettę za rękę, by powstrzymać ją przed zdzieleniem wdowy Fiorucci w głowę.

– Wiemy, gdzie jest Alessandro. – Violetta zgrzytnęła zębami.
– Mamy jego rozkład dnia. Musimy odszukać Lily i sprawić, by się z nim przypadkiem spotkała, trzeba pchnąć sprawę do przodu. W przeciwnym razie ich drogi mogą nigdy się nie przeciąć i dojdzie do kolejnej katastrofy.

Fiorella otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wdowa Mazzetti przeciągnęła palcem po szyi, co na całym świecie znaczy: „Jeśli chcesz nadal chodzić w tej fioletowej kiecce w tureckie wzory, zamknij się”.

Zamierzała powiedzieć, że wie z całą pewnością, iż w środy Alessandro nie trzyma się swojego rozkładu dnia, ale gdyby się teraz odezwała, prawdopodobnie złamałaby jakąś kolejną zasadę, więc nie odezwała się ani słowem.

Pienza była jedną z miejscowości poleconych przez Alberta: śliczne miasteczko o zwartej zabudowie, przypominające kolejną średnio-wieczną koronę na wzgórzu odległym o pół godziny jazdy.

Podziwianie go to jedno, ale dotarcie tam to nie lada wyczyn; Lily miała wrażenie, że okrążyła je kilkanaście razy, próbując znaleźć parking, i niemal pobiła się z Dermottem o jakieś nieistniejące rondo, zanim wreszcie zaparkowała przy bocznej uliczce pod ulistnioną koroną wielkiego drzewa.

Miasteczko słynęło z tego, że w XV wieku było siedzibą papieża, który doprowadził do jego transformacji, jak wywnioskowała z przewodnika. Nie tylko odszykował rynek w Pienzie, także wznosił okazałą katedrę, a przy okazji – przepyszny pałac papieski; za jego zwiedzenie Lily zapłaciła dziesięć euro.

Wiedział, co robi. Z pałacu rozciągał się widok na okolicę niemającą sobie równych, pomyślał nawet o utworzeniu wiszącego ogrodu, z którego można było ją podziwiać.

Resztę informacji o papieżu i jego skłonnościach Lily zdobyła od przyszczonego wyrostka, który również wykupił wycieczkę. Więcej by skorzystała, gdyby przewodnik nie mówił po niemiecku. Spóźniła się na zwiedzanie z angielskim przewodnikiem, wyjaśnił jej przyszczytaty Rolf, ale zaproponował, że posłuży za tłumacza – ku niezadowoleniu swojej matki.

Za każdym razem, kiedy wyjaśniał coś Lily, matka rzucała jej nienawistne spojrzenia, a kiedy opowiadał z zapalem o małym kredensie, w którym papież ukrywał swoje kochanki, Lily miała wrażenie, że kobieta za chwilę eksploduje.

Zainteresowała się Rolfem, ale nie tak, jak przypuszczała jego matka. Wyobrażała sobie swoich nastoletnich synów, przewyższających ją o głowę, odkąd zaczęła marzyć o założeniu rodziny – z Johnem Travoltą, swoim idolem, gdy chodziła do gimnazjum. Pomyślała, że teraz miałyby tych synów. Jeden byłby mniej więcej w wieku Rolfa. I byłaby lepszą matką dla niego niż ta jędza o kwaśnej minie, pomrukująca z dezaprobatą. A tak w ogóle kto mu dał na imię Rolf? Czyżby ta kobieta nie oglądała „Dźwięków muzyki”?

Ale później, gdy matka Rolfa pożegnała ją, ze współczuciem klepiąc po ramieniu, i uśmiechnęła się do niej, Lily załamana usiadła na stopniach zabytkowej katedry. Czy kobieta się domyśliła, że ona marzyła o tym, by mieć przyszczatego syna? To jest aż tak widoczne?

Rozpacz innego rodzaju sprawiła, że Lily wstała z zalanych słońcem stopni *duomo*. W przewodniku pisali, że Pienza słynie z *pecorino* – sera z owczego mleka – więc udała się do polecanej restauracji, przy małym placu za *piazza*, i zamówiła *pecorino* z rusztu z orzechami włoskimi i miodem.

W zasadzie nie jadła serów, więc grzebała w talerzu z *pecorino*, opróżniając pół butelki wina. Ale rieslingowi nie udało się tak łatwo uśmierzyć jej bólu jak przed południem bąbelkom prosecco.

Mijały minuty w małej *trattorii*, a myśli o Francesce, Rolfie i malutkiej Grace kotłowały się w głowie Lily. Starła się ich pozbyć, ale ledwo przegoniła jedną, pojawiała się kolejna.

Nie powinna była zabrać zdjęcia z buta. Nie powinna była po pijanemu dzwonić do Rose. Nie powinna była dać się skusić na buszowanie po Interencie w stanie wskazującym na spożycie. Nie powinna była siedzieć tutaj i pić drugiej butelki wina. Gdyby nie upiła się w domu, byłaby teraz na spotkaniu z działem finansów i próbowała ustalić, na kogo zwolnienie bądź zatrzymanie ich stać, gdzie mogą cię koszty w stanach Maryland i Delaware, a nie siedziałyby tu, starając się nie zamówić do orzechów włoskich kolejnej butelki wina.

Ostatecznie postanowiła udać się gdzie indziej, żeby to zrobić, i tak długo krążyła po przeciwnej stronie głównego placu, aż znalazła inną *trattorię* z zewnętrznym tarasem, z którego też można było podziwiać malowniczy fragment tokańskiego krajobrazu. Przez

wyprężone jak żołnierze drzewa na skraju tarasu widziała zielone pastwiska, a niżej szachownicę idealnie skoszonych łąk, olbrzymie stogi siana ułożone w równych odstępach między sąsiadującymi z łąkami winnicami i gajami oliwnymi.

Widziała w dolinie przynajmniej trzy inne miasteczka na wzgórzach, wieże kościołów i pałaców rysowały się na horyzoncie tak, jakby średniowieczne fortece i dzwonnice były czymś zwyczajnym. Zresztą, tutaj chyba były. Czy Toskania kiedykolwiek miała dość bycia zachwycająco piękną?

Znów zamówiła *pecorino* z orzechami włoskimi i miodem, a do tego rieslinga. Pomoże jej to opracować plan działania, który był jej teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Obiecała sobie, że będzie gotowy, nim opróżni kolejną butelkę.

Naturalnie kiedy spotka się z Danielem, nie zastrzeli go. Co zrobi? Trudno jej było wyobrazić sobie tę scenę, bo miała małe doświadczenie z urządzaniem karczemnych awantur. Będzie to niemiłe, nie da się tego uniknąć, ale obejdzie się bez krzyków. Przypuszczała, że spokojnie zażąda rozwodu. Rozwód. Do tej pory nie brała tego pod uwagę. Nie na poważnie. Ale tutaj, poznawszy Francescę i nie będąc matką Rolfa, uznała, że to nieuniknione.

Czyżby? Nalała sobie wina do kieliszka. Nie chciała się wyprowadzać z mieszkania przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Kochała garderoby. Jej była idealna. Od razu mogła znaleźć w niej wszystko, co chciała. Było to też praktyczne, nie musiała wprawdzie liczyć się z wydatkami, ale oglądając swoje śliczne stroje, przypominała sobie te, o których zapomniiała, co znaczyło, że kupowała mniej nowych, a przynajmniej rzadziej kupowała takie, jakie już miała.

Potrafi się zdobyć na utrzymanie małżeństwa ze względu na garderobę? Była pewna, że dziwniejsze rzeczy się zdarzały na tym świecie. Ona nie miała nudnej kolekcji butów jak Daniel; miała kolekcję cudownych pantofli. Trzymała je kolorami, każdą parę w osobnej przegródce. Mniejsza o noszenie ich, samo oglądanie sprawiało jej przyjemność. Pytanie tylko, czy potrafi przejść do porządku dziennego nad całą tą historią z laminowanym zdjęciem, by zachować swoją kolekcję butów w niezmiennym kształcie?

Zresztą, gdyby się rozwiedli, Daniel musiałby się wyprowadzić. Będzie ją stać na utrzymanie mieszkania. Będzie w nim sama, ale i tak samotnie spędzała dużo czasu. Nigdy jej to nie przeszkadzało. Nie miało znaczenia, czy Daniel jest w domu.

Rozwód niczego nie zmieni z wyjątkiem tego, że będzie mogła podwoić swoją kolekcję butów, zając jego szafę.

Abstrahując od utrzymania małżeństwa dla zachowania szafy, czy stać ją na jego zakończeniu z tego samego powodu?

Miała wątpliwości. I uznała za coś niewłaściwego, że jest jej obojętne, czy będą razem, czy nie. Kochała go całym sercem i chociaż nie była pewna, czy nadal go kocha, wiedziała, że nigdy właściwie nie postanowiła przestać go kochać. Więc co, do diabła, się stało? Jak mogło dojść do tak zasadniczej zmiany bez jej zgody? Nie, gorzej, nawet bez jej wiedzy?

Miała o czym myśleć i żeby sobie to ułatwić, poprosiła o kolejną butelkę wina, tym razem deserowego, a ponieważ uznała, że nie wypada nie zamówić deseru, zamówiła również deser.

– Tiramisu? – zaproponował kelner, widząc, jak patrzy na menu nieprzytomnym wzrokiem. Przypuszczała, że zamawia to większość Amerykanów.

– *Sì, grazie.* – Skinęła głową.

Kiedy na stoliku pojawiło się tiramisu, odsunęła je bez próbowania; skupiła się na winie i swoim planie działania.

Mogła się rozwieść z Danielem albo nie, cokolwiek zdecyduje, wydawało się nieistotne. To było beznadziejnie mało konkretne. Ale kiedy minęło popołudnie i wieczorny mrok spowił wzgórze, uświadomiła sobie, że cokolwiek postanowi, właściwie niepotrzebny do tego Daniel.

Mogła się bez niego obyć w najbliższej przyszłości.

Mogła wrócić do swojego pokoju w domu Violetty, spakować się i polecieć prosto do Nowego Jorku. Koniec historii.

Jeśli postanowi zachować status quo, Daniel nie musi się dowiedzieć o jej wyjeździe do Włoch. Jeśli uzna, że potrzebna jej szafa męża, może się spotkać z adwokatem przed powrotem Daniela i wszcząć kroki rozwodowe.

Już nigdy więcej nie musi się widzieć z Danielem.

Zaczekała, aż ta ewentualność w pełni do niej dotrze, ale tylko ślizgała się po szklanej powierzchni jej serca, ledwie ją zarysowując, nie zapadała w nie głęboko.

Próbowała przypomnieć sobie Daniela takim, jaki był, kiedy nie potrafiła sobie wyobrazić minuty bez niego, nie mówiąc już o całym życiu. Patrzył na nią tak, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie, a on najszcześniejszym facetem. Wiedziała, że nie udało, widziała to spojrzenie tysiące razy, ale teraz, siedząc w bocznej uliczce Pienzy nad kieliszkiem wina, nie potrafiła tego zobaczyć, chociaż bardzo się starała. Widziała jedynie pasek od Prady i rozłożyste biodra, a na nich tłusciutką nóżkę chłopczyka.

Tłusciutkie niemowlę. Nie myśl teraz o tym, przestrzegła siebie. Nie teraz. Nie rób tego.

– *Grappa, signora?* – Kelner zgrabnie usunął pustą butelkę po winie, ale zostawił tiramisu.

Spojrzała na niego zdumiona. Nie mogła uwierzyć, że wypila całe wino. Miała wrażenie, że pociągnęła tylko łyk. Była trzeźwa, ale wciąż odczuwała nieprawdopodobne pragnienie. Nienasycone. I nie obmyśliła do końca planu działania. Musi go uszczegółowić. Wiedziała, że grappa to likier, i chociaż nie uznawała likierów, doszła do wniosku, że będzie to idealne zwieńczenie posiłku, którego nie tknęła.

Uśmiechnęła się pogodnie.

– *Sì, grazie* – bąknęła.

Grappa smakowała jak rozpuszczalnik do farb. Była mocna, aż napłynęły jej łzy do oczu, gdy zbliżyła kieliszek do ust. Pociągnęła łyk, jakoś się przemogła, a opróżnienie drugiego kieliszka poszło całkiem łatwo.

Jej rozwód z Danielem nie będzie nosił żadnego piętna, w dzisiejszych czasach niemal wszyscy się rozwodzili. I pozostanie z nim też nie będzie nosiło żadnego piętna, bo nikt się nie dowie, co zrobił.

Nikt nie będzie się nad nią litował, mamrocząc podczas kolacji przy świecach, jaka z niej biedna, bezpłodna kobieta, harująca dzień i noc, by zapewnić mężowi wygodne życie, podczas gdy on zabawia się we Włoszech, zatrzymując dla siebie to wszystko, co kiedyś obiecał jej.

Jeśli nikt się nie dowie, co zrobił Daniel, życie pozostanie takie, jak do tej pory. On będzie miał swoich kumpli i golfa, i wyjazdy do Włoch, ona swoją szafę, siłownię, szesnastogodzinny dzień pracy. Taki stworzyła sobie świat. Ten świat wciąż istniał i nie zburzy go zdrada Daniela, jeśli Lily uzna, że powinni zachować dotychczasowy stan rzeczy.

Może dalej tak żyć, wiedziała o tym. Ale znów przypomniała sobie zielonooką dziewczynkę o oliwkowej cerze. „Co jest z panią nie w porządku?” – pytała Francesca.

Lily odsunęła obraz dziewczynki i spojrzała na tiramisu. „Nie bądź taką zimną, samotną kobietą” – powiedziało jej. Przestraszyła się, aż krzyknęła.

Kelner postawił tacę z napojami na najbliższym stoliku i podbiegł do niej.

– *Signora*, wszystko w porządku? – Rozglądał się zdumiony.

Spojrzała na tiramisu, otworzywszy usta, a krem na deserze drgnął. „To nie jesteś prawdziwa ty” – usłyszała.

Zerwała się z krzesła i cofnęła od stolika, jakby tiramisu zamierzało się na nią rzucić.

– Coś jest nie tak z pani deserem? – Kelner był zaniepokojony.

Było coś nie tak z jej deserem? Przemówił do niej.

– Widział to pan? Słyszał pan? – spytała go. – Nie waż się tak do mnie mówić! – zwróciła się do tiramisu.

– Przepraszam, *signora*. Zapytałem tylko, czy coś jest nie tak z pani deserem.

– Nie mówiłam do pana. Do niego. – Wskazała na ciastko.

– Do niego.

– Przynieść pani szklanekę wody, *signora*? Może wezwać tak-sówkę?

Wiedziała, że kelner już nie jest po jej stronie. Cofnął się zirytowany. Pary przy innym stoliku przestały przeszywać ją wzrokiem i zaczęły coś szeptać. Tiramisu lśniło, zadowolone z siebie, i milczało.

– Tak, ma pan rację, pora na mnie. – Lily rzuciła na stolik o wiele za dużo pieniędzy. – Ser był zbyt tłusty moim zdaniem... Przepraszam. I dziękuję. Do widzenia.

Potykając się, wyszła na placyk, ruszyła krętą uliczką i dotarła na opustoszałą *piazza*. Tam szok ustąpił miejsca zawrotom głowy, zakłopotaniu, konsternacji. Musiała się oprzeć o ciepły mur pałacu papieskiego, żeby nie upaść. Przeklęta grappa!

Udało jej się chwiejnym krokiem dotrzeć do „wodopoju” z pitną wodą w rogu placu i pociągnąć długi łyk wody. Powinna przez cały dzień pić wodę. Co się z nią dzieje? Każdy wie, że po długim locie człowiek jest odwodniony i musi o siebie dbać. Wszystkie te słodkie bułeczki na śniadanie i talerze *pecorino* – mniejsza o to, że ich nie zjadła. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że... Nieważne. Nie ma o czym mówić.

Tiramisu gadało. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Zamówiła trzy razy po pół butelki wina (a może cztery razy?), oprócz tego grappę, i tiramisu przemówiło do niej.

– Powinam była je zjeść – powiedziała Lily do siebie. – Zamknęłabym mu gębę.

– Słucham? – Jakiś starszy angielski dżentelmen, który akurat przechodził obok z żoną, myślał, że chciała mu coś powiedzieć. – O co chodzi?

– O nic. – Lily przeraziła się swojego bełkotu. – Wszystko w porządku. Naprawdę.

Mężczyzna opiekuńczo objął żonę i szybko odeszli, on jeszcze spojrzął na Lily przez ramię.

– Wydaje mi się, że za dużo wypiła, mój drogi – usłyszała Lily. Było jej wstyd.

Wszystko przez grappę. Nic by się nie stało, gdyby piła tylko wino. Grappa ścięła ją z nóg. Musi teraz odszukać samochód, wrócić do domu Violetty, położyć się w morelowej, sztucznej pościeli. Dała się ponieść emocji, obmyślając swój plan, głupotą było picie likieru na pusty żołądek. Prześpi się i dojdzie do siebie.

Kiedy poczuła się pewniej na nogach, jakimś cudem odnalazła samochód. Za którymś razem udało jej się trafić kluczykiem do zamka, otworzyła drzwi i wsunęła się na miejsce dla kierowcy.

Wsadziła kluczyk do stacyjki, ale nie mogła znaleźć włącznika świateł. Kiedy siedziała pochylona nad deską rozdzielczą, naciskając różne dźwignie i guziki, Dermott rozjarzył się jak choinka.

– Proszę, błagam, tylko nie zamiataj wszystkiego pod dywan – odezwał się z tym swoim irlandzkim akcentem. – Proszę, błagam.

– Chyba żartujesz! – krzyknęła Lily i położyła głowę na kierownicy. Tego już za wiele. Wszyscy byli przeciwko niej: Rose, Daniel, Carlotta, tiramisu, a teraz jeszcze Dermott, któremu powierzyła swoje życie. Swoje życie!

– Myślałam, że jesteś moim przyjacielem – wypomniała mu ze smutkiem. – Powinieneś być moim przyjacielem.

Nie odpowiedział, ale nie musiał. Lily wiedziała, kiedy przegrywa. Zamknęła oczy i usnęła.

Violetta siedziała na krześle i zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w dobrym humorze. Wszystko ją bolało.

– Powiedz nam jeszcze raz, co się stało – poprosiła znużonym tonem wdowę Del Grasso.

– Już mówiłam. Lily poszła do Poliziano i wypila dwa kieliszki prosecco, potem była świadkiem, jak signora Borsolini znów kogoś wyrzuciła z pracy, ale ostatecznie wylądowała u Alberta, tak jak zaplanowałyśmy.

– Jeśli wylądowała u Alberta, dlaczego nie wiemy, gdzie jest teraz?

– Czekałam na ulicy tak długo, jak mogłam, ale musiałam pójść za potrzebą. Nie było mnie tylko przez chwilę. Skorzystałam z toalety w sklepie z pamiątkami, a potem chyba... Zgubiłam ją, więc... Człowiek może wstrzymać się tylko przez jakiś czas, przecież wiesz.

– Tak, tak – mruknęła ze zniecierpliwieniem Violetta, która już nie potrafiła określić, jak długo czy jak krótko człowiek może się powstrzymać. – W porządku, wdowo Del Grasso, masz całkowitą rację, ale wdowo Mazzetti, zastanawiam się, czy nie należałoby wprowadzić do regulaminu punktu, dotyczącego chodzenia do toalety. Będzie z tym coraz gorzej.

– Ty i twój regulamin! – zarechotała Fiorella. – A co powiesz na to, by przestać wprowadzać kolejne punkty do regulaminu? Można jeść tylko *cantucci*, trzeba się ubierać na czarno, nie wolno korzystać z toalety, kiedy się szpieguje, i co jeszcze?

– Trzeba zaznać prawdziwej miłości porządnego mężczyzny

– wtrąciła wdowa Mazzetti, która poważnie potraktowała pytanie.

– To warunek numer jeden.

– Aha, rozumiem – prychnęła Fiorella.

– Żeby móc skorzystać z pomocy ligi, zakwalifikować się na *calzino rotto*, trzeba mieć dobre serce i czyste sumienie – ciągnęła wdowa Mazzetti.

– Czyste sumienie? Hm. Trudne. Tak, ale zrozumiałe.

– Nasza pomoc jest jednorazowa – zaznaczyła wdowa Pacini.

– To nowa zasada.

– Dlaczego ją wprowadziłyście?

– Och, to ma związek z historią ślicznej szwaczki, którą znaleźliśmy dla hodowcy świń niedaleko Aquaviva – wyjaśniła wdowa Mazzetti – pod koniec listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, o ile mnie pamięć nie myli. To wyjątkowo dobrze dobrana para. Byliby bardzo szczęśliwi, ale zostawił biedaczkę, kiedy zachorowała i poradzono jej, by zrezygnować z jedzenia mięsa.

– Tak zalecili lekarze! – zawołały jednocześnie dwie inne wdowy. Żyły w wiecznym strachu, że spotka je to samo.

– Hodowca powiedział, że są takie kwestie, w których nie może pójść na kompromis – ciągnęła wdowa Mazzetti – i odmowa jedzenia wieprzowiny to właśnie jedna z nich.

– Znów był smutny i samotny – dodała Luciana – ale zaczął na lewo i prawo robić aluzje w rozmowie ze wszystkimi, których spotkał, że szuka drugiej żony, tylko ze zdrowym żołądkiem. Wywołało to spore poruszenie.

Spore poruszenie, rzeczywiście. Dwie z wdów (te, które przepadały za wieprzowiną) dawały mu drugą szansę, cztery inne chciały zastrzelić tamte dwie, kolejne cztery zastrzelić hodowcę świń, i przez tygodnie toczyły się zażarte dyskusje, kto zasługuje na miłość, a kto – nie.

– Ostatecznie – wyjaśniła wdowa Mazzetti – przeprowadziłyśmy głosowanie w sprawie zasady, że będziemy pomagać nieszczęśliwym tylko raz. Jeśli zmarnują szansę, będą zdani na własne siły.

– Osobna kwestia – uzupełniła Violetta – poddana pod dyskusję przez Lucianę i przeze mnie, spotkała się z szerokim oddźwiękiem, więc dodałyśmy uwagę, że miłość to sztuka kompromisu.

Spojrzała na siostrę, która spojrzała na nią hardo. Od awantury o *cantucci* właściwie nie zamieniły ze sobą ani słowa. Akurat tego Violetcie było teraz trzeba: kolejna gula w gardle.

– A gdyby po prostu postanowiła nie jeść mięsa? – spytała Fiorella. – Ta żona hodowcy świń z Aquavivy? Wtedy czułybyśmy większą sympatię do hodowcy świń?

– Naturalnie – zgodziła się część obecnych kobiet.

– Skądże! – rozległy się też inne głosy.

Zanosilo się na kolejną burzliwą dyskusję, i to nie na właściwy temat, więc Violetta wydarła się na wdowy, by przywołać je do porządku.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy wszystkie pamiętały – patrzyła groźnie na Fiorellę – że kiedy zapodzieje się jedna skarpetka, czasami nigdy się nie odnajduje. To katastrofa dla skarpetki, która została. Właśnie pozwoliłyśmy, żeby taka skarpetka wymknęła się z naszej sieci, więc nie pora na czepianie się i szukanie dziury w całym. Należy naprawić to, co się stało.

Wdowa Del Grasso skorzystała z tej okazji, żeby wymknąć się do łazienki i sobie popłakać. To wszystko przez jej oczy, nieznośne, zmętniałe, chore oczy. Miesiąc temu usiadła na okularach i nie stać jej na nowe. Bo prawdę mówiąc, wróciwszy z toalety, myślała, że podążyła za Lily ze sklepu winnego Alberta i właściwie dopiero gdy znalazła się niemal w jednej z pralek w pralni samoobsługowej na drugim końcu miasta, zorientowała się, że kobieta, za którą poszła, jest młodsza i niższa od Lily i ma rude włosy.

Wszystko przez białe spodnie. Poszła za kobietą w białych spodniach i to ją zgubiło.

Tymczasem w głównej sali otworzyły się gwałtownie drzwi za chrzcielnicą i do środka wpadła wdowa Ciacci, czerwona na twarzy i zdyszana. Ostatnie kilka godzin spędziła na szukaniu swojego wnuka Alberta i znalazła go w szulerni za *piazza grande*. Naturalnie wiedział, dokąd zamierzała się udać *bella* blondynka, z dumą oświadczył swojej babce.

– Jest w Castelmuzio – zameldowała jednym tchem przyjaciółkom. – Albo w Montefollonico. Albo w Pienzie.

- Moja siostra mieszka w Castelmuzio - odezwała się jedna z wdów. - Mogę ją dyskretnie wypytać.

- Znam piekarza w Montefollonico - dorzuciła inna. - Spróbuję go wziąć na spytki.

- Mój kuzyn jest kelnerem w Pienzie - oznajmiła wdowa Del Grasso, wróciwszy do sali. Miała czerwone oczy, ale nie traciła nadziei, że uda jej się naprawić przynajmniej część szkód, które spowodowała. - Jego żona to hetera i nie spodoba jej się, jeśli zadzwonię o tak późnej porze, ale zaryzykuję.

Ingrid i Daniel siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w ogródku na Piazza della Signora. Obydwoje zamówili tuńczyka z rusztu w sosie szparagowym, ale tylko Ingrid jadła.

– Wiesz co, wydaje mi się, że Florencja mogłaby być moim najulubieńszym miastem na całym świecie – powiedziała, sącząc wino.
– A co ty sądzisz?

– Nie jestem pewien. – Daniel grzebał w talerzu. Nie miał na nic ochoty.

Ingrid patrzyła na niego, zastanawiając się, czy powinna wtrącić swoje trzy grosze, czy dać sobie spokój. Wcześniejszy wybuch emocji zakończył się bez żadnych wyjaśnień ze strony Daniela. Po prostu przestał płakać, przeprosił ją i wrócił do pokoju pół godziny później jak gdyby nic.

Jej zdaniem Daniel Turner był przykładem człowieka załamane go, który stara się jakoś trzymać, co prawie mu się udaje. Wiedziała, że nowy znajomy ma dobre serce, tak jak potrafiła rozpoznać dojrzałe awokado, ściskając owoc. Ale wpakował się w tarapaty.

Z jednej strony miała ochotę zwyczajnie rozkoszować się posiłkiem spożywanym w towarzystwie przystojnego mężczyzny, a później przejść przez Ponte Vecchio do ogrodów Boboli, jak normalna turystka. Ale jej matczyzna natura chciała się dowiedzieć, co go spotkało, i ewentualnie w jakiś sposób mu pomóc.

Pamiętała dzień z mroczniejszego okresu swojej przeszłości, kiedy zostawiła swoich małych synków w domu bez opieki i pobiegła do pobliskiego parku, gdzie usiadła na ławce i się rozplakała. Przypadkiem zobaczyła ją starsza pani, mieszkająca w sąsiedztwie. Ingrid

przypuszczała, że porzuciłaby swoją rodzinę na zawsze, gdyby nie mądra rada pani McArthur, że czasem dotrwanie do końca dnia bez zabicia kogoś to wszystko, czego można sobie życzyć, ale to wcale nie najgorszy wynik.

Trzymały się za ręce, ona i jej staruteńka, owdowiała sąsiadka, póki Ingrid nie poczuła na powrót miłości do swoich hałaśliwych dzieci i nieobecnego męża. Potem poszły do domu, pani McArthur pomogła jej nakarmić i wykąpać chłopców, a później położyć ich spać.

Czasami, pomyślała Ingrid, człowiek potrzebuje jedynie kogoś, kto by mu powiedział, że niepopelnienie ohydnej zbrodni to już sukces.

Odłożyła nóż i widelec, pochyliła się nad stolikiem, ujęła Daniela pod brodę tak, by ich spojrzenia się spotkały.

– Spójrz na mnie. Nie chcę ci niczego utrudniać, więc możesz się odprężyć. Po symposium spotkam się w Mediolanie z moim mężem, którego ubóstwiam, i już nigdy mnie nie zobaczysz ani nie usłyszysz. Ale teraz chciałabym rozkoszować się piekielnie drogim posiłkiem w tym cudownym zakątku świata, więc zrób mi tę grzeczność, dobrze?

– Przepraszam, Ingrid. – Daniel odsunął się. – Naprawdę. W tej chwili nie jestem najlepszym kompanem.

Chciała go zapytać, czy zechce posłuchać pewnej rady, ale uznała, że i tak jej udzieli.

– Jesteś czarującym, przystojnym mężczyzną w sile wieku, Daniele. Powinieneś być najlepszym kompanem pod słońcem. Chcesz mi powiedzieć o swoich kłopotach? Żyję na tym świecie od pięćdziesięciu trzech lat, z tego trzydzieści jako szczęśliwa żona tego samego pełnego wad, ale kochanego mężczyzny, trochę wiem o życiu. Może mogłabym ci pomóc.

Zaimponowała mu – przyznała się do swojego wieku; nie wyglądała na swoje lata. Uśmiechnął się i nieco odprężył.

– Mówisz, że jesteś szczęśliwą mężatką, a jednak spędzasz czas ze mną – rzucił pół żartem, pół serio.

– Nie jestem z tobą w taki sposób, który mógłby obudzić niepokój u mojego męża. Martwię się o ciebie. I nie powiedziałam, że moje

małżeństwo jest idealne. Uważam, że nie ma takich. Ale moje jest szczęśliwe. Jak nam się to udało, to nasza tajemnica. Mam swoje sposoby i Richard ma swoje. Najważniejsze, że się udało.

Daniel z łatwością potrafił sobie wyobrazić Ingrid i jej męża doktora śmiejących się nad talerzem makaronu i butelką czerwonego wina w ich dużym, przytulnym domu w Bostonie, ich synów, którzy wpadają z wizytą, przyprowadzają swoje dziewczyny, przynoszą rzeczy do uprania, opowiadają, co się wydarzyło poza ich gniazdem rodzinnym. Zazdrościł jej. Zazdrościł im wszystkim.

– Moja żona nie może mieć dzieci. Staraliśmy się o potomka przez wiele lat, ale z jakiegoś powodu bezskutecznie.

– Przykro mi.

– Zdecydowaliśmy się na adopcję. Próbowaliśmy na własną rękę i przez agencję. Właściwie przez trzy agencje. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, przysięgam, że... – Urwał, przypomniawszy sobie minę Lily, kiedy, jak było do przewidzenia, dzwonił ktoś inny, a nie ciężarna kobieta, która chciała, żeby zostali rodzicami jej nienarodzonego dziecka. – Najbardziej ze wszystkiego pragnęła zostać mamą, ale nie było jej to dane.

Ingrid odsunęła talerz, myśląc, z jaką łatwością przyszło jej urodzenie trzech synów.

– Nie wyobrażam sobie, jak musiało wam być trudno.

– Potem było jeszcze gorzej. Pewnego dnia wreszcie doczekaliśmy się tego telefonu. Brittany z Chattanooga w stanie Tennessee zobaczyła nasze zgłoszenie i wybrała Lily i mnie na rodziców swojego dziecka. Miesiąc później pojechaliśmy tam, skierowaliśmy się prosto do szpitala i poznaliśmy naszą nowo narodzoną córeczkę, Grace.

– Och, Danielu! – Jego uśmiech złamał serce Ingrid.

– Sam widok, jak Lily wzięła to małe zawiniątko... Świadomość, że wreszcie ma to, o czym tak marzyła i o co tak bardzo się starała... Jezu.

Urwał. Otrząsnął się ze wspomnień.

Ingrid chciała ująć jego dłoń, ale powstrzymała się. Siedziała bez słowa, słuchając.

– Przez kilka następnych dni odwiedzaliśmy naszą córeczkę

w szpitalu, aż pozwolono nam zabrać ją do małego domku, wynajętego przez Lily, przytulnego, z bujanym fotelem i... Zachowanie mojej żony było tak naturalne, że można by przysiąc, iż ma już całą gromadkę dzieci. Niesamowite, naprawdę. Podziwiałem ją. Zupełnie jakbym zobaczył kogoś innego. Była stworzona do bycia matką.

Trzymała liczącą sobie sześć dni Grace w nosidełkach na pierś, kiedy zadzwonił adwokat Brittany. Daniel przygotowywał coś do jedzenia w kuchni, Lily poszła do ogrodu.

Zgodnie z prawem stanu Tennessee w szóstym dniu życia dziecka nowi rodzice mogą zostać jego prawnymi opiekunami, co jest pierwszym krokiem do adopcji. Tamtego popołudnia Daniel i Lily wybierali się do kancelarii adwokackiej, by podpisać dokumenty.

Ale w szóstym dniu życia dziecka biologiczna matka też może zmienić zdanie i właśnie to zrobiła Brittany. Rozmyśliła się.

Adwokat wyjaśnił, że babka Brittany ze strony matki nie wiedziała o ciąży wnuczki, ale w jakiś sposób o tym usłyszała i złożyła jej wizytę. Napędziła strachu dwudziestodwuletniej dziewczynie, uświadomiwszy jej, co zrobiła, oddając swoje dziecko całkowicie obcym ludziom.

Brittany mieszkała w przyczepie kempingowej z bezrobotnym chłopakiem, który nie był ojcem Grace. Powiedziała Lily, że chce studiować i zostać nauczycielką, co jej się nie uda z małym dzieckiem, poza tym pragnęła, żeby córeczka miała lepsze życie niż ona.

A jednak zmieniła zdanie.

Daniel nie potrafił o tym myśleć. Widział swoją żonę, zwinętą wokół nosidełka, z jej krtani wydobywał się tłumiony skowyt, bo nie chciała przstraszyć Grace, ale tak przeszywający, że nawet teraz jeżyły mu się włosy na karku.

Lily chciała zabrać dziecko i uciec, wyjechać do Meksyku albo do Australii, dokądkolwiek, gdzie mogłaby dalej cieszyć się tym, czego doświadczyła podczas tygodnia bycia matką Grace.

Daniel niewiele mówił, wiedząc, że to niemożliwe, wiedząc również, że bez względu na to, co teraz czuje jego żona, nie pozbawi Brittany radości macierzyństwa.

Uznał, że Lily się uspokoi i pozwoli mu zabrać Grace do kancelarii adwokackiej, by mogli ją oddać, jak ładnie zapakowaną paczkę do sklepu.

I się nie mylił. Łzy Lily obeschły, spakowała wszystkie rzeczy dziecka, pojechali w absolutnym milczeniu przez miasto do brzydkiego, małego budynku, gdzie już czekała Brittany. Była też jej babka z gniewną miną. Twarz Brittany pozostała całkowicie obojętna, gdy niezgrabnie wzięła śpiącą Grace na rękę.

– Dbaj o nią – powiedziała jedynie Lily.

Wsiedli do samochodu i pojechali bez słowa prosto na lotnisko, zatrzymali się raz, kiedy Lily dostała torsji, i drugi raz, by pozbyć się fotelika samochodowego, który przywieźli ze sobą i którego użyli tylko dwa razy: by przewieźć Grace ze szpitala do domu i potem, żeby odwieźć ją do biologicznej matki.

Lily ostrożnie umieściła fotelik w pojemniku na śmieci przed barem szybkiej obsługi.

– Nie będzie nam potrzebny – powiedziała, kiedy wróciła do samochodu. Przez resztę drogi niewiele się odzywała. I przez cały dzień. A właściwie przez cały tydzień.

Stała się milcząca. I pozostała taka do tej pory.

24

Lily obudziła się o świcie z logo fiata, umieszczonym pośrodku kierownicy, odcisniętym na policzku i takim bólem w karku, jakiego nie zlikwidowałby żaden kręgarz na świecie, nie zdjawszy jej uprzednio głowy z ramion, z których jedno miała zupełnie zdrętwiałe.

Tak jej się chciało siusiu, że aż ją bolał pęcherz. W ustach czuła niesmak, jakby miała tam wycieraczkę nigdy nietrzepaną, nie mówiąc już o czyszczeniu. Bolały ją nawet włosy.

Ale w zimnym świetle dnia to nie dolegliwości fizyczne stanowiły największy problem.

Ten zaszczyt przypadł temu, że tak bardzo się upiła, iż pokłóciła się z deserem i zaprzyjaźniła z GPS-em.

Myslała, że nic nie może jej wprawić w większe zawstydzenie, póki nie usłyszała puk puk puk w szybę samochodu. Uniosła wzrok i z przerażeniem zobaczyła, że to znów Alessandro, Włoch w płóciennej koszuli, którego spotkała, gdy dawno, dawno temu pojawiła się w okropnej, wstrętnej, znieprawionej Toskanii.

Odruchowo wyciągnęła z gniazda zapalniczki kabel zasilający Dermotta, by go uciszyć, i przynajmniej bez żadnej wpadki udało jej się opuścić szybę w oknie.

– A więc nigdy nie trafiła pani do Montevedovy. – Alessandro uśmiechnął się. – Chyba jednak powinna była pani pojechać za mną.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale język przykleił jej się do podniebienia.

– Może teraz mógłbym się na coś przydać?

Język pozostawał unieruchomiony, jej umysł próbował rozważyć wszystkie możliwości, jakie miała.

Mogła znów zmanifestować swoją niezależność i odjechać, zostawiając Alessandra w chmurze spalin. Nie знаła go, a musiała mieć wzgląd na swoją dumę.

Czknęła.

Zamknęła oczy, cały świat zawirował.

Musiała przyznać, że jej duma w tej chwili jest bez znaczenia.

Nie miała żadnego planu działania, miała za to ptasie gniazdo zamiast fryzury, jej rzekoma oziębłość ustąpiła miejsca siódmym potom. Poddała się. Przystojny Włoch proponował pomoc i najłatwiejsze było ją przyjąć.

Otworzyła oczy i spojrzała mu prosto w twarz. Zobaczyła wtedy, skąd się bierze u niego powaga, której źródła nie potrafiła się doszukać, kiedy spotkali się pierwszy raz. Jej źródłem był smutek. Schowany głęboko pod skórą, ale teraz tak dla niej widoczny jak barani kozuch.

– Trafiłam tam. Znaczą się do Montevedovy – wyskrzeczwała, uśmiechając się żałośnie. – Ale obawiam się, że znów zapomniałam, jak się tam dostać. Przypuszczam, że z powodu zbyt dużej ilości *vino* i za małej ilości *pecorino*.

– Aha. W takim razie Alessandro D’Agnello zawsze do usług. – Skinął głową.

– Lily, Lillian, potrzebująca pomocy – przedstawiła się Lily i wyciągnęła rękę przez okno, by ją mógł uścisnąć. W nocy próbowała uwolnić się od stanika, nie zdejmując podkoszulka z długimi rękawami, i teraz wystawał spod rękawa.

Obydwoje spojrzeli na niego: ona z przerażeniem, on – z zabawieniem.

Lecz Alessandro odznaczał się nieskazitelnymi manierami.

– Jesteśmy niedaleko od mojego domu. – Przesunął wzrokiem po jej twarzy. – Może napijesz się ze mną kawy? Zaparzyłem doskonałą kawę i muszę się napić. Dziś rano szukałem wiatru w dolinie.

– Szukałeś wiatru w polu – poprawiła go.

– Niech będzie – zgodził się. – Dziś z samego rana miałem telefon w sprawie spotkania z kurierem. Wydawało mi się, że kobieta

podała adres przy tej ulicy, ale nikogo tu nie ma. Nikogo poza tobą.
 – Uśmiechnął się.

Odpowiedziała bladym uśmiechem.

– Więc dasz się namówić na poranne espresso w moim towarzystwie w drodze powrotnej do Montevedovy?

– Tak, dam się namówić. Napiję się z największą przyjemnością.

– Świetnie – ucieszył się. – Jedź za mną. Jeśli się zgubisz, zjedź na pobocze, a znów cię znajdę. Zdaje się, że dobrze mi to wychodzi.

– Ani słowa – przykazała Lily Dermottowi, kiedy wjechała na drogę za czarnym range roverem. – Ani słowa.

Dom Alessandra wznosił się w kępie drzew na końcu wyłożonego białymi kamieniami podjazdu.

– Podoba mi się tutaj – odezwała się Lily, kiedy wysiadła z samochodu. – Od dawna tu stoi?

– Od jakichś pięciuset siedemdziesięciu sześciu lat. – Alessandro prowadził ją do drzwi frontowych. – Znaczy się dom, nie ja. Należał do rodziny mojego ojca, ale w dziewiętnastym wieku straciliśmy go. Odkupiłem go kilka lat temu i remontuję.

– Straciliście dom? – spytała, kiedy weszli do obszernego hallu, a z niego skierowali się do zaskakująco przyjemnej kuchni w głębi. Wszędzie błyszczały najnowocześniejsze urządzenia, na szafkach stały misy pełne owoców, warzyw i ziół, zauważyła też ciasto, świeżo oprószone cukrem pudrem. Odnosiło się wrażenie, że pomieszczenie jest często używane i lubiane.

– Tak, mój praprapradziadek wdał się w bójkę o konia z nikczemnym sąsiadem – opowiadał Alessandro. – W wyniku wendety stracił dom, dwie ze swoich córek, a na koniec rozum.

Lily się roześmiała. Nikczemny? Niezbyt często słyszała to słowo. Ale przestała się śmiać, kiedy zobaczyła minę Alessandra.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Ale zabrzmiało to tak dramatycznie – nikczemnicy, wendeta, szaleństwo. Jak w sztuce szekspirowskiej. Nie chciałam okazać braku szacunku dla twoich przodków.

Uniósł brew i skinął głową, ale nic nie powiedział. Krzątał się w kuchni, więc Lily zapytała, czy może się rozejrzeć, i przeszła

przez aneks jadalny do słonecznego salonu. Wszystkie pomieszczenia w głębi domu wychodziły na ogromny basen, otoczony cisami w wielgachnych terakotowych donicach. Za nim ciągnęły się pofałdowane pola, miejscami porośnięte wiekowymi, powykęcanyimi jak przez artretyzm drzewami oliwnymi.

Niesamowicie piękny krajobraz.

– Szczerze mówiąc, uważam, że bardziej prawdopodobne, by Puccini napisał operę o dziejach mojej rodziny. – Alessandro stanął za nią; odzyskiwał dobry humor. – Tragedię, bo tym są.

– Ale odzyskałeś dom, a wszystko to wydarzyło się tak dawno temu. Czy nie należy położyć kres kłótni rodzinnej?

– Od niedawna jesteś we Włoszech – zauważył, uśmiechając się – więc może nie wiesz, że przywiązujemy większą wagę do naszej przeszłości niż wy, Amerykanie, a co za tym idzie, do naszych waśni i tragedii. Z jakiegoś powodu nie przychodzi nam tak łatwo jak wam oddzielenie ich od terażniejszości. To trudne.

Już chciała mu się sprzeciwić, ale potem pomyślała o Rose, swojej jedynej siostrze: kochała ją nad życie, ale kłóciły się od niepamiętnych czasów.

Spojrzała na Alessandra, który patrzył na swoją posiadłość, i znów uderzył Lily jego posępny smutek. Ciekawe, jakich jeszcze tragedii wspomnienia pielęgnuje. Dziwne, że nie puścił w niepamięć dawnych waśni, ale nie miała ochoty się spierać. Bądź co bądź była na pozycji defensywnej, w jego domu, kompletnie wykończona i spragniona kawy.

– Espresso? – zapytał w samą porę. – Machiatto?

– Machiatto to mała czarna z odrobiną mleka?

– Tak.

– W takim razie poproszę machiatto. – Poszła za nim do kuchni.

– Przypuszczam, że nie masz mleka sojowego?

– Przypuszczam, że nikt nie ma tu mleka sojowego. Jesteśmy otoczeni przez krowy.

– Tak, ale czy są hodowane metodami naturalnymi? Odnoszę wrażenie, że metody naturalne jeszcze się tu nie przyjęły.

– To prawda, nie mamy obsesji na tym punkcie. Ale we Włoszech nie jemy tak dużo nienaturalnej żywności, jeśli to właściwe

określenie. Na przykład mleko, które mam w lodówce, jest od krów pasących się dwie doliny stąd. Widać je z rogu basenu koło loggii. Sam uprawiam warzywa, część owoców, orzechy przysyła mi przyjaciel z Puglii, oliwę wytłaczam z własnych oliwek. *Signora Benedicti*, moja gospodyni, piecze chleb z mąki z młyna w pobliżu Lukki, a mięso i kurczaki kupuję u rzeźnika w San Quirico, moja rodzina zaopatruje się tam od stuleci. Wiem, skąd pochodzi wszystko, co jem, i dla mnie to lepsze niż żywność ekologiczna. Zawsze tak postępowaliśmy we Włoszech. Racja, że to się zmienia, ale przynajmniej do tej pory zawsze tak było.

– Cóż, ja mieszkam w mieście liczącym ponad półtora miliona mieszkańców, zajmującym obszar powierzchni twojego gospodarstwa – powiedziała Lily – więc musisz mi wybaczyć, że nie uprawiam własnych oliwek. Cieszę się, że mam dość miejsca, by stanąć prosto.

– Mieszkasz na Manhattanie?

Skinęła głową.

– Byłem tam. Tak, Nowy Jork, cudowne miasto. Drogie, przynajmniej dla mnie, ale wspaniałe. A więc chcesz machiatto ze zwykłym, świeżym krowim mlekiem?

Skinęła głową.

– I musisz spróbować kawałek tego ciasta. – Odkroił sporą porcję placka. Było to ciasto z jeżynami, coś, co absolutnie nie odpowiadało Lily.

– Nie, dziękuję. – Uniosła rękę, ale Alessandro gest zignorował.

– *Signora Benedicti* słynie ze swojej *crostata di more* – oświadczył. – Mimo że proszę, by często ją robiła, zwykle mnie nie słucha. Ale dzisiaj upiekła!

Przysunął kawałek ciemnego, pachnącego nugatem placka i Lily ze zdziwieniem stwierdziła, że ślinka napłynęła jej do ust.

– Przepraszam, nie jadam deserów.

– Ale to śniadanie!

– No cóż, w szczególności nie jem deserów na śniadanie.

– Lily, jeśli masz zamiar zostać we Włoszech, musisz się pogodzić z tym, że jemy desery przez cały dzień.

– Cóż, mogę się z tym pogodzić, nie jedząc ich – odparła ze śmiechem.

– Dlaczego miałabyś ich nie jeść? – Był szczerze zdumiony.
– Po pierwsze upiekła to *signora* Benedicti, po drugie smakowały stoi przed tobą. Połowa mieszkańców Montevedovy oddałaby prawe oko, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

– Dobrze już, dobrze. – Przekonała się, że Alessandro jej nie odpuści, więc odkroiła widelczykiem ociupinkę placka i spróbowała. Słodki dżem jeżynowy w połączeniu ze świeżymi, cierpkimi owocami zaatakował jej kubki smakowe.

– Pyszne. – Zjadła następny kawałek.

Alessandro się roześmiał.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która stwierdziła, że nie można się oprzeć *crostata di more* signory Benedicti.

– Nie można się oprzeć? Można się od niej uzależnić. Nie zdziwiłabym się, jeśli dodawałaby do niej kokainę – zażartowała Lily.

– Cóż, jest tylko zwyczajną starą, owdowiałą Włoszką. – Wzruszył ramionami. – Byłbym zaskoczony, gdyby coś takiego robiła, chociaż nigdy nie wiadomo.

Lily przyglądała się, jak Alessandro pałaszuje swój kawałek placka, potem zjada drugi, by na koniec dojeść jej. Nie ulegało wątpliwości, skąd jego lekka nadwaga, ale dobrze się trzyma pomimo paru zbędnych kilogramów, pomyślała, kiedy owijał resztę placka kilkoma warstwami folii spożywczej, żeby powstrzymać się, jak powiedział, przed zjedzeniem reszty ciasta przed obiadem.

Czuła się jak podglądacz, obserwując mężczyznę, gdy ten krzątał się po kuchni.

– Sam tu mieszkasz?

– Od śmierci żony tak. – Zauważyła, że znów był spięty.

– Przepraszam, Alessandro. Nie chciałam być wścibska.

– Nie jesteś wścibska. To po prostu... Trudne.

A więc to jest powodem jego smutku. Świeża strata, nic dziwnego, że jest przygnębiony. Przeprosiła i wyszła do łazienki, żeby się odświeżyć i umieścić stanik na swoim miejscu. Potem poprosiła, by jej pokazał posiadłość.

W ogrodzie warzywnym rozboleła ją głowa, ale dzielnie udała zainteresowanie tym, co robi Alessandro, że wspaniale rosną pomidory, a fasola pnie się tak prosto. Uprawia też jabłonie, pochwalili się, i winogrona, z których sąsiad wyrabia wino, no i jeszcze ma oliwki, lepsze od hiszpańskich i przewyższające jakością gorsze od nich oliwki greckie, bo według niego oliwa z nich ma smak paliwa lotniczego.

Ale w stodole kac minął jej jak ręką odjął, kiedy ujrzała gondolę, której kadłub, przypominający potężne cielsko wieloryba, zajmował niemal całą długość pomieszczenia.

Była niedokończona, ale nawet ktoś, kto nigdy nie odwiedził Wenecji, wie, co to gondola i że powodem popularności gondoli jest brak tam dróg i mnóstwo wody.

W Toskanii nie było wody, za to dużo dróg. Do tego stromych. Nawet gdyby doszło do powodzi, gondola na nic by się tutaj nie przydała.

– Alessandro, to jest... To jest...

– Niewiarygodne, prawda? Buduję ją w tradycyjny sposób, chociaż ta tradycja już zanika. Sztuka budowania gondoli umiera, jak prawie wszystko.

Wziął strug i zaczął wygładzać bok niedokończonej łodzi. Słońce wpadało przez otwarte wrota, rzucało złoty snop światła na łódź i Alessandro, marszczącego czoło.

Lily spojrzała na kilometry suchego lądu, potem znów na Alessandra, pracował przy swojej łodzi z podziwu godnym oddaniem.

– Wiem, że nie jestem mistrzynią nawigacji, ale czyż nie znajdujemy się daleko od Wenecji?

Przerwał pracę, oparł dłoń o burtę łodzi, otarł czoło.

– Nikomu nie zależy na tradycji – powiedział ze smutkiem. – Nikt się nie przejmuje, że budowniczkowie gondoli umierają i nikt ich nie zastępuje, więc pewnego dnia nie będzie tradycyjnych łodzi.

– Muszą być tradycyjne? Nie mogą być nowoczesne? Produkcja jest tańsza.

– Niektóre rzeczy mogą się zmieniać z upływem czasu i wciąż dobrze spełniać swoją funkcję, ale jeśli unowocześnić gondolę, przestanie być gondolą. Nie wszystko musi być takie jak dawniej,

ale są rzeczy, których nie należy zmieniać. Jeśli nie będziemy pielęgnować naszych tradycji, co nam zostanie? Nie ma tradycji, nie ma nic. Stajemy się podobni do innych.

– Co w tym złego?

– Ach, Lily, zapominam, że dopiero co przyjechałaś. We Włoszech mieszkańców Montevedovy dzieli szmat drogi od mieszkańców Montalcino, których widzimy przez okna naszych sypialni. Kiedy kichamy, możemy stuknąć ich głową, ale pod wieloma względami są jak obcy. Jemy inne potrawy, pijemy inne wino, mamy odmienne zwyczaje. Lubimy się różnić od innych, sprawia nam to przyjemność. I właśnie dzięki swoim tradycjom jesteśmy inni. W przeciwnym razie bylibyśmy tylko gromadą głupców mieszkających w coraz bardziej skorumpowanym kraju, którego gospodarka schodzi na psy.

Lily niewiele wiedziała o finansach czy polityce Włoch, więc nie miała zdania na ten temat. Znowu rozboleła ją głowa. Pora, by się pożegnać.

– Żebyś nie miał wątpliwości – powiedziała, kiedy wsiadła do samochodu. – Nie należę do kobiet, które jadą za nieznanym do jego domu i z przyjemnością jedzą u niego placek z owocami.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Zorientowałem się, że taka nie jesteś, zwłaszcza kiedy prawie nie tknęłaś placeka. – Jego smutne, brązowe oczy poruszyły w niej strunę uczuć macierzyńskich. – Może następnym razem zostaniesz dłużej, co? Zjesz więcej placeka?

– Nie jestem pewna, jak długo tu zabawię, ale być może. I dziękuję za wszystko, Alessandro.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I gdybym mógł ci pomóc w czymkolwiek, pozwól mi na to.

No, dobra robota, Violetto! Dobra robota! – Wdowa Ciacci zajrzała przez otwarte okno do domu sióstr Ferretti.

Violetta skinęła głową, co mogłoby sugerować, że też jest zadowolona z tego, jaki obrót przybrały sprawy z Alessandrem, ale to nie była prawda. Miała ściśnięty żołądek i kłopoty z trawieniem.

Wiadomość, że Lily się odnalazła i spotkała z ich *calzino*, wprawiła inne wdowy w dobry humor, lecz Violetta powstrzymała się przed gratulacjami.

Lily się upiła i usnęła w samochodzie. Tak nie powinna się zachowywać kobieta, która ma uszczęśliwić ulubieńca Montevedovy. Ale kiedy Violetta i Luciana schodziły wąskimi schodami do krypty kościoła, wdowy, które się tam zebrały, były w stanie niezwykłego podniecenia. Bzyczały jak pszczoły w koniczynie.

– Słyszałyście? Alessandro ją uratował.

– Niczym księżę na białym rumaku, jak w bajce!

– Pojechała do jego domu.

– Zjadła *crostata di more* wdowo Benedicti.

– Och, *crostata di more*. Mmm, gdybyśmy tak miały jej trochę tutaj. Właśnie na nią mam ochotę. Te jeżyny...

– Co dodajesz, wdowo Benedicti, że są tak wyjątkowo smaczne?

– Och, Violetto! Znów ci się udało! – Wdowa Pacini roześmiała się od ucha do ucha, kiedy siostry Ferretti pojawiły się w podziemiach kościoła. – Jest dobrze. Bardzo dobrze.

– Mój Alessandro w końcu zazna szczęścia, na jakie zasłużył – zapiszczała wdowa Benedicti, dumna jak paw, bo kolejny raz

chwalono jej *crostatę*. – To nasz największy triumf jak do tej pory. Kochany, kochany Alessandro.

Niemal wszystkie westchnęły, co tak zirytowało Violetę, że ledwo się powstrzymała, by którejs nie spoliczkować. Głupiały, kiedy sprawa dotyczyła Alessandra.

Ku jej zaskoczeniu Fiorella Fiorucci sprawiała wrażenie zupełnie nieporuszonej, jak ona, Violetta. Przewróciła oczami, wyciągnęła z kieszeni iPod'a i włożyła słuchawki do uszu, jakby nie chciała dłużej słuchać wdów.

– O co chodzi? – spytała, kiedy zobaczyła, że Violetta gapi się na nią. – Tylko nie mów, że istnieje zakaz słuchania muzyki. Następnym razem powiesz, że nie wolno rozpiąć górnego guzika spódnicy po zjedzeniu trzech porcji *ribollity*.

Chóralne zachwyty nad Alessandrem w jednej chwili ustały. *Ribollita* to zupa z fasolą, z dużą ilością fasoli. Było rzeczą powszechnie znaną, szczególnie w siedzibie ligi, gdzie wentylacja działała kiepsko, że dużo starych kobiet i dużo fasoli to niedobre połączenie.

– No więc – odezwała się jedna z wdów – co teraz, Violetto, w kwestii naszych gołąbeczków?

– Wdowa Benedicti mówi, że filiżanka kawy była bardzo gorąca – zauważyła inna. Wdowy lubiły obyczajne zaloty, ale lubiły też wiedzieć, że tuż za rogiem strzelają fajerwerki.

– Zwabimy Alessandra do *pasticcieri*? – zapytała któraś.

– Albo sprawimy, żeby Lily znów zawitała do jego domu?

– Albo by obydwójce gdzieś utknęli?

– Tak, tak. To się sprawdziło w wypadku tej ładnej kwiaciarki i garniarza, prawda?

– A może to była ta mała modystka i fryzjer?

– Tak, tak, Violetto. Co powiesz na to, by gdzieś utknęli? A może masz w zanadrzu jakiś inny dobry pomysł?

Ale Violetta nic nie miała w zanadrzu.

Poza ogromnymi wątpliwościami i kłuciem w piersiach.

– Dajcie mi spokój! – warknęła na przyjaciółki. – Wasze nieustanne nagabywanie przyprawi mnie o hemoroidy.

– Skoro już o tym mowa. – Fiorella zwróciła się do wdowy

Ercolani. – Pomogła maść, którą ci poleciłam? A może smarujesz sobie nią oczy? Słyszałam, że tak robią w Hollywood.

Wdowa Ercolani utkwiała wzrok w płamie na podłodze, tak jakby stanowiła wejście do katakumb mieszczących się niżej, gdzie teraz pragnęłaby się znaleźć, ale zanim tam trafiła, Fiorella zagadnęła wdowę Ciacci.

– A tobie minęło przygnębienie? Zdziwiłabyś się, ilu mieszkańców naszego miasteczka łyka te pigułki. Aż dziw, że nie śpiewają i nie tańczą od świtu do nocy.

Wdowa Ciacci klapnęła na krzesło.

– A jeśli chodzi o ciebie – zagadnęła Fiorella wdowę Mazzetti – mam nadzieję, że wyciągnęłaś druty do robótek. Twoja najmłodsza wnuczka jest przy nadziei.

– Przecież nie jest mężatką. – Wdowa Mazzetti była zszokowana. – A to dziewczusko!

– Och, chwileczkę. Nie, pomyliłam się. Nie musisz dziergać na drutach. Chodzi nie o najmłodszą, tylko starszą od niej. Nigdy nie będzie przy nadziei, jeśli nie przestanie zażywać pigułek antykoncepcyjnych.

– Przecież jest mężatką! A to dziewczusko!

Nagle atmosfera w pomieszczeniu zwarzyła się.

Następnego dnia Lily obudziła się wczesnym rankiem, słodki zapach piekących się *cantucci* unosił się na schodach i delikatnie pieścił jej kubki smakowe. To cudowny sposób powitania nowego dnia i wprawienia się w dobry nastrój, czego nie gwarantowało jej obecne położenie.

Usiadła na parapecie okna i upajając się cudownym widokiem, rozważała, od czego zacząć dziś naprawiać swoje zrujnowane życie. Ale te wzgórza, te przypominające klejnoty dachy, to zamglone, błękitne niebo nad dalekim, zielonym widnokregiem...

Dzień, który zaczyna się w takim cudnym krajobrazie, nie może być ponury.

Widok, jaki ujrzała w lustrze, nie był już tak przyjemny: ciemne odrosty wymagały pilnie farby, ale przynajmniej wiedziała, jak temu zaradzić.

Kierując się zapachem, zeszła do kuchni, pchnęła drzwi i zastała obie siostry, pochylone nad pokrytym mąką stołem.

– Widzę, że nie ma pokoju dla bezbożników – zażartowała, co słysząc Luciana wypuściła z rąk puszkę z głośnym brzdęk i cukier rozsypał się na kamiennej posadzce niczym farba.

Violetta zrugła siostrę, Luciana nie pozostała jej dłużna, potem obie spojrzały żałośnie na podłogę, a po chwili żałośnie na Lily.

Westchnąwszy ciężko, Violetta spróbowała się schylić, ale udało jej się tylko trochę zgiąć nogi w kolanach. Luciana oparła się o stół, żeby nie stracić równowagi, i syknęła z bólu, starając się chociaż część ciężaru ciała przenieść na nadgarstek.

– Chwileczkę – odezwała się Lily. – Żadna z was nie znajdzie się

na poziomie podłogi bez pomocy dźwigu i trampoliny, a być może również straży pożarnej. Pozwólcie, że was wyręczę.

Wzięła szufelkę i zmiotkę, uprzedzając Violetę, i zaczęła sprzątać bałagan.

– Może już wspomniałam – powiedziała, zamiatając podłogę – że nie jestem zbyt dobrą gospodynią. Moja siostra, Rose, robi to po mistrzowsku. Sprzątnęłaby wszystko, zanim zdążyłaby nabałaganić. I wyznam wam jeszcze coś: gdyby Rose była tutaj, założę się, że jej *biscotti*, przepraszam, chciałam powiedzieć *cantucci*, byłyby idealne. Wszystko co wychodzi spod jej ręki, jest perfekcyjne.

Znalazła kubek na śmieci i wsypała do niego zebrany cukier.

– Chociaż zaznaczam – ciągnęła, przykucnąwszy, by jeszcze raz zamieść podłogę – że gdyby Rose tu była, nie rozmawiałybyśmy ze sobą, bo uważa, że staję się nałogową alkoholiczką jak nasza matka, a ja uważam, iż to niesprawiedliwe, że tylko Rose los obdarzył dziećmi.

Kiedy się wyprostowała, Luciana trzymała jajko w uniesionej ręce.

– Och, spójrzcie na to. – Lily wskazała na jajko. – Poważnie, jestem oryginałem, nawet nie potrafię ugotować jajka.

– *Uova*. – Luciana puknęła jajko zakrzywionym palcem. – *Uova*.

– *Uova?* – powtórzyła Lily.

Staruszka skinęła głową, unosząc jajko wyżej.

– *Uova*.

– *Uova*. – Lily odłożyła szufelkę na miejsce. – Och! *Uova*. Rozumiem. Jajko! *Uova*. Czuję się jak Helen Keller. *Uova*. Wygodne łóżko, śliczny widok, a do tego lekcja włoskiego. Dziękuję, moje panie, naprawdę jestem wam bardzo wdzięczna, ale teraz, jeśli można, zostawię was, byście zajęły się swoimi obowiązkami.

– *Burro*. – Luciana podniosła do góry ronderek z roztopionym masłem. – *Burro*.

– Tak, *burro* – zgodziła się Lily. – Masło. Dziękuję. Jestem pewna, że to masło, ale naprawdę muszę już iść.

Luciana wlała masło do ciasta na stole.

– *Mescolare* – powiedziała. – *Mescolare*. – Odwróciła się do Violety,

która robiła wrażenie całkowicie obojętnej, chociaż tak naprawdę nie wiadomo; zawsze miała taką minę. – *En inglese?* – spytała Luciana siostrę. – *Mescolare?*

Zapach cukru, świeżych jajek i ciepłego masła owionął twarz Lily, otwierając w jej pamięci tajemne drzwi tak gwałtownie, że niemal słyszała odgłos przekręcanego klucza. Nie potrafiłaby powiedzieć, co się kryło za nimi, ale na chwilę załapała ją nieopisana fala czegoś ciepłego i cudownego. Szczęście, prawdziwe szczęście.

– Och. – Przyłożyła rękę do piersi. – Mój Boże.

– *Mescolare* – powtarzała Luciana. – *Mescolare!*

– Słuchajcie. Musicie mi wybaczyć nieznaną włoskiego, ale nie chcę lekcji gotowania ani języka obcego. Bo nie jestem zwykłą turystką. Nigdy nie zamierzałam przyjechać do Toskanii. Zdecydowałam się na to, kiedy się dowiedziałam, że mój mąż ma tu przyjaciółkę i dwójkę dzieci.

Tym razem na podłogę upadła miska z orzechami laskowymi, którą trzymała Violetta. Rozpadła się na dwie części, a orzechy potoczyły do wszystkich czterech kątów pomieszczenia.

– *Santa merda!* – syknęła Violetta.

– *Santamerda?* – powtórzyła Lily, kiedy się schyliła, żeby je pozbiierać z kamiennej podłogi. – *Santamerda, santamerda, santamerda* – powtarzała, goniąc po kuchni za rozsypanymi orzechami.

– To zbyt trudno wytłumaczyć – powiedziała spod stołu. – Chodzi o to, że próbowałam się przyczaić, przygotowując plan działania, ale wczoraj... Czy to było wczoraj? Tak, wczoraj jego córka pojawiła się w waszym sklepie i patrzyła na mnie tymi jego wielkimi, zielonymi oczami.

Wgramoliła się pod kredens, a w tym czasie Violetta – ręce jej się trzęsły – szukała więcej orzechów laskowych w spiżarni.

– Te *santemerda* wiedzą, jak się toczyć. – Lily dostrzegła kilkanaście w odległym kącie. – Wszystko bym oddała, żeby ta dziewczynka była moją córką. – Wrzuciła pozbierane z podłogi orzechy do śmieci i zeszła z drogi Lucianie, która wyjęła z pieca blachę z *cantucci*. Były idealnie upieczone, choć trochę nieforemne.

– Francesca. – Lily z roztargnieniem podeszła do stołu i zanurzywszy dłonie w cieście, zaczęła je wyrabiać palcami i metodycznie

rozprowadzać w nim orzechy laskowe. Siostry patrzyły na nią. – Kto nie chciałby mieć takiej córki? – mówiła. – Chciałam powiedzieć, że właśnie o takiej marzyłam. A najdziwniejsze, że nawet nie mogę się zdobyć na nienawiść do Daniela za to, że ma taką wspaniałą córeczkę, chociaż wiem, że powinnam, a nawet muszę. Pewnie, że chwilami zalewa mnie fala czegoś mrocznego i ogarniają mordercze zamiary, ale czuję zazdrość. Zazdrość! Widzicie? To szaleństwo. To żałosne. Czy to normalne?

W jej dłoniach ciasto przemieniło się w gładką masę nafaszerowaną okrągłymi, brązowymi orzechami.

– A teraz jeszcze ten drugi facet. – Snuła zwierzenia, a Luciana zaczęła kroić upieczone ciasto w plastry i układać je na kolejnej blasze do pieczenia.

– Ach, to tak powstają *cantucci*. Jeszcze raz je pieczecie. – Lily podzieliła ciasto na dwie części, potem jeszcze raz na dwie. – Tak czy owak, ten facet... Nawet nie wymienię jego imienia, bo może go znacie... O spotkaniu z takim kimś marzy każda kobieta potrzebująca pomocy. I jeśli mogę być z wami szczerą, a chyba mogę, bo nie macie pojęcia, o czym mówię, nikt nigdy nie wyciągnął do mnie pomocnej dłoni, tak jak to zrobił on. I bardzo mi dobrze. Cholernie mi z tym dobrze.

– Wiem, co mówisz – odezwała się Violetta, ale Lily, nie podejrzewając jej o znajomość angielskiego, odebrała to inaczej.

– Poszłam do jego domu, rozumiesz to? Poszłam do jego domu na pustkowi, nie informując o tym nikogo, i zjadłam kawałek placka, naprawdę bardzo smacznego placka.

– Wiem o placku. – Staruszka utkwiała w niej oczy ciemne jak paciorki.

– Nie musisz tak na mnie patrzeć, Violetto, zjadłam tylko kilka kęsów.

– Po co tyle hałasu o *crostatę*?

– No więc... Spójrzcie tylko na to! Wasze *cantucci*, gotowe do włożenia do pieca. Wyglądają całkiem zgrabnie, jeśli wolno mi się pochwalić. To naprawdę ja zrobiłam? No więc słuchajcie, to była niezła zabawa, cieszę się, że mogłam wam pomóc, ale widać mi odrosty, przepadła mi wizyta w salonie fryzjerskim w Nowym Jorku, więc

udam się na poszukiwanie fryzjerki tutaj. Nie ma sensu, żebym was o to pytała, nie żeby było coś złego w czesaniu się w koczek w pewnym wieku, ale chyba pójdę do informacji turystycznej i spytam, który zakład mogą polecić. Powodzenia w pracy. *Ciao, ciao!*

Zostawiła starsze panie, które wydawały z siebie pomruki, jakby strasznie się kłóciły, i ruszyła w dół Corso, ale zatrzymała się, pomyślawszy, że być może z powrotem zatrudnili Carlottę w cukierni w dole miasteczka.

Wolała nie ryzykować kolejnego z nią spotkania, skrzyła w wąską uliczkę, która biegła w stronę *piazza grande* i łączyła się z szeroką aleją po drugiej stronie wzgórza.

W ten sposób mogła ominąć cukiernię Carlotty i dojść do informacji turystycznej. Ale pierwsze, co zobaczyła na Via Ricci, kiedy pokonała kilka krętych zaułków, to salon fryzjerski; w oknie było pełno wyblakłych zdjęć kobiet z tapirami na głowach, modnymi w latach osiemdziesiątych.

W Nowym Jorku malowała odrosty co trzy tygodnie, płacąc sporo w salonie przy Piątej Alei, gdzie podawano bliny z kawiosem i zimne *veuve clicquot*.

Ten zakład nie wyglądał na taki, w którym serwują bliny z *veuve clicquot*, ale musiała pilnie coś zrobić z odrostami – nie zaniedba się z powodu tego, że znalazła się chwilowo w kłopotliwym położeniu. Weszła do środka i wyjaśniła ubranej bez gustu kobiecie w recepcji, o co jej chodzi. Kobieta nie знаła angielskiego, ale chyba ją rozumiała, bo pokazała najpierw swój przedziałek, a potem zdjęcie w czasopiśmie, przedstawiające piękną blondynkę z idealnie zrobionymi pasemkami.

– *Sì, sì.* – Lily się uśmiechnęła. Recepcjonistka wskazała jej fotel i zawołała coś po włosku do kogoś, kto siedział na zapleczu. Powiedziała do Lily *uno momento* i szurając nogami, wyszła na ulicę.

Olejek zapachowy wypełniał powietrze przyjemnym trawiastym aromatem, a łagodna muzyka klasyczna rozbrzmiewała nie za głośno i nie za cicho. Lily zaczęła przeglądać włoski żurnal mody, a po chwili zza kotary w głębi wyłoniła się fryzjerka; niosła tacę z farbą i pędzle.

Lily wcisnęła się w fotel najbardziej, jak mogła.

– *Buongiorno* – powiedziała omdlewającym głosem kobieta i spojrziała na nią w lustrze.

Zabierz mnie stąd, błagała Lily w duchu tę kosmiczną siłę, która tak srogo ją ukarała. Zabierz mnie stąd.

Fryzjerka miała cienkie usta, nieufny uśmiech, długą grzywkę. Jak Lily mogła być taka głupia? Carlotta nie była kobietą ze zdjęcia, tylko ta nią jest. To siostry!

Była tęższa od Carlotty, niewątpliwie miała biodra. I to takie, że guziki na dole jej sukienki mało nie odpadły. A jej niebezpieczne spojrzenie, chociaż nie tak wyraźnie widoczne, jak na zdjęciu, czaiło się jakby złowrogo.

– *Mi chiamo Eugenia* – przedstawiła się znużonym głosem. – Chce pani zrobić sobie odrosty, tak? Nie ostrzyc się? Nie skrócić włosów o kilka centymetrów?

Ujęła włosy Lily i zrobiła taki gest, jakby je obcinała.

Lily, słynąca z umiejętności rozwiązywania problemów, nie umiała za nic w świecie znaleźć rozwiązania tej sytuacji.

Gdyby Eugenia wiedziała, z kim ma do czynienia, Lily byłaby zupełnie bezbronna. Kobieta mogłaby ją całkiem pozbawić włosów, dodając kilka kropli kwasu do farby, albo złapać za nożyczki i wyciąć na głowie irokeza.

Jeśli Eugenia nie wiedziała, kim jest Lily, ona mogłaby zwyczajnie wstać i wyjść. Może wywołałoby to lekką konsternację, ale lepsze to od pozostania tutaj. Ale kiedy już wstała z fotela, poczuła na skórze głowy zimny roztwór rozjaśniający włosy.

– W porządku? – spytała zdezorientowana Eugenia, trzymając w ręce plastikową miseczkę z rozjaśniaczem.

Lily zaczęła, ale zimne mrowienie się nie nasiliło. Sztywno usiadła w fotelu. Włosy chwilowo były bezpieczne i nie miała wyjścia, mogła tylko siedzieć i obserwować w lustrze, jak Eugenia wolno i metodycznie pokrywa odrosty farbą. Eugenia (to imię wcale nie brzmiało uwodzicielsko) nie była niebezpieczną kusicielką, jak Lily sobie wyobrażała. Nie malowała się, albo bardzo dyskretnie, rąbek sukienki z jednej strony się odpruł, pantofle na wysokich obcasach miała zdarte. Nerwowo zagryzała dolną wargę, nakładając roztwór na włosy, rozdzielając je na równe pasma.

Kiedy była mniej więcej w połowie, zadzwonił jej telefon komórkowy. Wyciągnęła go z kieszeni, powiedziała *scusi* i wybiegła na zaplecze. Lily starała się podsłuchać rozmowę, ale Eugenia zbyt szybko ją skończyła i pojawiła się znów, jeszcze bardziej rozmemłana niż przedtem.

Wcale nie wyglądała na szczęśliwą, pewną siebie złodziejkę cudzych mężów. Tylko na wrak człowieka.

Nałożyła więcej farby na odrosty i właśnie wtedy Lily zauważyła, że Eugonii trzęsą się ręce.

– Wszystko w porządku? – zapytała ostrożnie.

Fryzjerka energicznie skinęła głową.

– Świetnie. Naprawdę świetnie.

Wcale nie wyglądała na szczęśliwą. Prawdę mówiąc, rozsypywała się na oczach Lily.

– Naprawdę nic mi nie jest – upierała się, nakładając więcej farby. – Nic a nic – powtórzyła niemal ze złością i wsadziła pędzelek do miseczki, po czym tak gwałtownie nim zamieszała, że krople niebieskiego roztworu spadły na podłogę, na jej sukienkę, na nogi.

Lily wcisnęła głowę w ramiona. Co będzie dalej? Ale nagle Eugenia przestała mieszać farbę w miseczce, zgarbiła się i pokręciła ze smutkiem głową.

– Nieprawda, że nic.

Czując się jak w pułapce, okryta plastikową peleryną, z rozjaśnieniem na włosach, Lily poczuła, jak jej wali serce, jak krew pulsuje w nogach i rękach. Była gotowa zerwać się z fotela i uciec.

– Mój facet... – zaczęła Eugenia.

Lily zacisnęła palce na poręczach fotela.

Jej facet.

To źle wróżyło.

Spojrzała na Eugenię w lustrze, ale przekłeta kobieta nie miotała gniewnych spojrzeń, tylko stała zgarbiona, z wzrokiem wbitym w podłogę, dygocząc. Nie wyglądała, jakby miała zamiar wylać całą farbę na głowę Lily, a na dokładkę jeszcze trochę kwasu. Nie wyglądała, jakby chciała chwycić za nożyczki i ostrzyć ją na jeża.

Po prostu osunęła się na fotel obok i zalała łzami.

– Mój facet uciekł! Uciekł ode mnie!

Kochanka jej męża potrzebowała pocieszenia, ale Lily, siedząc z włosami nastroszonymi jak u Smurfetki, nie potrafiła się zdobyć na cokolwiek, tylko wierciła się nerwowo w fotelu, kiedy płacz Eugenii zagłuszył muzykę.

– Jest pani bardzo zdenerwowana. Przykro mi, musi być pani bardzo ciężko, ale może powinnyśmy spłukać farbę i przyszląbym kiedy indziej?

– Przepraszam, przepraszam – łkała Eugenia, jej łzy przypominały krople deszczu sprzed kilku dni. Nie można było jej nie współczuć, ale to przecież kobieta, która odebrała jej męża, więc Lily nie mogła tu siedzieć i udzielać rad, nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć.

– No cóż, w takim razie sama to zrobię, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. – Podeszła do umywalki i odkręciła wodę.

– Przepraszam, przepraszam. – Eugenia jeszcze bardziej zaczęła łkać, przyglądając się, jak klientka sama spłukuje sobie włosy.

– Najmocniej przepraszam.

– Jestem pewna, że nie uciekł. – Lily nałożyła szampon na włosy.

– Prawdopodobnie wyjechał gdzieś w interesach.

– Nie ma go od tygodnia. Od tygodnia nie chce mnie widzieć.

Od tygodnia, pomyślała Lily; stojąc z pochyloną głową, spłukiwała farbę z włosów. Jednocześnie starała się policzyć, ile dni upłynęło od jej wyjazdu z domu. Założyła, że Daniel przedłużył swój pobyt we Włoszech z uwagi na kochankę i dzieci, ale skoro nie ma go z nimi, to gdzie, u diabła, jest?

– Od jak dawna jest pani z tym facetem? – spytała od niechcienia, wcierając we włosy odżywkę.

– Od dawna. Mamy dziecko. Mamy dzieci. Ale zły z niego człowiek. Bardzo, bardzo zły! – Nie przestawała płakać.

Dzieci! Prawie o nich zapomniała. Ta kobieta, kłębek nerwów, która nie potrafiła nawet ufarbować włosów, opiekowała się dziećmi Daniela.

Jak mógł ją tak zostawić? Jej Daniel, znany ze swojej dobroci, wspaniałego charakteru, bezgranicznej cierpliwości i zrozumienia? Nie dość, że zdradzał Lily i prowadził podwójne życie, to spartaczył życie jeszcze komuś! Gdyby teraz tu wszedł, sama wystrzygłaby mu irokeza na głowie.

Ale się nie pojawił. I Eugenia, jak widać, nie liczyła na jego pojawienie się. Kobieta sięgnęła do kieszeni i wysypała z buteleczki na rękę dwie tabletki.

Lily sama wysuszyła i wymodelowała sobie włosy, a Eugenia siedziała zgarbiona w fotelu i płakała.

– Moja portmonetka. – Lily wskazała swoją torebkę, leżącą u stóp Eugonii.

– Przepraszam, przepraszam. – Podała ją Lily. – Ma pani śliczne włosy. Proszę przyjść jutro, za darmo panią uczeszę.

Lily zdobyła się jedynie na wymamrotanie „do widzenia” i uciekła, zostawiwszy biedną Eugenię; siedziała przed lustrem, kołysząc się w przód i w tył, i gryzła chusteczkę jednorazową.

Powiesz mi, o co chodzi? – spytała Luciana siostry, kiedy Lily wyszła z kuchni. – Masz minę, jakby cię przejechała furmanka. Co takiego powiedziała Lily?

Violetta usiadła. W głowie jej się kręciło.

– Co miała znaczyć ta jej pomoc przy robieniu *cantucci*? Uważasz, że każdy może robić nasze *cantucci*?

Luciana uniosła wyliniałe brwi.

– Czyli możesz mówić. O co ci chodziło, kiedy kazałaś jej zbierać *santamerda*?

– Wiesz co, mam już serdecznie dość twojego dopytywania się o wszystko, co robię, Luciano!

– Cóż, ja też mam już tego serdecznie dość. Gdybyś zwyczajnie odpowiadała na moje pytania, może obie byłybyśmy szczęśliwsze!

– Nie możesz pozwolić byle komu wejść do naszej kuchni i robić nasze *cantucci*. To nie w porządku.

– Masz rację. Ale widziałas, jak wyrabiała ciasto? Jakby przez całe życie niczym innym się nie zajmowała. Tymi swoimi ślicznymi, młodymi, silnymi dłońmi. Spójrz, jakie zgrabne, równiutkie są wałki, Violetto. Zrobiła je w try miga, myśląc o czymś innym. Czego, u diaska, tak się boisz?

– Boję się, bo mało czasu już nam zostało do dnia, kiedy splajtuję nasza cukiernia, a my razem z nią – powiedziała Violetta, lecz to nie była prawda.

– Wiem, że z moją pamięcią coraz gorzej, ale jestem pewna, że kiedyś miałaś większe poczucie humoru – odparła Luciana.

– A ty mierzyłaś metr osiemdziesiąt – odszczeknęła się siostra.

– Cóż, gdybym mierzyła teraz metr osiemdziesiąt, wzięłabym cię i wyrzuciła przez okno.

– A ja potoczyłabym się w dół wzgórza i zatrzymałabym się dopiero, kiedy znalazłabym się nad morzem, gdzie otworzyłabym nową *pasticcierię*, konkurującą z twoją, i zgniotłabym cię jak karalucha.

– Metr osiemdziesiąt, nieźle jak na karalucha. Życzę ci powodzenia, Violetto!

Sprzeczały się jeszcze przez dwie godziny, gdy piekły ciasto, uformowane przez Lily, i zrzedząc, zrobiły kolejną porcję ciasteczek, gorszych, choć zajęło im to dużo więcej czasu.

Wtedy w oknie pojawiła się głowa wdowy Ciacci.

– Chcę zameldować coś nowego – zapiszczała. – Nie trzeba zwotywać zebrania, bo to tylko aktualizacja.

– Gadaj – warknęła Violetta.

– Znowu spaliłyście *cantucci*, tak? – spytała radośnie Ciacci.

– Szczerze mówiąc, wszystkie straciłyśmy już zęby trzonowe, więc możecie spróbować swoich sił w robieniu pianek żelowych.

– Powiedziałam: gadaj, co wiesz!

– No więc właśnie byłam w banku, żeby... Och! – Zniknęła z okna.

– *Allora!* No nie, znowu – usłyszały jej głos, dobiegający z ulicy w dole. Nie ulegało wątpliwości, że krzeselko wdowy Ciacci pamiętało lepsze czasy.

Luciana wysunęła głowę przez okno, ale miała zbyt sztywny kark, żeby spojrzeć w dół.

– Nic mi nie jest – zawołała wdowa, gdy po jakimś czasie znów się pojawiła. – Należało mi się za to, że używam mąki z wodą, zamiast pójść do *alimentare* po klej. No więc, jak mówiłam, musiałam pójść do banku, żeby podjąć pieniądze, bo straciłam trzydzieści euro, grając w *pachesi* ze szwagierką. Jest prawdziwą mistrzynią, słowo daję, że mogłaby zbić majątek w bocznych uliczkach Palermo. Ale mniejsza o to. No więc kiedy spotkała się ze mną, żeby odebrać pieniądze... O ile mi wiadomo, pierwszy raz przydarzyło jej się przyjść punktualnie... Powiedziała mi, że wyrwała się na chwilę z pracy w salonie przy Via Ricci, gdzie „ładna blondynka Amerykanka”, czyli *amore* naszego *calzino*, przyszła sobie zrobić odrosty. Pomyślcie tylko! Odrosty! Wiecie, co toaczy?

– W salonie przy Via Ricci?

– Że nie jest naturalną blondynką! – triumfalnie oświadczyła wdowa Ciacci.

– Nie sądzę, by którakolwiek kobieta była naturalną blondynką – zauważyła Luciana.

– Powiedziałaś: w salonie przy Via Ricci? – upewniła się Violetta.

– Tak, tak, przy Via Ricci.

Violetta zwróciła się do siostry.

– Nie powiedziałaś jej, żeby przekazała wdowie Ercolani, by poleciła jej wszystkie salony poza tym przy Via Ricci?

Luciana zastanowiła się.

– Chyba powiedziałam, chociaż nie raczyłaś mi wytłumaczyć, dlaczego. Czy na pewno powiedziałam?

– Tak, tak, powiedziałaś – zapewniła ją wdowa Ciacci – ale wcale nie poszła do informacji turystycznej. Wdowa Pacini widziała, jak ruszyła na skróty górą. Sama znalazła salon przy Via Ricci, ale na twoim miejscu, Violetto, nie przejmowałabym się tym tak bardzo. Zdaniem mojej szwagierki Eugenia Barbarini może ma kłopoty, ale jest bardzo dobrą fryzjerką, o ile pamięta, by łykać swoje pigułki. A może wtedy, kiedy ich nie łyka?

– Eugenia Barbarini – powtórzyła Violetta.

– Tak, Eugenia Barbarini. No wiesz, rozpustna córka nieżyjącej wariatki Marii, siostra szalonej Carlotty, matka dziwnej dziewczynki, która wczoraj była w waszym sklepie.

– Wiem, kim jest – mruknęła Violetta, w głowie aż jej szumiało, kiedy krzesło drugi raz zawiodło wdowę Ciacci. *Allora!* – usłyszały znowu, a potem Violetta wychyliła głowę przez okno.

– Każ wszystkim wdowom wyruszyć na miasto. Kiedy znajdziecie Lily, starajcie się ją zatrzymać. Nie pytaj dlaczego, tylko zrób to, co powiedziałam. I każ wdowie Del Grasso pójść prosto do Poli-ziano. I niech tym razem najpierw skorzysta z toalety. Jeśli pojawi się Lily i wypije więcej niż dwa kieliszki wina, chcę o tym wiedzieć.

– Po czym zamknęła okno i zaciągnęła zasłonkę.

– Co tu się dzieje, do licha? – dopytywała się Luciana. – Wyglądasz, jakby ten sam woźnica zawrócił furmankę i drugi raz cię przejechał.

Lily czuła, że bez względu na to, co miała nadzieję osiągnąć, przyjeżdżając do Toskanii, była bardzo daleko od zamierzonego celu.

W ciągu dwudziestu czterech godzin rozmawiało z nią tiramisù, zbeształ ją GPS, skorzystała z pomocy nieznanego sobie mężczyzny i niewiele brakowało, a zostałaby pozbawiona swojej największej ozdoby przez stukniętą matkę nieślubnych dzieci Daniela.

Prawdę mówiąc, pomyślała po półgodzinie błędzenia w bocznych alejkach między salonem Eugeniej a *pasticcierią*, czuła się daleko od osiągnięcia czegokolwiek.

Ale kiedy znów znalazła się na Corso, okazało się, że trafiła na znane sobie miejsce, tuż obok małej *gelaterii*, którą widziała wczoraj, kiedy Carlotta wybiegła na ulicę po tym, jak ją wyrzuciono z pracy.

Ten sam przystojny mężczyzna stał w drzwiach i obdarzył ją ślicznym uśmiechem.

– *Signora*, da się pani skusić na *gelato*?

Był niski, niższy od niej, ale miał zachwycające, duże, brązowe oczy. Włosi naprawdę wiedzieli, jak wykorzystywać ten niezwykle uwodzicielski element swojej anatomii. Jeśli oczy Alessandra można porównać do głębokich jezior smutku, w których człowiek miał ochotę zanurkować, oczy lodziarza przypominały bulgoczące jacuzzi: kusilo, wprost tryskało energią.

– Przykro mi, nie jestem miłośniczką *gelato*. – Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie! – Uniósł ręce, udając przerażenie. – Chyba nie ma człowieka, który z czystym sumieniem może o sobie powiedzieć, że nie

jest miłośnikiem *gelato*. Jak widać nie próbowała pani moich *gelato*. Zapraszam na degustację. Proszę spróbować chociaż ociupinkę.

Pokręciła głową, ale nim udało jej się uciec, podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

– Mario Cappelli – przedstawił się, gdy uściśniła mu dłoń. – Zapraszam do środka na lody na koszt firmy. Nie będę mógł spać spokojnie, wiedząc, że w Montevedovie pewna piękna kobieta nie jest miłośniczką lodów.

Z bliska wyglądał apetycznie. Skórę miał koloru lekko przypalonego karmelu, a oczy tak czekoladowobrązowe, że aż zgłodniała na ich widok. Nie wzgardziłabym również kieliszkiem wina, pomyślała, kiedy pozwoliła mu się podprowadzić do przeszklonej lady chłodniczej, w której połyskiwały jego *gelati*.

Było kilkanaście rodzajów, ale jej uwagę zwróciły potrójnie czekoladowe.

Jeszcze lepsze byłyby trzy kieliszki wina, powiedziała sobie Lily w duchu, patrząc na czekoladowe lody.

– Jeśli ma pani ochotę na *cioccolata*, dokonała pani właściwego wyboru. To moje ulubione: czekoladowe *gelato* z kawałkami czekolady i czekoladowym *crema*. Moja babka i ja produkujemy je na miejscu, *fatto a mano*. Najlepsze w całym mieście, a może nawet w całej Toskanii.

Nie powinno się, pomyślała Lily, patrzeć na *triplicare di cioccolata*, a pragnąć zamiast nich wina. Nie powinno się w ogóle mieć ochoty na wino po takim skompromitowaniu się w Pienzie. Wspomnienie tego, co tam się wydarzyło, wciąż przyprawiało ją o dreszcze i przywoływało widok matki śpiącej przy stole, kiedy Lily i Rose w milczeniu przeżuwały przypalony makaron z serem.

– No cóż, chyba reflektuję na potrójne czekoladowe – zdecydowała niespodziewanie. Minęły lata, odkąd ostatni raz jadła lody, ale ponieważ nie było żadnego szczególnego miejsca, dokąd chciałyby pójść, tylko takie, gdzie zdecydowanie nie chciała być, a to nie było jednym z nich, to czemu nie ma zjeść lodów.

Usiadła przy stoliku pod oknem, a Mario nałożył wielką porcję smakowicie połyskujących *gelati* i postawił przed nią. Właśnie unosiła do ust pierwszą łyżeczkę, kiedy Francesca,

wciąż w swoich sfatygowanych skrzydłach, wsunęła główkę przez drzwi.

Lily aż szybciej zabiło serce – dziewczynka miała w sobie tyle z Daniela! Niesłychane. Nie tylko oczy, kości policzkowe, brodę; również pewną powściągliwość, wyjątkowo spotykaną u urodzanych osób, przeciwieństwo arogancji. Dzięki temu podobieństwo Franceski do jej ojca było jeszcze bardziej intrygujące.

Buzia dziewczynki rozpromieniła się, ale Lily nie dałaby sobie ręki uciąć, czy na widok jej, czy *gelato*.

– To za dużo dla jednej osoby – zwróciła się do Maria. – Ma pan drugą łyżkę?

Lily dała Francesce znak ręką i dziewczynka usiadła naprzeciwko, aż drząc z przejęcia.

– Dlaczego nie jesteś w domu? – spytała, kiedy trochę podjadły lodów.

– Mama wróciła z pracy. Potrzebowała spokoju.

– Gdzie Ernesto? – odezwał się Mario zza lady.

– U cioci Carlotty. Mam nadzieję, że na zawsze u niej zostanie.

– Nie lubisz braciszka? – zdziwiła się Lily.

– Czasami jest w porządku, ale na ogół woli być z Carlottą – odparła rzeczowo Francesca. – W domu mama płacze, on płacze, wszyscy płaczą i jest bardzo głośno.

– Przykro mi to słyszeć. – Lily spojrzała na Maria, który tylko wzruszył ramionami.

Poczuła, jak zimne *gelato* ciąży jej w żołądku. Przypuszczała, że Daniel ją zdradził, by wieść sielankowe życie, ale jak widać się myliła, i nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Wyobrażała go sobie tutaj w gniazdku miłosnym, z wielbiącą go kochanką w obcisłych, portfelowych sukienkach, wiecznie uśmiechniętą, przygotowującą dla niego posiłki, troskliwą opiekunką jego dzieci. Tymczasem Daniel gdzieś zniknął, kochanka była wrakiem człowieka, jedno dziecko podrzucone ciotce, a drugie wyrzucone z domu wałęsało się po ulicach. Na szczęście tylko one dwie się wałęsały.

– Co pani robi w Ameryce? – zapytała Francesca.

– Jestem wicedyrektorem do spraw logistyki w dużej firmie w Nowym Jorku – wyjaśniła Lily, ucieszona pytaniem. – To znaczy,

że odpowiadam za transport wszystkich pozycji katalogowych z fabryki na Wschodnim Wybrzeżu do każdego miejsca w Stanach Zjednoczonych. Miesięcznie przewozimy ponad osiemnaście milionów sztuk, więc to bardzo ważne, żeby wszystko na czas dotarło na miejsce przeznaczenia, by nasi klienci mogli to kupić, a my – wykonać plan sprzedaży. I właśnie ja za to odpowiadam.

– Och. – Francesca oblizwała łyżkę. – Co to jest „pozycja katalogowa”?

– Pozycja katalogowa to jeden z naszych produktów. W asortymencie jest ponad sto osiemdziesiąt pięć różnych produktów, wszystkie mają swój kod, są pakowane i wysyłane oddzielnie.

– Ale co to takiego?

– To pojedyncza pozycja. Pojedynczy wyrób nazywamy w języku angielskim pozycją katalogową. Gdybyśmy produkowali łyżki jak ta, którą trzymasz, nie nazywalibyśmy jej „łyżką” na żadnym spotkaniu poświęconym produktom, tylko pozycją katalogową.

– *Allora*, angielski jest skomplikowany – stwierdziła dziewczynka. – Nie rozumiem. *Copito*, Mario? *Non me copito*.

– Chyba chce wiedzieć, dlaczego nie mówicie na nie po prostu „łyżka” – domyślił się Mario.

– Nie najlepiej to wytłumaczyłam, prawda? Właściwie nie produkujemy łyżek, więc tylko ci bardziej namieszałam w głowie.

– A co produkujecie? Właśnie o to pytam.

– Cóż, produkujemy wiele rzeczy, ale wszystko to w zasadzie pewien rodzaj gotowych mieszanek albo półproduktów spożywczych – wyjaśniła Lily, tracąc wiarę w siebie jako specjalistkę w firmie Heigelmann, bo okazało się, że w tej rozmowie zawiódł jej profesjonalizm.

Francesca gapiała się na nią przez chwilę, a potem zwróciła się do Maria.

– Czy mówi jakimś innym językiem?

Pokręcił głową.

– Nie sądzę, ale też nie wiem, o czym mówi – przyznał. – Co to znaczy „spożywczy”?

– Podejrzewam, że to jednak inny język – odparła Lily. – Spożywczy to taki, który można jeść.

– Och! Co to jest gotowa mieszanka? – dociekała Francesca.

– Gotowa mieszanka powstaje wtedy, kiedy większość pracy wykonaliśmy w fabryce i jedyne, co pozostaje do zrobienia w domu, to wyjąć to z pudełka czy kartonu i postępować zgodnie z instrukcją na opakowaniu. Więc jeśli chcesz na przykład upiec ciasto, kupujesz opakowanie naszej gotowej mieszanki zamiast kupować wszystkie składniki osobno: mąkę, cukier i... – Przypomniała sobie, na jakie katusze skazywała się Violetta, by robić swoje *cantucci*, i pomyślała, że gotowe mieszanki do wypieku chyba nie są zbyt popularne we Włoszech. – Możesz kupić gotowe i zamrożone wasze *biscotti*, wasze ciasto na *cantucci*, a w domu wystarczy jedynie pokroić je, jeszcze raz upiec i otrzymasz *cantucci*.

– Robisz *cantucci* w Ameryce? – Francesca coś niecoś zdawała się zrozumieć. – Tak jak u Violetty?

– Nie robię *cantucci* u Violetty, skarbie. Tylko tam się zatrzymałam. Poza tym w Ameryce mówimy na nie „kruche ciasteczka” i są ich różne rodzaje, na przykład z kawałeczkami czekolady albo z masłem orzechowym albo cytrynowo-żurawinowe. Te ostatnie to nowość. Ale tam też sama ich nie robię.

– Przecież na tym polega twoja praca!

– Nie, nie, pracuję w biurze, wszystko organizuję i planuję, chodzę na spotkania; prawdopodobnie to nic takiego, co mogłoby zainteresować taką małą dziewczynkę jak ty.

– Ale ja chciałabym robić kruche ciasteczka z tobą, Lillian. To by było bardzo ciekawe! Zrobimy? W kuchni sióstr Ferretti? Zrobimy?

Lily się roześmiała.

– Nie, skarbie. Nie mam ze sobą żadnej mieszanki do wyrobu ciasteczek, a nawet, gdybym miała...

Poczuła, jak te małe drzwiczki w jej głowie znów się otworzyły i zaraz zatrasnęły. Co się za nimi kryło?

– Ale zanim otrzymacie te gotowe mieszanki do wypieku, musicie je wyprodukować ze zwykłych składników, no nie? – zainteresował się Mario. – Z mąki, cukru... Wszystkich tradycyjnych produktów? – Lily pomyślała, że patrzy na nią trochę krzywo, co może nie było niczym zaskakującym, skoro wszystko tutaj było *fatto a mano*. Ale

gdzie indziej, no cóż, wyglądało to inaczej, między innymi za sprawą agresywnej promocji wyrobów Heigelmana. Mieszanki są tańsze i oszczędzają czas, a statystyki mówią, że to, co tańsze i oszczędza czas, zawsze wygrywa.

Francesca stała teraz obok Lily, skrzydła wróżki drżały lekko, kiedy mówiła:

– Proszę, proszę, Lillian Watson, mogłybyśmy razem zrobić amerykańskie kruche ciasteczka?

– Nie wiem, jak się je robi – przyznała się. – Zwyczajnie nie wiem jak.

– Nigdy ich nie robiłaś, kiedy byłaś taką małą dziewczynką jak ja?

Lily spojrzała na nią i pomyślała, że może Francesca ma rysy Daniela, ale pragnie tego samego, czego pragnęła Lily jako dziecko: miłości, uwagi, żeby wszystko było normalnie.

Matka Franceski zamknęła się w domu i łkała prochy, oplakując skazany na niepowodzenie romans z niewłaściwym mężczyzną. Czy Lily nie zaznała tego samego? Matka biła ją i Rose, przeklinała, płakała... Znowu dało o sobie znać tamto niespodziewanie przyjemne uczucie, to samo co wtedy, kiedy poczuła zapach pieczonego ciasta z kuchni siostr Ferretti.

Promyk światła zamigotał przez drzwi w jej pamięci. Czy mogło to być...?

– Tak, może je robiłam, kiedy byłam taką małą dziewczynką, jak ty – przemówiła łagodnie, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie pogłodzić gładkiej, oliwkowej skóry na policzku Franceski. – Kruche ciasteczka z płatków owsianych. Ulubione ciasteczka mojej siostry.

– Chciałam mieć siostrzyczkę. Ale urodził się Ernesto.

– Cóż, jestem pewna, że i tak go pokochasz, tak jak ja kocham moją siostrę. – Lily jeszcze nigdy nie czuła się większym tchórzem i kłamczuchą.

– Może twoja siostra wie, jak się robi ciasteczka owsiane? Mogłaby nam pokazać.

– Nie mieszka tutaj, skarbie, tylko w Ameryce.

– Przecież możesz do niej zadzwonić. – Francesca nie poddawała się. – Wysłać jej mejla albo SMS-a.

– Mogę – powiedziała cicho Lily. W dzisiejszych czasach bardzo łatwo jest skontaktować się z ludźmi. Wystarczy tylko chcieć.

– No więc? Zrobisz to? Zapytasz ją? Prooszę! Możemy razem upiec ciasteczka? Bardzo ładnie proszę.

Robienie ciasteczek to ostatnia rzecz, na którą Lily miała ochotę, ale kobieta nie może spędzić połowy życia, marząc o dziecku, a kiedy jakieś dziecko tak ładnie ją prosi, odmówić mu.

– Wiesz co? Pewnie, że możemy. Postaram się o przepis, a potem razem, ja i ty, upieczemy ciasteczka owsiane.

Uśmiech na buzi Franceski wart był tyle, ile cały bałagan, jaki kiedykolwiek mogłaby zrobić w kuchni siostr Ferretti – i może nawet średni pożar, ale pod kontrolą.

Gorzej, że może wywołać pożar, nad którym nie zapanuje, jeśli za bardzo zbliży się do matki i ciotki Franceski.

– Chcesz, żebym zapytała kogoś, czy możesz ze mną pójść?

– Ja mogę to zrobić – zaoferował się Mario ku wielkiej uldze Lily.
– Spytam Carlottę. Jestem pewien, że ucieszy się z pomocy przy opiece nad dziećmi. Kiedy mogłaby pani ją zabrać?

– Powiedzmy jutro o jedenastej, chyba że poinformuję pana o jakiejś zmianie. Carlocie nie będzie przeszkadzać, że mnie nie zna, że jestem cudzoziemką?

– Nie jest pani najdziwniejszą cudzoziemką, jakie zatrzymywały się w *pasticcerii, signora*. I jest pani dobra dla niej. – Wskazał na Francescę. – To wystarczy Carlocie.

Podkochuje się w ciotce Franceski, pomyślała Lily, starając się nie pęknać z dumy, i uznał, iż jest „dobra” dla tej dziewczynki, która niemal mogła być jej, ale nigdy nie będzie.

– Upiekę kruche ciasteczka! – zawołała Francesca. – Amerykańskie ciasteczka owsiane! – Tanecznym krokiem wybiegła na ulicę.

W miarę jak zbliżało się kolejne spotkanie Tajnej Ligi Owdowiałych Cerowaczek, Violetta coraz wyraźniej czuła, jak traci pewność siebie, i wolała nie patrzeć na kostki u nóg spuchnięte niczym wałeczki w pończochach.

Od dziesięcioleci liga zapewniała jej cel w życiu; wszystkie te złamane serca, wyleczone i wysłane w dalszą drogę. Tyle nadziei! Tyle szczęścia! A teraz spektakularna porażka z Alessandrem rzuci ją na kolana – a te strzykają i kłękoczą jak bezużyteczne rzepki.

Lily nie jest odpowiednią kobietą dla Alessandra, to jasne jak słońce. Violetta powinna była się przyznać, że nie czuje najmniejszego laskotania w nosie, kiedy Lucianę rozboleł palec u nogi. Powinna przyznać, że nie roznosi się nigdzie zapach kwiatu pomarańczy.

Potem Alessandro porozmawiałby z Lily na poboczu, a one nawet nie kiwnęłyby palcem i ta biedaczka mogłaby spokojnie odszukać swojego męża, który ją zdradził, i jakoś uporać się z kłopotami.

Zamiast tego Violetta przez swoją głupią dumę zaczęła popychać Lily w ramiona ulubieńca wdów, które – kiedy się o wszystkim dowiedzą – żywcem obedrą Violetkę ze skóry i będą drzeć z niej pasy, bo uznają, że sama znów złamała serce Alessandra.

– Masz minę ryby, której nie kupiono w dzień targowy – powiedziała Luciana, kiedy podeszły do tajemnej półki i razem ją odsunęły.

– Możesz się zamknąć i zostawić mnie w spokoju! – wybuchnęła Violetta. – Tyle mam w tej chwili na głowie! Alessandro, *cantucci*, twoje kości, moje piersi, uszy i oczy wszystkich, święta Anna di Chisa wie, co jeszcze! Jesteście szczęśliwe, zostawiając wszystko

mnie, kiedy jest jakiś kłopot, mogę liczyć wyłącznie na siebie. Mam tego dość. Serdecznie dość.

Akurat kiedy skończyła mówić, półka się przesunęła i Violetta weszła na ciemne schody, trzęsąc się ze złości i strachu.

Luciana, zaskoczona wybuchem siostry, wolno ruszyła za nią, więc Violetta złapała ją za rękaw i pociągnęła, ale przekraczając próg, Luciana się potknęła, noga jej się podwinęła na wąskim górnym stopniu, miała za mało siły w ręku, by przytrzymać się śliskiej poręczy albo ściany.

Na oczach Violetty zleciała niczym worek kartofli na podest sześć stopni niżej.

– Nie, nie, nie! – krzyknęła Violetta, złażąc za nią najszybciej, jak mogła. – Och nie, nie, nie!

Luciana leżała nieruchomo. Wydawała się taka mała. Niknęły obie, ale Violetta nie była jeszcze gotowa na to, by całkowicie zniknąć, a jeszcze mniej była przygotowana na zniknięcie Luciany.

Pochyliła się nad podestem, aż jej zaskrzypiały kości, usiadła obok bezwładnej siostry i drżącymi palcami odwróciła jej głowę. Luciana miała zamknięte oczy, nieruchomą twarz. Niemożliwością było stwierdzić, czy oddycha.

– Proszę nie umieraj, Lulu – błagała, głaszcząc cienką jak pergamin skórę na jej twarzy. – Proszę, nie zostawiaj mnie samej. Bez ciebie sobie nie poradzę. Zwyczajnie sobie nie poradzę.

Siostra leżała bez ruchu, klatka piersiowa nie wznosiła się ani nic opadała, pomarszczone powieki ani drgnęły.

– Jesteśmy nierozłączne, Lulu. – Violetta ujęła ciepłą, bezwładną dłoń Luciany. – Zawsze tak było. I wytrzymałyśmy gorsze rzeczy w życiu, moja kochana siostrzyczko. Dużo gorsze. Przeżyłyśmy śmierć naszych ukochanych. A wcześniej to, że pomyliłam naszych ukochanych, co pozwoliłaś mi naprawić i co mi wybaczyłaś tyle już lat temu. Tyle lat temu! Uznałyśmy, że trzymanie się razem jest ważniejsze niż cokolwiek, i przepraszam za *cantucci*. Przepraszam za mój upór. Przepraszam, że ciebie nie słuchałam. Ale boję się i tyle. Boję się tego, co się ze mną dzieje, co tracę, przemijania życia, które zdaje się ulatywać ze mnie z każdym oddechem. Boję się, że stanę się niepotrzebna, nieprzydatna, boję się śmierci. Ale

najbardziej ze wszystkiego boję się utraty ciebie, Lulu. Więc proszę, proszę, proszę ocknij się. Proszę.

I Luciana, która nawet kiedy była nieprzytomna, właściwie pragnęła jedynie sprawiać przyjemność starszej siostrze, posłusznie otworzyła oczy.

- Potrzebna nam pomoc, Violetto - wychrypiała. - Potrzebna nam pomoc.

Mimo tego, ile wstydu najadła się ostatnio w Pienzie, i mimo ogromnej porcji potrójnie czekoladowych *gelato*, siła przyciągania Poliziano okazała się zbyt wielka, by się jej oprzeć. Lily weszła do prawie pustej kawiarni i unikając romantycznego stolika na balkonie, zamówiła kieliszek prosecco.

Daniel, Eugenia, Francesca, Rose – wszyscy, którzy tak jej skomplikowali życie – siedzieli razem z nią niczym duchy, plecami do zielonej, żyznej doliny, ciągnącej się za nimi.

Tak szybko wypiła wino, że prawie nie poczuła smaku. Pieczenie kruchych ciasteczek? Jak się od tego wykręci? Zamrugwała, odganiając swoich niewidzialnych, nieproszonych gości, i rozejrzała się wokół.

Kawiarnia była prawie pusta, jeśli nie liczyć dwójki turystów w drugim końcu sali, oglądali zdjęcia w aparacie, oraz niespokojnej staruszki przy sąsiednim stoliku.

– Jeszcze jedno prosecco, *per favore* – poprosiła Lily, kiedy podeszła kelnerka, by nalać wody do szklanki. Ale wróciła nie z winem, tylko... ze szklanym talerzykiem, na którym było tiramisu.

Lily aż się cofnęła.

– Nie, nie, nie, to nie dla mnie. – Wskazała starszą panią, siedzącą dalej. – To musi być dla niej.

Kelnerka się zmieszala, a potem powiedziała coś szybko po włosku do staruszki.

– Mówi, że może pani zjeść, jeśli ma pani ochotę – oświadczyła, ale Lily już się zerwała i szła w stronę drzwi.

– Nie, dziękuję – bąknęła i nie czekając na rachunek, rzuciła pieniądze na ladę koło kasy. – Nic więcej mi nie trzeba.

Niepotrzebny jej był kolejny incydent z tiramisu, więc z ulgą pchnęła drzwi *pasticcieri* i przystanąła na chwilę w cichym, mrocznym, chłodnym, słodko pachnącym pomieszczeniu.

Znajome misy starych, milczących *cantucci* stały na swoich tronach, chłonęły światło, wpadające przez okno.

– Iiiioooch – powiedziała duża, niebieska misa naprzeciwko niej. – Iiiiiioooch.

Lily aż podskoczyła, serce zaczęło jej walić. Wypiła tylko jeden kieliszek wina. Jak to możliwe, żeby znów ją to spotkało?

– Iiiioooch – znów usłyszała. I znów. I znów. I nic poza tym. Żadnego upominania, niczego, co przypominałoby pouczenia życiowe, tylko to wołanie z daleka. Podeszła krok bliżej do misy. Nawoływanie trwało, ale nie wydobywało się z samej misy z *cantucci*, tylko zza kontuaru.

Ostrożnie podeszła bliżej i zajrzała za kontuar. Nic nie zobaczyła.

– Iiiiiioooch – znów usłyszała, ale teraz, kiedy była bliżej, uświadomiła sobie, że dobiegło jakby z zakurzonych półek na ścianie w głębi.

Wślizgnęła się za ladę i przyjrzała im się uważniej.

– Iiiiiioooch! Iiiiiioooch! – dobiegło zza zakurzonych półek.

To nie mogły być omamy ani zwidy. Wypiła tylko jeden kieliszek. Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie odgłosów. Przywidzenie! Na pewno nie. To naprawdę się działo.

– Halo? – zawołała. – Halo!

– Lily! – Odniosła wrażenie, że to głos Violetty. Utknęła za półkami?

– Tak, to ja, Lily – krzyknęła do ściany. – Gdzie jesteś?

– Przesuń! Przesuń!

– Przesunąć? – Zastanawiała się, co to może znaczyć po angielsku. – Jak to?

– Przesuń! Przesuń półki. Wzdłuż.

Naparła ramieniem na zakurzone półki, które nie stawiając oporu, przesunęły się, ukazując malutkie, ciemne schody.

– Mówi pani po angielsku? – spytała Lily, kiedy jej wzrok przywykł do ciemności. – Przez cały ten czas rozumiała pani...

Violetta siedziała na podeście w dole, delikatnie poklepując coś, co przypominało stos łachmanów.

– Spadła ze schodów. Luciana spadła ze schodów.

– Wezwę pogotowie. – Lily odwróciła się.

– Nie! Musimy ją podnieść – oświadczyła Violetta. – I zanieść na górę. Położyć na łóżku.

– Naprawdę nie powinnyśmy jej ruszać. To może jej zaszkodzić.

– Nie chce karetki. Chce się położyć w swoim łóżku.

– Naprawdę uważam, że powinnam...

– Proszę! Pomóż mi – przerwała jej Violetta. – Podnieś ją.

Nie było sensu dalej się sprzeczać. Kiedy udała jej się niełatwa sztuka podniesienia staruszki w tym mikroskopijnym pomieszczeniu, zanieśenie jej do kuchni i ostrożne położenie na łóżku było całkiem łatwe.

– Waży tyle, co nic – powiedziała Lily. – Chyba teraz powinnam wezwać pogotowie.

– Ja się nią zaopiekuję – upierała się Violetta.

– To może okazać się niewystarczające. Potrzebna jej fachowa pomoc.

– Sama sobie poradzę! – krzyknęła ze złością Violetta, ale kiedy ujęła bezwładną dłoń Luciany i zaczęła ją masować, łzy potoczyły jej się po pomarszczonych policzkach. – Proszę, proszę, obudź się, Lulu – przemówiła po włosku. – Proszę, proszę, obudź się.

Lily nie musiała rozumieć słów Violetty, by się domyślić, co się wydarzyło. Położyła dłoń na chudym, drżącym ramieniu staruszki.

– Bardzo pani kocha swoją siostrę, Violetto – powiedziała łagodnie. – I wiem, że chce pani dla niej tego, co najlepsze, dlatego wezwę pogotowie.

Violetta otworzyła usta, żeby zaprotestować – karetki zawoziły pacjentów tylko do mikrofalówki i najczęściej była to podróż w jedną stronę – ale kiedy zaczęła mówić, poczuła, jak Luciana ścisną jej dłoń, najpierw słabo, ale później mocniej.

– Obiecałaś mi – zaskrzeczała, nie otwierając oczu. – Obiecałaś.

Violetta uniosła wzrok i skinęła głową, więc Lily pobiegła do hotelu Adesso, powiedziała recepcjonistce, co się stało, i upewniła się, że wezwano pogotowie.

Kiedy wróciła do kuchni, Violetta wciąż siedziała na brzegu łóżka, trzymając Lucianę za rękę, ale zapomniała o zasadach dobrego wychowania. Krzyczała na siostrę po włosku.

– Violetto, proszę! Biedaczka zaliczyła okropny upadek!

– Powinna patrzeć, gdzie idzie! Właśnie to jej mówię.

Luciana otworzyła oczy i powiedziała coś szeptem, na co jej siostra odpowiedziała ostrą reprimendą.

– Może dokończycie kłótnię po powrocie Luciany ze szpitala. Jest słaba. Doznała wstrząsu. Mogła odnieść poważne obrażenia. Nie pora na kłótnie.

Violetta zmrużyła oczy. Kiedy wróci ze szpitala? Ha!

– W naszym wieku może już nie być drugiej okazji – odparła łamiącym się głosem.

– Chyba jednak nie należy się kłócić teraz?

– Jeśli przestaniemy się kłócić, skąd będziemy wiedziały, co myśli druga? Kłócimy się prawie od stu lat i przyznaję, dużo przy tym hałasu, ale zawsze wszystko jest jasne. Ona wie, co ja czuję. Ja wiem, co ona czuje.

Pomieszczenie wypełnił rzadko tu słyszany warkot samochodu i po chwili weszło dwóch sanitariuszy. Pod zręczliwym nadzorem Violetty umieścili Lucianę na noszach i wynieśli na ulicę, która zdawała się być tylko centymetr szersza od karetki.

W rzeczywistości ambulans był tak mikroskopijny, że kiedy Violetta próbowała usiąść z tyłu, sanitariusze poinformowali ją, że jest za mało miejsca i niech lepiej na własną rękę przyjedzie do szpitala.

Staruszka nie przyjęła tego dobrze.

– Jestem pewna, że troskliwie się nią tam zajmą – powiedziała Lily, kiedy ambulans zjeżdżał w dół z niebezpieczną szybkością, jeśli uwzględnić, jak blisko stały domy po obu stronach uliczek.

– Ha! Troskliwa opieka? Nasz szpital nie z tego słynie. – Choć Violetta powiedziała to gniewnym tonem, jej pomarszczone policzki morke były od łez.

– Bez niej czuję się zagubiona – wyznała i z jej gardła wydobyło się łkanie, chociaż nieco przypominało odgłos łyżeczki spadającej w zsypie. – Czuję się zagubiona.

Lily ścisnęło się serce na te słowa.

Wzięła Violetkę za rękę i posadziła za kuchennym stołem, dała jej szklankę wody, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić, kiedy w oknie kuchni pojawiła się głowa sąsiadki, zapewne ciekawej, co się stało.

– Zabierze mnie, żebym mogła się zobaczyć z Lucianą – wyjaśniła Violetta Lily pod koniec rozmowy, jej twarz z każdym słowem stawała się mniejsza i bledsza.

Sąsiadka staruszka wyglądała na szczęśliwą, że może przejąć kontrolę, więc kiedy ktoś się zajął gospodynią, Lily poszła na górę i usiadła w oknie, upajając się urodą Toskanii; roztrząsała chaotyczne wydarzenia dnia i pozwalała, by furka w jej pamięci otworzyła się na tyle szeroko i na tak długo, żeby wreszcie mogła zobaczyć, co się za nią kryje.

31

Ingrid i Daniel wspinali się krętą Via Tornabuoni, zostawiając w dole rzekę.

Ogromnie ją poruszyła opowieść o tym, jakim koszmarem było dla niego oddanie dziecka, które niemal adoptowali, ale sam Daniel sprawiał wrażenie pogodzonego. Była pewna, że za tą smutną opowieścią kryje się coś jeszcze.

– Co się stało później? – spytała, kiedy zwolnili przed sklepem, by mogła przyjrzeć się wystawie. – Żona się w tobie odkochała, kiedy się pogodziła z tym, że nie będzie mieć dzieci?

– Zrezygnowała ze wszystkiego. Wydaje mi się, że także ze mnie.

– Wpadła w depresję?

– Nie, nie sędzę. Poświęciła się pracy. Jest wicedyrektorem w firmie Heigelmann. Zaczęła dużo ćwiczyć, mniej czasu spędzać w domu. Przypuszczam, że chciała ciągle być czymś zajęta, aż zaczęliśmy żyć każde swoim życiem. Nie żebyśmy się kłócili, nic z tych rzeczy. Po prostu przestaliśmy być ze sobą.

– Próbowaleś to zmienić?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– To skomplikowane.

– Cóż, może nie musi być takie. Kochasz ją?

– Ingrid, wciąż tak bardzo ją kocham, że rano ledwo mogę wstać z łóżka, kiedy sobie przypomnę, jak strasznie narozrabiałem.

Aha, pomyślała. Tu cię mam.

– Tak? A co się stało? – zagadnęła, znów zatrzymując się przed okazałą wystawą.

- Popelnilem blad.
- Cóz, nie ty pierwszy.
- Bład zaszedł w ciążę.
- Och.
- Mam w Montevedovie sześćioletnią córeczkę i dwuletniego synka.

Ingrid się zatrzymała i odwróciła w jego stronę zszokowana.

- Wiem, że masz ochotę mnie spoliczkować. Zasłużyłem sobie na to, ale prawdę mówiąc, nie poczułbym się gorzej, niż już się czuję. To nie tak, jak myślisz, ale dopuściłem się najgorszej zdrady, największego oszustwa, największej nikczemności. Wiem to. Uwierz mi, wiem.

Stali, przyglądając się sobie przez chwilę, a potem Ingrid podniosła rękę, ale nie, żeby go spoliczkować. Dotknęła zimną dłonią jego policzka. Był rozpalony, jakby go uderzyła. To chyba najsmutniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Kobieta w Montevedovie - powiedziała.

- To nic nie było... Chwila słabości.

- Dzieci utrudniają sprawę.

Skinął głową.

- To skomplikowane, ale nie mogę porzucić ich matki i z tego powodu nie mogę być szczęśliwy ze swoją żoną.

- Jesteś pewien?

- Mam wszystko, czego pragnie Lily, tylko mam to z inną kobietą, co sprawia, że Lily nie może mieć z tym nic wspólnego. Tysiące razy rozważałem różne scenariusze, ale nie wiem, co robić.

- Dłaczego nie może być tak jak do tej pory?

- Eugenia się na to nie zgadza. Postawiła ultimatum: w lewo albo w prawo. Chciałem z nią zerwać, ale kiedy na świecie pojawiła się Francesca... Eugenia jest słaba psychicznie. Potrzebuje wsparcia.

- Więc co robiłeś we Florencji? - spytała.

Nie miał nic do ukrycia.

- Uciekam - przyznał się.

- Teraz mogłabym cię spoliczkować - oświadczyła, nie zwracając uwagi na mijających ich przechodniów. - Ucieczka nic nie

rozwiąże. Myślę, że wiesz, co powinieneś zrobić. Potrzebny ci tylko ktoś, kto cię umocni w twoim przekonaniu.

Pomyślał wtedy, jacy szczęśliwi są jej trzej synowie, że mają taką matkę.

– Chodźmy – powiedziała. – Napijemy się i przygotujemy plan działania. Musisz wrócić i uporządkować swoje życie.

Na szczęście nikt nie okupował jedynej budki telefonicznej w Monteviedowie, bo Lily wystarczyłaby najmniejsza wymówka, by opuścić ją odwaga, ale kiedy już znalazła się w małej, brudnej kabinie, szybko wykręciła numer telefonu Rose i wstrzymawszy oddech, słuchała, jak dzwoni.

– Halo, mówi Harry – rozległ się młody głos na drugim końcu świata.

– Cześć, skarbie, tu ciocia Lily. – Nie mogła opanować drżenia głosu. – Co słychać?

– Wszystko w porządku. Umiem już czytać prawie tak szybko jak Jack, ale nie jestem jeszcze taki dobry w piłkę jak on.

– Nie martw się. Wszystko przyjdzie z czasem. Jesteś już takim dużym chłopcem! Zastałam mamę?

Usłyszała, jak aparat spada na podłogę, i Harry wydarł się, że dzwoni Lily, że powiedział jej, jak mu idzie czytanie i gra w piłkę.

Po chwili usłyszała Rose.

– Lily? To naprawdę ty?

– Tak, to ja. Jestem w Toskanii.

– Och, mój Boże. Nie mogę w to uwierzyć! Słyszę cię tak, jakbyś była tuż za rogiem. Al! Zabierz dzieci na dwór i nie wracaj, póki cię nie zawołam, rozmawiam przez telefon z Lily, która jest we Włoszech. Tak, we Włoszech! Co się stało? Znalazłaś Daniela? Jak tam jest? Jak się czujesz?

– Czuję się dobrze, ale nie znalazłam Daniela. Nie ma go tutaj.

– Nie ma go we Włoszech?

– Nie wiem, ale nie ma go tu, gdzie przypuszczałam, że będzie, gdzie zwykle bywał, gdzie teraz jestem.

– A ta zdzira?

– Jest tutaj, ale szczerze mówiąc, nie wygląda na zdzirę. To długa historia, wydaje mi się, że Daniel zostawił także ją.

– Żartujesz – wyrzuciła Rose jednym tchem. – Jesteś pewna?

– Tak. Nie! Właściwie nie wiem. Nie mam bladego pojęcia. Po prostu nie... Boże, Rose, nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy o Danielu. O moim Danielu. Co się stało? W jednej chwili byliśmy zwykłym, szczęśliwym małżeństwem, a w następnej jakbym znalazła się w środku okropnego snu, w którym wszystko dzieje się coraz gorzej, ale nie mogę się obudzić. Tkwią w tym po uszy. Jestem uwięziona.

– Och, skarbie, nawet sobie nie próbuję wyobrazić, co przechodzisz. – Prawdziwość tych słów powaliła Lily.

Nikt nie wiedział, przez co przechodziła. Nikt. Inni ludzie mogli doznać podobnej straty, ale inni ludzie to nie ona. Nie wiedzieli, jak na nią wpłynęła. Nie wiedzieli, jak trudno jej było dalej żyć. Czuli się bardzo zmęczona.

– Te maleństwa, Rose – szepnęła. Te śliczne dzieci, które straciła. Małe promyki nadziei i modlitwy, które niemal dały jej wszystko, o czym marzyła.

Dalsze życie? Świat, który sobie stworzyła, żeby przestać usychać z tęsknoty za straconymi dziećmi, rozsypał się w tej budce telefonicznej, a Lily razem z nim. Osunęła się na brudną podłogę.

– Tak mi przykro, Rose. – Szlochała. – To moja wina. Wszystko moja wina. Nie mogłam znieść, że jesteś taka szczęśliwa ze swoimi dziećmi, gdy mnie nie było dane mieć choćby jednego. Tak mi przykro, gdybym mogła cofnąć czas, naprawiłabym to. Bardzo mi ciebie brakuje. Naprawdę.

Ukrywszy twarz w dłoniach, przycisnęła słuchawkę do ucha, jakby to była sama Rose.

– Och, Lily. Proszę. Mnie też jest przykro. Wiesz, że sama mogłabym to naprawić, ale nic nie zrobiłam. To ty zawsze wszystko naprawiasz, więc zostawiłam to tobie, ale sama powinnam się

tym zająć, więc obie jesteśmy winne. Mam dzieci, ale przyznam się, że zazdrościłam ci twojego życia. Powiedziałam na dwór, Al, wszyscy! Zazdrościłam ci pięknych, niezaślinionych strojów, nóg bez żyłaków, zgrabnej figury, spokojnego snu, ciszy. Zdaje się, że człowiek nigdy nie ma tego, o czym marzył. I jeśli uwzględnić to, co czuję teraz do Ala, dałabym wszystko, żeby uciekł z kimś, tylko ja wcale bym go nie szukała. Przeprowadziłabym się, więc gdyby kiedyś postanowił wrócić, nie znalazłby mnie.

Lily pociągnęła nosem.

– Mam nadzieję, że żartujesz.

– Skarbie, czasem żarty to jedyne, co człowiekowi pozostaje. Nie martw się o nas, wszystko się między nami ułoży, kiedy tylko dzieci dorosną, dostaną stypendia, wyjadą na dobre uczelnie i nigdy nie wrócą. O ciebie się martwię.

– Jesteś mi potrzebna, Rose. Naprawdę. Bez Daniela nie ma niko-
go, kto się mną przejmuje.

– Ja się przejmuję, Lily, a wystarczy, jak jednej osobie na nas zależy. To wszystko, czego nam potrzeba – tylko jeden człowiek, który dla nas gotów jest wskoczyć w ogień.

– Myślałam, że on jest tą osobą!

– Wiem, skarbie. Wiem. I był nią, ale teraz nie jest. Teraz masz mnie.

– Ale ty jesteś tam, a ja jestem tutaj!

– To nie ma znaczenia. Przecież nie muszę ci wiązać sznurowadeł. Wystarczy, że trzymam za ciebie kciuki, gdziekolwiek jesteś; tak mi powiedziałaś, kiedy byłyśmy dziećmi i wyjeżdżałaś do liceum. Pamiętasz? Mogę ci pomóc stąd, Lily. Mogę ci pomóc skądkolwiek. Powiedz mi tylko, jaki masz plan?

– Nie mam żadnego planu – powiedziała z płaczem Lily.
– Najpierw myślałam, że może go odszukam i skłonię do powrotu do domu, potem pomyślałam, że wrócę do domu bez niego i albo wystąpię o rozwód, albo udam, że nic się nie wydarzyło. Ale potem spotkałam jego córkę; Rose, nie wiem, co robić. Nazywa się Francesca, ma prawie siedem lat i jest tak do niego podobna, że nie uwierzyłybyś. I jest cudowna, naprawdę cudowna, ale jej matka, zdzira, która właściwie nie jest zdzirą, jest kompletnie

załamana, i Daniel gdzieś się zapodział, więc... Och, wszystko jest do chrzanu.

– O, rety – szepnęła Rose. – Chętnie kopnęłabym go w tę jego wystrojoną w spodnie do gry w golfa dupę!

– Nie lubisz spodni do gry w golfa?

– Teraz nie! Nie lubię nic, co ma z nim związek. Musisz go nienawidzić. Musisz mieć ochotę złamać mu kark albo zdzielić go toporem.

– Nie mogę znaleźć Daniela. Nawet nie jestem pewna, czy go szukam. Wiem co nieco o toporach i może miałabym ochotę posłużyć się nim, gdybym go zobaczyła, ale zanim go znienawidzę, muszę wiedzieć, dlaczego mi to zrobił, dlaczego wszystko zniszczył i nadal niszczy. Jeśli wydaje ci się to dziwne, wiedz, że gdybyś zobaczyła Francescę, też nie chciałabyś zabić jej ojca. Jest taka mała... Utrata ojca odbiłaby się na jej psychice. To, że naszego tak zwanego ojca nie było w naszym życiu, odbiło się na nas.

– Lily, w naszym wypadku nie chodzi o ojca, lecz o matkę.

– Matka Franceski też jest wrakiem człowieka! I jeśli Daniel zostawił dzieci...

– Posłuchaj, Lily, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Może nie żyłyśmy jak księżniczki z bajki, ale ostatecznie wyszłyśmy na ludzi.

– Cóż, teraz można tak powiedzieć, ale wiesz, jak wtedy było okropnie, a Francesca jest taka... Nie potrafię tego wytłumaczyć, Rose. Jest akurat w wieku, kiedy może być każdym, kim zechce, ale może się też załamać.

– Wszystkie dzieci na świecie takie są, Lily. To wrażliwe istoty, które łatwo zniszczyć.

– Albo i nie, Rose. Albo i nie. Chyba przypomina mi ciebie i mnie. Prawdę mówiąc, ona jest powodem mojego telefonu. Chce, żebym ją nauczyła piec ciasteczka owsiane. – Serce jej się ścisnęło, a potem twarda gula podeszła do gardła. – Piekłyśmy je z mamą, prawda?

– Ciasteczka owsiane? Z mamą? Zgadza się!

– Chodzi o to, Rose, że coś mnie dręczy, majaczy mi się jakieś niewyraźne wspomnienie.

– I niewyraźne wspomnienie na ogół wystarcza w naszym wypadku, Lily. Ta kobieta była potworem. Szczególnie wobec ciebie. Potworem. Nie myśl o tym.

– Rose, miała fartuch. Jasnoniebieski, w małe żółte i fioletoworóżowe kwiatki, a wokół nich wiło się coś zielonego. Pamiętasz?

Zapanowało długie milczenie.

– Nie, nie pamiętam.

– Zanim tata odszedł na dobre, Rose, zanim zaczęła pić i nas bić...

– I kopać. Nie zapominaj o kopaniu.

Lily zamruwała, kiedy okruszki wspomnień zamajaczyły w jej głowie. Wirowały długo, nim zatrzymały się w jednym miejscu, by mogła je złapać. Zobaczyła grubiotkie nóżki Rose w bucikach zapinanych na paseczek, stojącej na kuchennym krześle. Obok zobaczyła podnózek.

– Przed tym wszystkim, Rose, miała jasnoniebieski fartuch w żółte i fioletoworóżowe kwiatki, i kupiła dla nas specjalne łyżki, i ty stałaś na krześle, a ja na niskim stołeczku, i razem z nią robiłyśmy kruche ciasteczka.

– Nie pamiętam.

Lily odsunęła wspomnienie lodu dzwoniącego w szklaneczce, odgłosu, jaki powstawał, kiedy ciepły dzin stykał się z zamrożonymi kostkami, dźwięku bransoletek matki, gdy raz za razem unosiła szklaneczkę do czerwonych ust.

– Przed tym wszystkim, Rose... – Zacisnęła powieki, czując ból, kiedy ciągnięto ją za włosy, widziała pręgi na nogach, siniaki na rękach. – Przed tym wszystkim robiłyśmy z nią kruche ciasteczka. Pamiętam to, i jak się śmiała i tańczyła w kuchni, jak nas całowała, Rose, i mówiła nam, jakie jesteśmy ładne. Ona też była śliczna. I szczęśliwa. Robiła lukier i pozwalała nam go jeść łyżkami z miski. I myślę, że nas wtedy kochała, Rose. Myślę, że naprawdę nas wtedy kochała.

– Mam bzika na punkcie lukru. – Rose płakała cichutko. – Zawsze miałam bzika na punkcie lukru. A ona musiała przynajmniej bardzo nas lubić. Nie piecze się ciasteczek z dziećmi, jeśli tych istotek się nie lubi. Wiem to. Robią okropny bałagan w kuchni.

Lily się roześmiała – był to niemożliwie lekki, nieskrępowany śmiech, który wydał jej się czymś całkowicie obcym.

– Wyszliśmy na ludzi, prawda?

– Wszystko będzie dobrze, Lily. – Rose pociągnęła nosem na drugim końcu świata. – Wszystko będzie dobrze.

Mała grupka przygnębionych wdów czekała w podziemiach kościoła, kiedy Fiorella dotarła tam pod koniec dnia.

– Właśnie minęłam Lily w budce telefonicznej na *piazza* – oznajmiła. – Nikt nie powinien jej śledzić?

– Luciana spadła ze schodów – zameldowała biała jak ściana Pacini. – Jest w mikrofalówce, a Violetta razem z nią.

– To już jej koniec – dodała Ercolani. – To już koniec ich obu.

– Co Lily robiła w budce telefonicznej? – zainteresowała się Benedicti. – Rozmawiała z Alessandrem?

– Mniejsza o to – powiedziała Pacini. – Teraz musimy myśleć o siostrach Ferretti. Jeśli nie wyrwą się z mikrofalówki, co się stanie z ligą? Violetta zawsze podejmowała najważniejsze decyzje. Bez niej... No cóż, aż strach pomyśleć.

– Przynajmniej już nikt nie będzie musiał jeść ich *cantucci*. – Fiorella odetchnęła. – Są naprawdę do niczego.

– Jak śmiesz! – Ciacci wyprostowała się na całą wysokość, a mierzyła z metr pięćdziesiąt, i wycelowała drżącym palcem w Fiorellę. – Jak śmiesz tu wpadać tanecznym krokiem i krytykować *cantucci* sióstr Ferretti. Jedli je papieże. Papieże! Są najlepsze w całej Toskanii i zawsze będą, a to, że je krytykujesz, kiedy biedna Luciana znalazła się w mikrofalówce i już może nigdy stamtąd nie wyjdzie, jest czymś odrażającym. Powinnaś się wstydzić. Biedna Violetta, jeśli Luciana odejdzie, z pewnością za nią podąży. Co wtedy zrobimy? Co zrobimy? – Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach; wdowa Mazzetti podeszła do niej, szurając nogami, i pogładziła ją po ramieniu, gniewnie patrząc na Fiorellę.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam, nie chciałam nikogo obrazić. – Fiorella poprawiając okulary, wciągnęła powietrze nosem.

– Rety, rzeczywiście pachnie tu stęchlizną – zmieniła temat.

– Tak, masz rację, czuć tu stęchlizną – zgodziła się jedna z wdów.

– Powinnyśmy kupić odświeżacz powietrza, różne preparaty sprzedaje ta dziewczyna z grubymi nogami i wąsami – powiedziała wdowa Ciacci. – Wiecie która. Ona, jej matka i babka nadal mają mężów i prowadzą ten malutki sklepik tuż obok, za którym szaleją Anglicy. Wszystko wyrabiają same.

– Moje panie, proszę! – zawołała Benedicti. – Wystarczy! Co z Alessandrem?

– Tak, wystarczy – przytaknęła Fiorella. – Lily nie rozmawiała z nim przez telefon.

– Skąd wiesz? – spytała wdowa Del Grasso.

– Znam angielski. Nauczyłam się w Internecie. Niemieckiego też.

– To z kim rozmawiała? – zaciekała się Benedicti.

– Ze swoją siostrą w Ameryce – zameldowała Fiorella. – Zdaje mi się, że trochę się pokłócili, chociaż ta siostra nie uciekła do Neapolu z jej mężem ani nic z tych rzeczy, ale zdaje się, że doszło do *rapprochement*. A propos, to po francusku. Znam *un peu* również ten język.

– Jest nieznośna – szepnęła wdowa Ercolani do wdowy Pacini.

– Słyszałam to – powiedziała Fiorella; właściwie zobaczyła je w ekranie od dawna niesprawnego telewizora, stojącego w siedzibie ligi.

Ercolani zasznurowała usta.

– A więc rozmawiała ze swoją siostrą w Ameryce – przypomniała Benedicti. – Co to ma wspólnego z Alessandrem?

Usłyszawszy, że Lily mówiła o zdradzającym ją mężu i jego córeczce Włoszce, Fiorella skojarzyła fakty dotyczące Lily i Alessandra, ale wiedziała, że teraz nie pora się nad tym rozwodzić.

– Rozmawiała o pieczeniu *cookies*. Tak Amerykanie nazywają *biscotti*. To po angielsku. Może zamierza pomóc siostrom Ferretti, kiedy nie czują się na siłach.

– Nie czują się na siłach? – powiedziała drwiąco wdowa Ercolani. – Raczej się ich pozbyto.

Fiorella nie potrafiła przemilczeć więcej niż jednej sprawy.

– Wiecie co, wszystkie macie błędne wyobrażenie o tym szpitalu. W zeszłym roku zoperowali mi tam staw biodrowy i spójrzcie tylko na mnie. – Przeszła tanecznym krokiem po sali, a na koniec zrobiła skomplikowane pas. – I powiem wam jeszcze coś. Wspañiale tam karmią. Trzy razy dziennie przynoszą posiłki do łóżka, a każdy jest *squisito*.

– Byłaś w szpitalu? – zdumiała się Ciacci. – I wyszłaś stamtąd?

– To jak czterogwiazdkowy hotel. Chciałam zostać dłużej, ale mnie wypisali.

– Nie słuchajcie jej – przestrzegła wdowa Ercolani. – Próbuje się pozbyć nas wszystkich.

– Cóż, wyobrażam sobie, że mogłabym się pozbyć ciebie – odpa-liła Fiorella – ale resztę nawet lubię.

Nim mogłoby się to przekształcić w awanturę, Benedicti stanęła na środku i uniosła ręce do góry.

– Mniejsza o to. W tej chwili jesteśmy myślami przy siostrach Ferretti i modlimy się za nie... Zmiłuj się nad nami, święta Anno di Chisa... Ale nie wolno nam zapomnieć o Alessandrze. Musimy jak najszybciej doprowadzić do ich ponownego spotkania. Po to tutaj jesteśmy. Tego chciałyby Violetta.

– Nie jestem tego taka pewna – sprzeciwiła się Fiorella, ale wdowa Mazzetti pokazała jej „zamknij się”, Ercolani zacisnęła duże dłonie w pięści, Ciacci zrobiła znak krzyża i znów ukryła twarz w dłoniach.

– Mogę wysłać Alessandra do miasteczka na parę godzin, powiedzmy jutro, koło południa – zadeklarowała wdowa Benedicti. – Poślę go do Alberta po jakiś nieistniejący likier do mojego *crostata*. Więc jeśli dwie z was pójdą za nim, a dwie za Lily, powinno nam się udać zagonić ich w jedno miejsce i niech los – i prawdziwa miłość – dokonają reszty.

Miała zadowoloną minę. Ostatecznie to nie takie trudne robić to, co robiła Violetta. Ale inne wdowy z powątpiewaniem spojrzwały na siebie.

Która z nich była w stanie długo kogoś śledzić w dzisiejszych czasach?

Zdaje się, że mąka owsiana, a dokładniej – płatki owsiane – nigdy nie dotarły do wzgórz Toskanii. Nikt w Montevedovie nie wiedział, o czym Lily mówi, ani nie potrafił znaleźć włoskiego słowa, by pomóc jej w poszukiwaniach, a okazała się nieskuteczna, jeśli chodzi o pokazanie na migi, co to jest owies. Zaczniemy od tego, że sama właściwie nie wiedziała, co to jest owies.

Jednak, mimo trudności, w pozbawionym wdzięku supermarkecie w centrum handlowym na obrzeżach sąsiedniego miasteczka udało jej się nabyć potrzebne miski, miarki i większość składników poza płatkami owsianymi.

Ale przynajmniej spotkała Angielkę, która powiedziała, że mieszka we Włoszech od prawie dwudziestu lat, ale nigdy nie natknęła się na nic, co by przypominało płatki owsiane.

– W takim razie czego użyć zamiast nich?

– Kiedy wejdiesz między wrony... – Angielka roześmiała się.

– Kiedyś jadałam na śniadanie płatki owsiane, a teraz jem słodkie bułki, jak wszyscy.

Lily rozmyślała nad tym, póki nie zobaczyła dziwacznej kolekcji przecenionych różności w podartym kartonie między tarkami do sera a rękawicami kuchennymi.

To prawda, że jestem między wronami, pomyślała, grzebiąc w kartonie, i znalazła coś, co sprawiło, że na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, jak na buzi Franceski. Zrobi włoskie ciasteczka z amerykańskim akcentem.

W cukierni nie było Violetty, bo pojechała do szpitala, ale Lily wiedziała, iż staruszka nie miałaby nic przeciwko temu, że skorzysta

z jej kuchni. Zajął się przygotowaniem składników i punktualnie o jedenastej usłyszała dzwonek nad drzwiami do *pasticcerii*.

Kiedy przeszła do sklepu, zobaczyła Carlottę z groźną miną. Trzymała za rączkę Francescę. Dziewczynka wciąż nosiła podarte skrzydła, ale była uczesana i miała na sobie inną sukieneczkę, trochę za dużą, ale przynajmniej czystą.

Lily się uśmiechnęła, chociaż była zdenerwowana – nie tym, że będzie coś piekła, chociaż nie brakowało powodów – ale że rozmyślnie zgodziła się na nawiązanie bliższej znajomości z siostrą kochanki Daniela.

– Cześć, moje słoneczko – powiedziała do Franceski i z wdziękiem nabytym podczas lat pracy w korporacji podziękowała Carlocie za przyprowadzenie dziewczynki.

Kobieta zagryzła usta, potem powiedziała coś do Franceski, która wzruszyła ramionami i spojrzała na Lily.

– Mówi, że wie, kim jesteś.

– Słucham? – Lily nie była pewna, czy to znaczy, że wie od Maria, iż zajmuje się produkcją mieszanek do wyrobu ciast, czy też w jakiś inny sposób dowiedziała się, że Lily jest żoną Daniela. – *Non copito?*

Carlotta znów coś powiedziała do dziewczynki, która ze zniecierpliwieniem przetłumaczyła:

– Wie, kim jesteś, moja mama jest bardzo chora i nie życzy sobie żadnych kłopotów.

Obie kobiety spojrzały sobie prosto w oczy i Lily doszła do wniosku, że to, co wzięła za przejaw agresji u Carlotty, mogło być w rzeczywistości czymś niegroźnym. Przecież przyprowadziła do niej Francescę.

– Powiedz jej, że ja też nie chcę żadnych kłopotów. Razem miło spędzimy czas i upieczemy ciasteczka, na pewno nie będziemy niepokoić twojej mamy.

Francesca powtórzyła, a Carlotta i Lily nie spuszczały z siebie wzroku.

Niepokoi się jedynie o swoją siostrę, pomyślała Lily. Robi, co może, żeby jej pomóc, nawet jeśli oznacza to zostawienie Franceski ze mną. Tak samo mogłaby to być Rose, walcząca o Lily. Groźna Carlotta wcale nie była groźna, tylko przerażona.

Lily się uśmiechnęła i na twarzach obu kobiet odmalowało się obopólne zrozumienie.

Carlotta się nachyliła, żeby powiedzieć coś Francesce i ją pocałować.

– Pyta, czy możesz mnie do niej odprowadzić, kiedy skończymy – powtórzyła dziewczynka, uwalniając się od jej uścisku, i razem z Lily przeszła pod ladą. – Pokażę ci drogę.

– A co z maleństwem? – spytała Lily Francescę, przypomniawszy sobie nagle te grube nóżki w pasiastych śpioszkach w domu z Eugenią. – Możesz ją zapytać, co z maleństwem?

– Nie jest wcale taki mały – odparła Francesca z chmurną miną. – Ma prawie trzy latka.

– Cóż, możesz ją zapytać tak czy inaczej – poprosiła Lily i dziewczynka spełniła jej prośbę, a po chwili przetłumaczyła odpowiedź ciotki, że Ernesto to nie jej sprawa.

– Nie moja sprawa? – Lily popatrzyła na Carlottę, której brązowe oczy pozostały smutne, gdy pokręciła głową i powtórzyła: „*Non è il suo interesse*”.

– Powinnaś się cieszyć – zauważyła rezolutnie Francesca. – Płaczę prawie tak dużo jak mama. I śmierdzi.

– Nie rozumiem – powiedziała Lily, ale Carlotta tylko powtórzyła to, co już wcześniej mówiła, a potem, odrzucając bujne włosy, wyszła na ulicę i ruszyła w górę Corso.

Lily przygotowała wszystko w kuchni tak jak jej poradziła Rose, żeby sobie ułatwić zadanie, gdyby straciła głowę albo coś poszło nie tak, czego się nawet spodziewała. Siostry Włoszki mogą wyciągać kolejne składniki ze spizarki i rzucać na stół, ale Lily nie zamierzała zachowywać się tak *alle naturale*.

Najpierw próbowała wymieszać mąkę z cukrem, posługując się małym, praktycznym urządzeniem elektrycznym, przypominającym różdżkę, ale sypkie składniki wylatywały z nowej miski w niepokojącym tempie, aż Francesca piszczała, a mąka obsypała ściany. Wymieszały je tradycyjnie, łyżką.

– Teraz dodamy *uova* – oznajmiła Lily, nadrabiając miną.

Pierwsza próba rozbicia jajka skończyła się fatalnie, większość skorupki trafiła do mąki z cukrem, a przynajmniej połowa jajka

wylądowała na stole. Za drugim razem poszło lepiej. Za trzecim zleciła to zadanie Francesce, która najpierw zaprotestowała, potem z ociąganiem i zachowując maksymalną ostrożność, postukała jajkiem o bok miski, ale i tak wszystko się rozpadło i rozlało na stole, grożąc, że ścieknie na podłogę. Francesca pacnęła w nie, żeby przestało sunąć ku krawędzi stołu, ale przy okazji strąciła na podłogę karton z jajkami. Osiem rozbiło się na kamiennej posadzce, a dziewięte upadło na but Lily i utworzyło jaskrawożółtą plamę.

Francesca odskoczyła od stołu, podnosząc rączki do góry, i Lily wybuchnęłyby śmiechem, ale natychmiast się zorientowała, że nie było w tym nic komicznego. W tych jasnozielonych oczach nie malowała się chęć do psot; Lily dostrzegła w nich coś zupełnie innego, coś, co doskonale pamiętała ze swojego dzieciństwa.

Dziewczynka patrzyła na nią z przerażeniem.

– Bardzo przepraszam – szepnęła bliska łez. – Nie chciałam. Bardzo przepraszam, Lillian.

Serce Lily ścisnęło się boleśnie.

W tamtej chwili zrozumiała coś doniosłego. Nie dotyczyło to jej ani Daniela czy ich małżeństwa, ani matki czy głęboko skrywanych lęków i pogrzebanych tajemnic Lily. Nie miało nic wspólnego z przeszłością jej czy czyjąkolwiek. Zrozumiała coś, co dotyczyło przyszłości – że przyszłość można zmienić, o ile tylko ktoś wie, że należy to zrobić. „Wystarczy, jeśli tylko jedna osoba gotowa jest za tobą skoczyć w ogień” – dopiero co powiedziała jej mądra, serdeczna, najdroższa siostra. Tylko jedna osoba.

– Och, te nieznośne *uova*. – Uśmiechnęła się do Franceski, biorąc jajko z drugiego kartonu. – Prawda, że je nienawidzisz, kiedy źle się zachowują? Zupełnie jakby robiły to specjalnie, bo wiedzą, że jesteśmy nowicjuszkami, ale my im pokazemy. O, tak. Pokażemy im, kto tu rządzi. Wiesz, że kiedyś umiałam żonglować?

– Żonglować?

– Tak. No wiesz, jak clown.

– W wielkich butach i z czerwonym nosem?

– Och, od czasu do czasu mam czerwony nos, ale na ogół robię to tak.

Wzięła trzy jajka i rzuciła jedno w powietrze, potem drugie i trzecie, ale zamiast je złapać drugą ręką, pozwoliła im upaść – pac, pac, pac – na podłogę.

– Proszę bardzo! I co wy na to, wredne jajka? Będę was łapać tylko wtedy, kiedy zechcę. Zapamiętajcie to sobie.

Francesca gapiała się na nią z niedowierzaniem.

– Chcesz spróbować? – Lily podała jej jajko. – Mamy ich dużo. A to naprawdę przyjemna zabawa.

Francesca ostrożnie wzięła jedno jajko, potem drugie i jednocześnie oba wyrzuciła w górę. Potem się cofnęła i ukryła buzię, piszcząc, gdy rozbryznęły się u jej stóp.

Jakieś dwa tuziny jajek później Lily odzyskała dawną koordynację oko-ręka, natomiast Francesca zrezygnowała z podrzucania jajek i starała się opanować sztukę delikatnego rozbijania ich o brzeg mniejszej miseczki i zgrabnego wydobywania zawartości ze skorupki.

Kuchnia wyglądała jak podczas festiwalu smażenia omletów, ale atmosfera panowała radosna.

– Wiesz co, wydaje mi się, że pokazałyśmy im, kto tu rządzi, co? – Lily się cofnęła, starając się zbyt nie okazywać dumy, kiedy Francesca zgrabnie wbiła jajko do miski.

Dziewczynka skinęła głową, nieśmiały uśmiech pojawił się na jej buzi.

Opanowawszy sztukę wybijania jajek, dodały do masy orzechy laskowe i uformowały z ciasta zgrabne, równe wałki, nieco grubsze od tych, jakie próbowały uzyskać siostry – ale był po temu powód, który stanie się oczywisty później, wyjaśniła Lily.

Kiedy ciasto wreszcie znalazło się w piecu, przystąpiły do uprzą-tania bałaganu.

Obie były pod stołem, zbierały kawałki skorupki i wycierały zaschnięte żółtka, kiedy Francesca, chroniona przez przyćmione światło i las drewnianych nóg, przerwała zamiatanie, szufelka upadła jej na podłogę.

Kłęczała nieruchomo, końce skrzydeł dotykały stołu.

– Nie robi tego specjalnie – powiedziała, nie unosząc wzroku.
– Zachowuje się tak tylko wtedy, kiedy jest smutna.

Lily waliło serce. To byłam ja, pomyślała. To byłam ja!

– Rozumiem – powiedziała łagodnie. – Twoja mama nie czuje się dobrze. Jest ci przykro. I chociaż na razie jeszcze nie wiem jak, ale postaram się ci pomóc. Dobrze?

Szufelka jeszcze przez moment się nie poruszała, a potem Francesca szybko skinęła główką i wróciła do zamiatania. Lily pragnęła przytulić ją i nigdy nie puścić. Widok przygarbionych pleców z doczepionymi brudnymi skrzydłami sprawił, że miała ochotę płakać. Mogłaby pomóc Francesce i zrobiłaby to, ale nie wszystkie krzywdy zdoła sama naprawić. Musi uważać, co obiecuje.

– Ładnie pachnie. – Francesca wygramoliła się spod stołu. Znów była sobą. – Chodź, Lillian, zobaczymy, co zrobiłyśmy.

Kiedy Lily wyjęła *cantucci* z pieca, ciasto wyglądało tak samo ładnie, jak pachniało: złotobrązowe, ani nie spalone, ani nie niedopieczone, ani niezapadnięte, ani nadmiernie wyrośnięte. Jednym słowem, udało się idealnie.

Kiedy placki wystygły, wzięła ostry nóż (widziała, jak to robi Luciana) i pokroiła je w cienkie plasterki, położyła płasko na drugiej blasze, a potem wyciągnęła foremkę do ciasta, którą wypatrzyła w sklepie w kartonie z artykułami przecenionymi.

Pod czujnym wzrokiem Franceski wcisnęła foremkę w pierwszy krążek, by powstało idealne serduszko.

Uniosła cisteczko w górę i promienny uśmiech na buzi dziewczynki sprawił, że Lily niemal przestała żałować, że ma złamane serce.

Francesca wzięła foremkę i wykroiła kilkanaście serduszek, cały czas się uśmiechając. Wsunęły ciasteczka do pieca.

– Co zrobimy z tym, co zostało po wykrojeniu serduszek? – spytała Francesca. Zbierała resztki na wpół upieczonego ciasta i ugniatała w kulę. – Też są smaczne, chociaż nie wyglądają ładnie.

– Nie martw się, coś wymyślimy. – Lily się uśmiechnęła i przystąpiły do wyrabiania drugiej porcji ciasta na *cantucci*, tym razem cytrynowego, a z braku żurawin z suszonymi wiśniami.

Kiedy ciasteczka orzechowe upiekły się drugi raz i ostygły, usiadły po obu stronach stołu Violetty, wzięły po jednym sercu i jednocześnie, policzywszy do trzech, ugryzły je.

– Francesco, naprawdę upiekłaś nieziemsko boskie ciasteczka – pochwaliła Lily.

– Tak. – Dziewczynka uśmiechnęła się od ucha do ucha, oczy jej błyszczały. – Nieziemsko boskie.

Luciana obudziła się po nocy spędzonej w szpitalu i stwierdziła, że nic się nie zmieniła, jeśli nie liczyć tego, że bardziej ją strzyka w kościach. Ale prawdę mówiąc, jakie ma to znaczenie w jej wieku?

Dzięki środkom przeciwbólowym, które dostała na zwichniętą nogę w kostce, od lat nie spała tak dobrze. Niewątpliwie przyczyniło się też do tego lekkie wstrząśnienie mózgu, więc była w doskonałym nastroju i pierwszy raz w tym roku miała rumieńce na twarzy.

Natomiast Violetta wyglądała jakby dopiero co ją odgrzebali z ruin Pompejów. Nie przebrała się ani nie zmrużyła oka, odkąd Luciana spadła ze schodów.

– Chyba powinnyśmy się zamienić miejscami – powiedziała Luciana, kiedy zobaczyła siostrę zgarbioną na niewygodnym krześle dla odwiedzających. Przypominała stos używanych płaszczy.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła Violetta.

– Coś mi amputowano? – Luciana z niepokojem macała ręce, nogi i nos.

– Nie, nie pozwoliłam się im do ciebie zbliżyć. Chodzi nie o ciebie, tylko o mnie. I o ligę. I ostatnią akcję swatania.

– Nie miałabym nic przeciwko, żeby wycięli mi śledzionę, można żyć bez śledziony – stwierdziła Luciana. – Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek korzystała ze swojej śledziony.

– Nie chodzi o śledzionę! Posłuchaj mnie, Luciano. Nie mam żadnych przeczuc co do Lily i Alessandra. Nie czułam zapachu kwiatu pomarańczy, nie swędział mnie nos, w ogóle nie czułam nic szczególnego. Straciłam swój szósty zmysł. Całkowicie. Lily jest

żoną amerykańskiego sponsora biednej, chorej Eugenii. No wiesz, tego importera win. Ojca Franceski. Lily jest jego żoną! Przyjechała tu, żeby go odnaleźć, a ja pchnęłam ją w ramiona mężczyzny, który ma złamane serce. Teraz jeszcze raz przeżyje zawód miłosny, przeze mnie, to moja wina. To przeciwieństwo wszystkiego, co powinna robić Tajna Liga Owdowiałych Cerowaczek. Zupełnie jakbym wzięła skarpetkę z malutką dziurką i porwała ją na strzępy. Nie, gorzej. Jakbym wzięła dwie skarpetki i zrobiła coś takiego. Jestem oszustką, nieudacznicą i zasługuję, żeby mnie rozerwano na strzępy.

– Cóż, jesteś we właściwym miejscu, jeśli chcesz, żeby ci ucięli to czy owo. – Luciana starała się usiąść wyżej w szpitalnym łóżku.

– Ja nie żartuję! – krzyknęła Violetta. – To koniec!

– Uspokój się, siostrzyczko, uspokój się – przemówiła łagodnie Luciana. – To nie koniec, nic z tych rzeczy. Och, jak inaczej człowiek wszystko widzi po dobrze przespanej nocy! Bądź tak dobra i wysłuchaj mnie. Zapomnijmy na chwilę o kwiecie pomarańczy, śwędzącym nosie i szóstym zmyśle, zastanówmy się, jak się wszystko potoczyło.

– Przecież to grozi katastrofą!

– Być może dla Alessandra, ale nie dla wszystkich.

– Przecież on jest *calzino rotto*, więc najważniejszy.

– No właśnie! Ale jeśli to nie on jest *calzino rotto*, Violetto? A jeśli to Lily jest *calzino rotto*? Może to jej serce wymaga uleczenia. Może Alessandro nie ma tu nic do rzeczy.

– Lily miałyby być *calzino rotto*?

– Już ustaliłyśmy, że nie jest cudzoziemką w większym stopniu niż którakolwiek z nas.

– Ale Lily i kto? Alberto? Mario? Bez sensu.

– A jej mąż?

– Przecież to człowiek nieuczciwy, zdradził ją.

– Zaopiekował się Eugenią i jej dziećmi, a większość mężczyzn na jego miejscu już dawno uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Czy nie uznałyśmy, że za tym kryje się coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka? Może jest nieznośna, a on nawet z nią nie mieszka, kiedy tu jest.

– I co z tego?

– I to z tego, Violetto, jeśli trzeba ci o tym przypomnieć, że czasami ci, którzy zdradzają małżonków, mogą być głupi i jednocześnie porządni.

Wiele, wiele lat temu, kiedy siostry były zaręczone z braćmi bliźniakami, Violetta zakradła się do łóżka, w którym, jak przypuszczała, spał jej narzeczony, i dokonała dwóch przerażających odkryć: po pierwsze, że mężczyzna w łóżku nie jest jej ukochanym, a po drugie, że powinien nim być.

– Wystarczył jeden pocałunek – przypomniała jej Luciana – żebyś sobie uświadomiła, że jesteś narzeczoną niewłaściwego kawalera, i nie miałaś cienia wątpliwości. Jeden pocałunek. I zrobiłaś coś z tym, chociaż wiele ryzykowałaś. Powiedziałaś o tym mnie, powiedziałaś jemu, powiedziałaś Silviowi. Mogłaś stracić nas wszystkich, ale wierzyłaś w prawdziwą miłość, wierzyłaś w siebie, a my wierzyliśmy w ciebie, Violetto. Wszyscy w ciebie wierzyliśmy. I miałaś rację. Zakończyło się tak, jak powinno. Wyobraź sobie, co by się stało, gdybyś postąpiła inaczej? Gdybyśmy poślubiły niewłaściwych mężczyzn?

– Sama stwierdziłaś, że to była pomyłka.

– Tak, zaczęło się od pomyłki. Ale każdy popełnia błędy. Zdolność uświadamiania ich sobie i odwaga, by je naprawiać, czyni z nas osoby wyjątkowe.

– Nie jestem nikim wyjątkowym i właśnie to próbuję ci powiedzieć.

– Jesteś osobą wyjątkową, Violetto, i właśnie to próbuję ci powiedzieć. Już wtedy wiedziałaś, kto powinien się z kim związać, i robiłaś to, co należało. Tym razem będzie tak samo. Jesteś osobą wyjątkową i wierzę w ciebie.

Violetta milczała przez chwilę, zastanawiając się nad słowami siostry.

– Święta Anno di Chisa – szepnęła, wstając wolno z krzesła, i wyprostowała się. – Och, święta Anno di Chisa, właśnie uświadomiłam sobie coś niezwykłego!

Spojrzała na Lucianę.

– To ty – powiedziała. – To ty. Ty jesteś moim szóstym zmysłem. Wcale go nie straciłam! Ty nim jesteś! Siostrze, wezwij karetkę!

– Violetto, już jesteś w szpitalu.

– Wiem, ale muszę wrócić do miasta, a winni są mi jeden przejazd. Nie rób takiej kwaśnej miny, nie zostawię cię tutaj zupełnie samej. Wyglądasz całkiem dobrze, więc teraz pójdzie z górki, jeśli nie będziesz się ruszać. Pomogę ci się ubrać i wrócimy do domu.

Lily szła przez okazałą *piazza grande*, trzymając Francescę za rączkę, i tylko jednym uchem słuchała jej paplaniny, kiedy zobaczyła na drugim krańcu placu swojego męża.

Serce zabiło jej mocniej.

Czekał w cieniu studni naprzeciwko *duomo*, skrzyżowawszy nogi, z rękami w kieszeniach, w okularach przeciwsłonecznych na nosie.

Miał na sobie koszulkę polo, którą dostał od niej, i poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż prosto w serce.

Wyglądał normalnie, co ją zdziwiło: zupełnie jak ten, którego – wydawało jej się – znała. Spodziewała się, że będzie wyglądał inaczej, kiedy już nie był jej idealnym mężem, tylko mężczyzną, który okazał się kłamcą, kimś, kto skradł ich wspólną przeszłość.

Tymczasem wyglądał jak facet, w którym się zakochała przed laty, i gdyby nie była na *piazza grande* w Montevedovie i nie trzymała za rączkę dziecka będącego owocem jego utrzymywanej w tajemnicy miłości, nie uwierzyłyby, że mógłby być kimś innym.

Nagle się zatrzymały; Lily czuła, że ma nogi jak z ołowiu, z ledwością je podnosi. Francesca przestała paplać, żeby zobaczyć, co sprawiło, iż Lily zwolniła kroku.

– To mój tata – wykrzyknęła na widok Daniela. – Nie spodziewałam się, że tu będzie! – Puściła rękę Lily i pobiegła w jego stronę, każde uderzenie jej sandałów o bruk *piazza* paliło Lily niczym policzek.

Uświadomiła sobie, że nie mogłaby tego zaplanować. Nigdy by się nie spodziewała, że jego widok zrobi na niej wrażenie. Mimo lat

doświadczenia zawodowego, jak sobie radzić z drobnymi przeciwnościami, unikać pułapek, czuła się zupełnie bezradna. Bo tu nie chodziło o pudełka mieszanek do wypieku ciast ani o arkusze kalkulacyjne. Tylko o drugiego człowieka, o miłość, ich wspólne przeżycia i wszystko, co się z tym wiąże.

Nie mogła się oddać rzeczowej analizie wykresu łańcucha dostaw. Mogła tylko utonąć.

Daniel zauważył Francescę, a widok jego miny, gdy rozłożył ramiona, by porwać w objęcia swoją małą córeczkę, niczym sztylet przeszył jej serce.

Żal. Słowo to rozlegało się w jej głowie tak wyraźnie jak dzwony kościelne, które słyszała codziennie podczas pobytu w Montevedovie. Żal. Właśnie to czuła. I ból, i pustkę. Daniel miał wszystko, co chcieli mieć razem. Trzymał to teraz w ramionach. Pocałował Francescę w czubek głowy, a Lily dziwiła się, że sama wciąż oddycha, żyje, nie traci nadziei; jak zdoła żyć po tym wszystkim?

I wtedy zobaczył ją.

Lily opuściło całe opanowanie, na którego doskonalenie poświęciła lata, serce jej się ścisnęło, czuła się obnażona w palącym, popołudniowym słońcu.

Drżała, nogi się pod nią ugięły, przycisnęła dłonie do ust, by zdusić to, co chciało się z nich wydostać. Nie chciała tego przeżywać. To było ponad siły.

Zaczęła osuwać się na ziemię, ale gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa, jakaś staruszka, która akurat przechodziła obok, wpadła na nią, upuściła torbę z zakupami, z której wypadła setka szklanych kulek. Skąd się tu wzięły szklane kulki? Toczyły się wokół nóg Lily, postukując, a staruszka odpychała ją i goniła za nimi, cmokając, jakby to była wina Lily, że się rozsypały.

– *Scusi, scusi, scusi* – mówiła, trącając Lily w nogi, zmuszała ją do przesuwania się to w jedną, to w drugą stronę. O dziwo, histeria, która ogarnęła Lily, zniknęła, jakby też była jedną z toczących się szklanych kulek.

Uniosła wzrok. Daniel stał jak słup pod kunsztownie rzeźbionym łukiem nad studnią. Gapił się, gdy jakaś ubrana na czarno, siwo-włosa staruszka przeganiała jego żonę tam i z powrotem.

Francesca spojrzała na Lily i pomachała jej, podskakując z przejęcia.

Lily starała się opanować, nie zawyla z rozpacz, zaczęła głęboko oddychać i znów uczepiła się jedynej myśli, której była pewna: że bez względu na to, jak się wszystko potoczy, bez względu na całe to zamieszanie i na to, jak wysokie okażą się koszty, Francesca zasługuje, żeby mieć ojca, który ją kocha i nie ukrywa swojej miłości.

Skoro najważniejsza w tym wszystkim jest ta niewinna istotka, a nie jej złamane serce, stać ją na to. Zrobiła krok przed siebie. Daniel uniósł rękę do okularów przeciwsłonecznych i zsunął je na czubek głowy.

Zrobiła krok, i jeszcze jeden; starała się iść spokojnie w jego stronę, skupiając się na tym, żeby zachować chłodny, obojętny wyraz twarzy.

On nie robił nic, stał jak skamieniały, aż znalazła się tak blisko niego, że dostrzegła strach w jego oczach, cienie z niewyspania, bladeść wyzierającą spod cienkiej warstwy opalenizny.

– To jest Lillian – przedstawiła ją Francesca.

Lily widziała żyłkę pulsującą na jego szyi, tę, którą zawsze całowała i z której się podśmiewała. Kiedy ostatni raz to robiła?

– Razem z twoją córką piekłyśmy *cantucci* – powiedziała jak gdyby nigdy nic, patrząc na Francescę, która uśmiechnęła się promiennie. – Wyjątkowa z niej dziewczynka.

Daniel spojrział na córeczkę, potem na Lily, starając się pojąć swoim skołatany umysłem, co się dzieje.

– Piekłyście *cantucci*? – To było beznadziejne pytanie, jeśli uwzględnić, ile innych mógłby zadać, ale według Franceski jak najbardziej na miejscu.

– Chciałyśmy upiec amerykańskie ciasteczka owsiane – wyjaśniła dziewczynka. – Siostra podała jej przez telefon przepis, ale potem Lillian nie mogła nigdzie kupić płatków owsianych, więc postanowiła, że upieczemy *cantucci*, tylko nowego rodzaju, w kształcie serca!

Przejęta sięgnęła do kieszonki sukienki, w której schowała kilka ciasteczek, kiedy Lily nie patrzyła, ale pierwsze, które wyjęła, było złamane, podobnie jak drugie i trzecie.

Uśmiech zniknął z jej buzi, podeszła do Lily, nagle zawstydzona, ujęła ją za rękę, zaczęła kręcić bioderkami i ramionkami.

– Opiekuje się nami Carlotta – powiedziała do ojca, mrużąc oczy przed słońcem. – Mama znów jest *pazzo*.

Lily zobaczyła, że Daniel poczuł się tak jak ona wtedy, kiedy szklane kulki potoczyły się po placu: jakby nie mógł tego znieść, jakby miał ochotę zapaść się pod ziemię, zniknąć w zakurzonych szczelinach między nagrzanymi kamieniami, jakby nie mógł oddychać.

– Wiem – odezwał się. – Wiem, skarbie, i bardzo mi przykro.

Spojrzał na Lily zmieszany.

– Przykro mi – powtórzył. – Nie wiem, co innego mogę powiedzieć. Ale wiedz, że mi przykro.

– Tak. No cóż, to może poczekać – odparła sztywno Lily. Logistyka, myślała, logistyka. Zapewnienie bezpieczeństwa produktowi, którym była Francesca; potem omówienie zakłócenia w łańcuchu dostaw, czyli w ich życiu; na koniec dyskusja nad tym, jak można to (jeden Bóg wie, co) naprawić.

– Myślę, że powinieneś odprowadzić swoją córkę do domu, Danielu. Albo do Carlotty. Tak się umówiliśmy. Francesca musi wiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Bo wszystko będzie dobrze – dodała nieco łagodniejszym tonem ze względu na dziewczynkę. – Uwierz mi, że nie pojawiłam się tutaj, żeby sprawiać kłopoty.

– Ale...

– Może porozmawiamy o tym później? Chyba powinniśmy...

Wtedy Francesca wpadła na pewien pomysł, odwróciła się i prze-rwała im błagalnym głosem:

– Mogę zostać z tobą, Lillian? Proszę! Proszę! Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. Przynajmniej mama. Tata jej powie, gdzie jestem, i wtedy nie będzie miała nic przeciwko temu. Proszę!

Lily starała się zachować żartobliwy ton.

– Skarbie, musisz iść do domu i opowiedzieć mamie o *cantucci*. I dać jej te, które zrobiłaś specjalnie dla niej. – Uniosła do góry małą papierową torebkę, pełną ciasteczek ich wyrobu. – Prawda, Danielu?

– Prawda. – Wyciągnął rękę. – Chodźmy, pączuszk.

– Pamiętaj, że zawsze możesz przyjść i znów upieczemy *cantucci* – dodała Lily.

– Ale ja chcę teraz!

Była zła, rozczarowana. Lily nie widziała jej nigdy takiej. Ale wydawało jej się, że rozumie, jak to jest, kiedy mała dziewczynka nie czuje się dobrze we własnym domu, woli iść dokądkolwiek, byle tam nie wracać.

– Będę grzeczna! Wszystko posprzątam! Nie będę hałasować. Mogę zamieszkać z tobą nad *pasticceria*. Wykąpię się, i umyję zęby, i... – Daniel położył jej dłoń na ramieniu, a Lily się nachyliła, żeby odgarnąć jej włoski z buzi.

– W porządku, Francesco – powiedziała, z trudem się powstrzymując, żeby jej nie objąć. – Tata się tobą zaopiekuje.

Tak by było z Grace, pomyślała. Razem z Danielem uspokajalibyśmy ją, troszczylibyśmy się o nią, dbalibyśmy, żeby wiedziała, że jest bezpieczna, że jej świat jest taki, jaki powinien być.

Spojrzała na Daniela ciekawa, czy myśli tak samo, czy w ogóle myśli teraz kiedykolwiek o Grace, kiedy ma własną córkę.

I wtedy ogarnęła ją złość i zapragnęła zacisnąć dłoń na toporze. A Daniel zorientował się, co Lily czuje.

Stan delikatnej równowagi między nimi przerodził się w napięcie. Było niemal namacalne.

Francesca wykorzystała to, że dorośli przestali na nią zwracać uwagę, i uwolniła się z uścisku Daniela.

– Nie wrócę do domu! – krzyknęła. – Już nigdy! – I zaczęła biec na złamanie karku przez plac.

Daniel i Lily, zaskoczeni, zareagowali zbyt wolno, nie udało im się jej zatrzymać, zniknęła w uliczce między dzwonnica a ratuszem. Zanim tam dotarli, nie było po niej ani śladu.

– Ty idź w stronę Via Ricci i Piazza San Francisco – poleciała Lily.

– Ja pójdę w dół Via del Teatro w stronę Corso.

– Od jak dawna tu jesteś? – spytał Daniel.

– Danielu! Szukaj swojej córki!

Zostawiła go i pobiegła uliczką. Nasłuchiwała, starając się wyłowić stukot kroków Franceski w zaułkach i na schodkach po obu stronach uliczki.

Montevedova to małe miasteczko, ale więcej w nim zaułków i zakamarków niż w Śródziemiu. Lily nawoływała, mijając wejścia do domów, biegła słabo oświetlonymi pasażami, nawet uniosła nasiąknięty wodą brezent, którym nakryto stos materiałów budowlanych, ale Francesca przepadła bez śladu.

Po półgodzinie poszukiwań wróciła na *piazza grande*, dziesięć minut później na drugim końcu placu pojawił się Daniel i uniosł ręce do góry w geście przegranej.

– Dokąd mogła pójść? – zapytała Lily. – Nie wróciła do domu, więc może jest u Carlotty? Poszłaby do niej?

– Znasz Carlottę?

– Danielu, weź się w garść. Nie pora na dyskusję, kto kogo zna. Jestem tu od tygodnia. Przypadkiem spotkałam Francescę, a wkrótce potem Carlottę. Eugenia mnie uczesała. Zatrzymałam się nad *pasticceria* sióstr Ferretti. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Chcę wiedzieć, co tu robisz, Lily?

– Chyba nie pytasz poważnie. Jestem twoją żoną, Danielu. Zapomniałeś o tym?

– Czy zapomniałem? – Z roztargnieniem przesunął palcami po włosach, kiedy znów ruszyli uliczką, którą pobiegła Francesca.

– Tak, czy zapomniałeś? Miłość od pierwszego wejrzenia? Najlepsze, co cię kiedykolwiek w życiu spotkało? Na dobre i na złe? Czy coś z tego brzmi znajomo w twoich uszach?

– Naturalnie, Lily. Jezu, chodzi tylko o to, że...

– Jesteśmy stworzeni dla siebie? – Wszyscy to powtarzali i uwierzyła w to; wierzyła w to nawet w trudnych chwilach.

– To prawda. – Daniel, zdesperowany, wciąż nie mógł znaleźć właściwych słów. – To prawda.

– Jeśli to prawda, to może byłbyś tak dobry i mi wytłumaczył, skąd się wzięło to zdjęcie w bucie do gry w golfa?

– W bucie do gry w golfa?

Zrobił taką zaskoczoną minę, że przez chwilę pomyślała, że może wszystko źle zrozumiała, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie, że cała ta historia będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Ale potem na jego twarzy pojawiła się konsternacja. Przystanął.

– Och, Lily. Mój Boże, tak mi przykro. To w taki sposób się...? Jest mi okropnie... Ach! Słuchaj, to nie tak, jak myślisz.

– Nie tak, jak myślę? Och, jak miło to usłyszeć. W takim razie jak?

– To skomplikowane, nie jestem pewien, czy...

– Mnie wcale nie wydaje się to takie skomplikowane, Danielu. Francesca jest twoją córką?

– Proszę, Lily. Nie mogę tutaj stać i...

– Danielu, chcę wiedzieć jedno: czy Francesca jest twoją córką? To łatwe pytanie.

– Nic nie jest tu łatwe, Lily. Chciałbym, żeby tak było, ale nic nie jest takie proste.

– Odpowiedz mi! Jest twoją córką? Miej przynajmniej tyle odwagi, by powiedzieć mi prawdę w oczy, zamiast ukrywać wszystko, kłamać, oszukiwać mnie i dalej zdradzać. Na litość boską, dość już wycierpiałam. Nie rób mi tego. Nie waż się mi tego zrobić.

Krzyczała, jej gniewne słowa odbijały się od ciemnych murów domów pochylonych ze starości, otaczających ich z obu stron, dzwoniły jej w uszach.

– Wiem, ile wycierpiałaś. – Daniel podniósł głos. – Ale ja też cierpiałem, Lily. Ja też to wszystko przeżyłem. Razem z tobą.

– Nieprawda! Byłeś tutaj z Eugenią!

– To nie tak, Lily. To był błąd. Wielki, przeogromny błąd.

– Błąd? Nie ma czegoś takiego jak błąd, Danielu. Nie ma. Sami decydujemy o tym, co robimy. Wybrałam ciebie. Mogłam wybrać kogokolwiek. Poślubić kogokolwiek. Przez całe swoje dorosłe życie nie spędziłam ani jednego dnia bez mężczyzny, który gotów był mnie poślubić, ale wybrałam na męża ciebie... Na męża poślubionego w obliczu prawa, męża na dobre i na złe... Wybrałam ciebie, bo cię kochałam, ufałam ci i uważałam, że ty jeden jedyny na całym świecie nigdy nie zrobisz nic, żeby mnie skrzywdzić.

– Och, Lily, wiem. Wszystko zepsułem! Nie chciałem cię skrzywdzić, proszę, uwierz mi. To ostatnie, czego chciałem. Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

– A ja cię nienawidzę! Zniszczyłeś wszystko. Nienawidzę cię! Wolałabym, żebyś nie żył, Danielu. Wolałabym, żebyś nie żył! – Rzuciła się

na niego, waliła go w klatkę piersiową, żalując, że nie jest wystarczająco silna, by sprawić mu taki ból, jaki on sprawił jej, rozmyślnie czy nie. To nie miało znaczenia, ból był identyczny.

Złapał ją za ręce, przytrzymał, a potem wolno puścił. Miał łzy w oczach.

– Jeśli poczujesz się lepiej, gdy to usłyszysz, to wiedz, że pragnąłem umrzeć.

Lily wyrwała mu się.

W uliczce rozległ się syk ekspresu do zaparzania cappuccino. Nad ich głowami zatrzepotał skrzydłami gołąb. Grupka rozgadanych chłopaków pojawiła się w przecznicy biegnącej do Via del Corso.

Potem zapanowała cisza. Gniew dał sygnał do odwrotu.

– Powinam się teraz nad tobą ulitować?

Wyciągnął do niej rękę, znękany, ale odsunęła się.

Jednocześnie zobaczyli Francescę, biegnącą uliczką.

– Idź do niej – powiedziała Lily. – Jest twoją córką.

Wdowy tłoczyły się wokół stołu w podziemnej kwaterze głównej, nie mogąc oderwać oczu od *cantucci* w kształcie serca, upieczonych przez Lily i Francescę.

– No to jak, będziemy tu stać i się na nie gapić z rozdziawionymi gębami czy je zjemy? – Fiorelli ślinka napłynęła do ust.

– Nie mają odpowiedniego kształtu – stwierdziła jedna z wdów.

– Ani koloru – dodała druga.

– Nie zrobiły ich Violetta ani Luciana – zauważyła trzecia.

– Och, proszę – zirytowała się Fiorella. – Te *cantucci* ładnie wyglądają, cudownie pachną i wiemy, że upieczono je dziś rano, a nie w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, więc na co czekamy?

Sięgnęła pokrytą starczymi plamami ręką do żłobkowanej misy, którą zniosła po schodach, przez chwilę pottrzymała ją w górzce – dla większego efektu – a potem złapała *cantucci* w kształcie serca.

– Święta Anno di Chisa! Są wspaniałe. – Chapnęła je jak wilk z bajki o Czerwonym Kapturku. – Uważam, że to dzięki kształtowi. Są jednocześnie słodkie i korzenne. Można je maczać w *vin santo* – jak wszystko – ale można je jeść i tak. Jak *cantucci*, tylko z dodatkiem *amore*. *Amorucci!* No dalej, strachajły. Na co czekacie?

Nie trzeba było wdów specjalnie zachęcać, zgodnie przyznały, że ciasteczka w kształcie serca smakują lepiej od tradycyjnych i że Lily razem z córką Eugenii – cóż za osobliwa para! – doprowadziły do zmartwychwstania *cantucci* sióstr Ferretti, a przynajmniej sprawiły, że stały się jadalne.

Ale wdowa Del Grasso nie pozwoliła im zbyt długo oblizywać ust i zbierać okruszków z dekolców, bo wpadła do sali, zgrzana, przejęta i tak zasapana, że ledwo mogła mówić.

– Lily... *Piazza*... Ta mała dziewczynka... Och, *cantucci*. – Wsadziła do ust ciasteczko w kształcie serca i zaczęła je chrupać, próbując odzyskać dech. – Są *delizioso*.

– To *amorucci* – powiedziała któraś. – Coś nowego.

– Co mówiłaś o Lily? – zapytała inna.

– Tak, och, wezmę tylko jeszcze jedno *amorucci* i zaraz, mmm, mniam mniam... Mam dużo do powiedzenia. Ach, te wiśnie! No więc podążałam za nimi przez *piazza*, szły sobie wesołe jak szczygiełki, gdy nagle coś się wydarzyło, coś dziwnego, coś, co skłoniło mnie do obaw, czy cała nasza akcja swatania jej z Alessandrem na pewno rozwija się tak jak powinna.

– Naprawdę? – odezwała się Fiorella. – A czemuż to?

– No więc ma to związek z tą małą dziewczynką, Francescą. A raczej z jej ojcem – wyjaśniła wdowa Del Grasso. – No wiecie, tym Amerykaninem importującym wino, który pojawia się i znika.

– Ta-a-a-k – powiedziały wszystkie.

– No więc Lily go zobaczyła.

– Ta-a-a-k.

– A ja byłam tego świadkiem.

– Ta-a-a-k.

– I... Cóż, nie można tego inaczej określić. Na jego widok nogi się pod nią ugięły.

Wdowy już dawno temu zrozumiały, że to nie tylko przenośnia – kobietom często nogi się uginają, ale tylko na widok ich prawdziwego *amore*.

– Nogi się pod nią ugięły na widok Amerykanina importującego wino? – upewniła się wdowa Benedicti. – To niemożliwe.

– Oczywiście interweniowałam, tak jakby tego chciała Violetta – powiedziała Del Grasso. – Tak się akurat złożyło, że miałam przy sobie torbę szklanych kulek, które zabrałam swojemu wnukowi, bo karmił nimi psa sąsiadów, a na to, co powodowały u biednego stworzenia, lepiej nie stąpać... No więc pozwoliłam, żeby szklane kulki rozsypały się tuż koło nóg Lily.

– Dobrze rozumowanie – pochwaliły ją wdowy.

– Szybko odzyskała władzę w nogach, więc poszłam za nimi. Znaczy się poszłam za nią... Dziękuję świętej Annie di Chisa za zapasowe okulary mojej bratowej... Wprawdzie potem ją zgubiłam, ale na koniec znów odnalazłam. Odnalazłam ich oboje. Na uliczce zaraz obok twojego domu, wdowo Mazzetti. Okropnie się kłócili.

– O co?

– Nie wiem dokładnie, bo krzyczeli coś groźnie po angielsku, ale wyłowiłam jedno znane mi słowo.

– Ta-a-a-k? – znów powiedziały wdowy.

– Mąż – oświadczyła wdowa Del Grasso, uśmiechając się szeroko.

– Coś mi się zdaje, że Amerykanin importer win jest mężem Lily. Zapadła grobowa cisza.

– Jak Violetta mogła się aż tak pomylić? – Pierwsza odzyskała głos wdowa Mazzetti.

– Popelniałyśmy gafy, ale nigdy aż tak poważne – przyznała krytycznie wdowa Ciacci.

– A co wam próbowałam powiedzieć przez cały ten czas? – wykrzyknęła wdowa Ercolani. – Violetta jest już za stara na tego rodzaju intrygi.

– Z całą pewnością nie – oznajmiła Violetta, zaskakując je swoim pojawieniem się. – Wystarczy, że na chwilę się odwrócę, a zostawiacie otwarte drzwi? Która z was weszła ostatnia?

– Chyba ja – przyznała się Fiorella, chociaż winę ponosiła wdowa Del Grasso. – „Urodzona w igloo”, mawiała moja *nonna*. Dopiero w wieku czterdziestu siedmiu lat dowiedziałam się, co to takiego to igloo. Robią je z lodu. I nie mają drzwi.

Na sam jej widok Violetcie pogorszył się humor.

– Wiesz co, odkąd się tu pojawiłaś, są same...

– Mniejsza o to – przerwała jej Mazzetti. – Nie miałaś racji, jeśli chodzi o Alessandra.

– Jego serce! Serce naszego drogiego biedaka!

– Znów złamane, tym razem przez nas.

– Roztrzaskane na kawałki.

– Drugi raz rozdeptane.

– Jak się czuje twoja siostra? – zapytała Fiorella, zaskakując Violetę zmianą tematu rozmowy.

– Całkiem dobrze. Jest na górze. Nic się jej nie stało, tylko niezbyt pewnie trzyma się na nogach. Słuchajcie, co się tyczy Alessandra, nie jest tak źle, jak się wam wydaje.

I wtedy to poczuła: przecudowny zapach. Wypełniał całe pomieszczenie. Wciągnęła powietrze nosem. Kwiat pomarańczy! Akurat dzisiaj!

– Prawdę mówiąc, jest jeszcze lepiej, niż myślałam – wykrzyknęła niemal radośnie.

Bystra Fiorella Fiorucci zobaczyła, że Violetta wciąga powietrze nosem, i ogarnęły ją złe przecucia.

– Prawdę mówiąc, rzeczywiście się pomyliłam, ale nie do końca. To wcale nie Alessandro jest naszym *calzino rotto*, tylko Lily.

Wdowy zaczęły głośno oponować. Alessandro jest stąd, ma złamane serce i to jego serce należy uleczyć, a nie jakiejś cudzoziemki, wplątanej w obrzydliwy trójkąt miłosny.

– Mam rację, wiem, że mam rację – broniła swego Violetta. – Musicie mi zaufać. Ale żeby dowieść, że się nie mylę, jakby potrzebny był jakiś dowód teraz, kiedy wszystko stało się jasne, a może właśnie dlatego tak się stało, wiedzcie, że czuję w powietrzu zapach kwiatu pomarańczy. Tak wyraźnie, jakby znajdował się tuż przede mną.

– Zabawne – odezwała się wdowa Mazzetti. – Ja też.

– I ja – przyznała Del Grasso.

– I ja – potwierdziła Ciacci.

– Cóż, wcale mnie to nie dziwi. – Ercolani podniosła w górę odświeżacz powietrza, przyniesiony przez jedną z wdów i pozostawiony na kominku. – Rzeczywiście masz go tuż przed sobą. Pod twoją cukiernią jest fabryka kwiatów pomarańczy, Violetto. Właśnie to czułaś przez te wszystkie lata. Odświeżacz powietrza.

Lily stała pośrodku uliczki; nie miała ochoty wracać do *pasticcerii*, nie miała ochoty iść do Poliziano, nie miała ochoty iść dokądkolwiek... Nie miała ochoty być gdziekolwiek.

Ruszyła w dół Corso, trzymała się murów pochylonych domów, odtwarzając w myślach okropną awanturę z Danielem. Powinna była zostać w Nowym Jorku. Lepiej by było, gdyby o niczym nie wiedziała, o niczym nie słyszała, niczego nie widziała.

Powinna była włożyć to głupie zdjęcie z powrotem do buta i zachowywać się jak gdyby nigdy nic; ot, co powinna była zrobić.

– *Buonasera*, Lily – zawołał do niej Mario, kiedy mijala *gelaterię*. – Proszę wstąpić na *gelato*! Ulubione potrójnie czekoladowe czekają na panią!

Pomachała mu, ale przyspieszyła kroku, jakby czekano na nią gdzieś indziej.

Nieco dalej Alberto pomachał jej nad ramieniem klienta, a potem podbiegł do drzwi.

– Kieliszek wina, Lily? Prosecco?

Zmusiła się do uśmiechu, ale czuła, że łzy napływają jej do oczu, kiedy szybkim krokiem przeszła dalej.

– *Fragoli*? – zaproponowała tęga starsza kobieta z *alimentare* w pobliżu odremontowanego kościoła, zastępując jej drogę z kobiałką truskawek. – Świeżutkie. *Oggi*.

Lily pokręciła głową i szła dalej. Zatrzymała się, dopiero kiedy wpadła na jakiegoś mężczyznę w średnim wieku, ubranego w drogi, ale zmięty płócienny garnitur. Zatrzymał się pośrodku Corso, żeby razem z żoną coś sprawdzić na mapie turystycznej.

– Och, najmocniej przepraszam. – Lily przyglądała mu się, żeby się upewnić, że nic mu się nie stało.

– Bogu niech będą dzięki, że mówi pani po angielsku. – Jego żona się uśmiechnęła, próbując odciągnąć walizkę, żeby nie tarasować drogi przechodniom. – Może pani mogłaby nam pomóc.

Mąż otarł spocone czoło chusteczką w groszki.

– Może pani wie, gdzie się znajduje hotel Adesso?

– Tak się akurat składa, że wiem. – Lily była zdumiona, że jej głos zabrzmiał zupełnie normalnie. – Obawiam się, że mają państwo jeszcze spory kawałek drogi, ale kiedy skręcicie w lewo na szczycie wzgórza, będzie trochę cienia. Po jakichś dziesięciu minutach zobaczą państwo po prawej stronie hotel.

– No widzisz, kochanie. – Żona rozpromieniła się. – Mówiłam ci, że ktoś się zatrzyma i nam pomoże.

– Dziękuję pani – powiedział mąż. – Mamy za sobą szalony dzień.

– Ale bardzo tu ładnie, prawda? – odezwała się jego żona z błogą miną urlopowiczki. – Uważaliśmy, że Florencja nie ma sobie równych, ale to miasteczko bije ją na głowę. Jest prześliczne! Po prostu prześliczne!

Mąż uśmiechnął się do niej, a potem wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, jakby chciał podziękować, że jest taka zadowolona. Odpowiedziała mu uśmiechem i była to taka czuła scena, że Lily odwróciła wzrok, czując gulę w gardle.

Podziękowali jej i ruszyli dalej, zostawiając Lily na środku ulicy. Spoglądała za nimi. Słońce świeciło, padając na wyblakłe okiennice i szyby w oknach po jednej stronie ulicy, rzucało cień toskańskich murów na domy naprzeciwko.

Wydawało jej się, że wszyscy wkoło się śmieją, nawet pelargonie na parapecie tuż obok nagle wydały jej się rozradowane. Z okna na drugim piętrze dobiegł ją jakiś standard jazzowy. Przez ażurowy mur między domami widziała w oddali drzewa, poruszone łagodnym wietrzykiem tańczącym w dolinie. Gdzieś niedaleko palono kawę, para zakochanych nastolatków szeptała sobie słodkie słówka, siedząc na stopniach kościoła, ręce i nogi spletli jak konary drzewa.

Jak może świecić słońce, jak mogą kwitnąć kwiaty, kiedy ukochany mężczyzna, z którym też kiedyś spletała ręce i nogi, okazał się złudzeniem, ściemą?

Powinien padać deszcz.

Lily potrafił jakiś spieszący się przechodzić, i to tak mocno, że zrobiła niemal cały obrót i znalazła się prawie w jego ramionach.

Alessandro. Chociaż twierdzono inaczej, Montevedova naprawdę była miasteczkiem, w którym wpadało się na wszystkich znajomych.

– Najmocniej przepraszam, że spotkaliśmy się w taki sposób – na urodziwej twarzy Alessandra pojawił się szeroki uśmiech – ale zarazem bardzo się cieszę, że spotkałem cię w taki sposób. – Umikł na chwilę, spoważniał. – Wszystko w porządku, Lily? Wyglądasz, jakbyś zabłądziła.

– Chyba można powiedzieć, że to nie jest mój najlepszy dzień.

– Mój też nie – wyznał. – Gospodyni znów mnie wysłała na szukanie wiatru w polu. Przez blisko dwie godziny czekałem na dostawę do sklepu winnego butelki likieru. Zrezygnowałem. Jest taki piękny dzień, za piękny, żeby nie skorzystać z jego uroków.

Właściwie też się cieszyła ze spotkania z nim. Był jak powiew świeżego powietrza, akurat kiedy tego potrzebowała.

– Jesteś już po obiedzie? – spytał, na co Lily pokręciła głową.

– Masz ochotę zjeść coś ze mną?

– W Montevedovic?

– Gdzie tylko chcesz. – Uśmiechnął się.

– Wszędzie, tylko nie w Montevedovie.

– Znam jedno takie miejsce. Jest tam trochę inaczej niż tu i sądzę, że ci się spodoba.

– *Fragoli?* – zawołała za nimi kobieta, stojąca w drzwiach *alimentare*, kiedy skierowali się przez prastarą bramę miasta ku parkingowi. – *Fragoli?*

Miejsce, gdzie było „trochę inaczej”, okazało się tak samo zapierające dech w piersiach jak Montevedova. Alessandro zabrał Lily do leżącego w pobliżu miasteczka Bagno Vignoni, gdzie zamiast brukowanej *piazza grande* zachował się z czasów starożytnych basen

z wodą, otoczony kamiennym murkiem. Właśnie wokół niego wyrosło miasteczko.

Wybrał w kawiarni stolik najbliżej basenu i Lily patrzyła na nieruchomą taflę wody przez przerwy między otaczającymi go domami. Na horyzoncie było widać niezwykle urodziwe, idealnie symetryczne miasteczko na wzgórzu.

– To najpiękniejsze miejsce, jakie widziałam w życiu – powiedziała.

– Rzeczywiście jest tu wyjątkowo ładnie – zgodził się Alessandro.
– Kiedyś często tu przyjeżdżałem z żoną.

Nie mogła nie zauważyć, że pachniał cudownie, świeżo, jakby limonką, a może czymś bardziej egzotycznym – owocami męczennicy?

– Przykro mi, Alessandro. Musi ci bardzo brakować żony.

– Tak, to prawda.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– To nie najlepszy temat do rozmowy.

– Cóż, nie jestem w nastroju do beztrioskiej paplaniny, jeśli to ma jakieś znaczenie.

Przyszła kelnerka i przyjęła zamówienie. Alessandro poprosił o campari, Lily po krótkim wahaniu – bojąc się, że skończy się jak poprzednio, stanik znów będzie jej wystawać z rękawa bluzki – zamówiła to samo.

– Kiedy umarła? – zapytała, gdy zostali sami.

– Dwa lata temu. Trochę więcej niż dwa lata temu. – Gapił się na wodę w basenie, drapiąc się w kostkę u ręki. – Miała wadę serca, o której nie wiedzieliśmy. Jechała do Pienzy i... – Urwał i pokręcił głową. – To stało się tak niespodziewanie. Nie cierpiała. Tak mi przynajmniej powiedziano.

Lily pomyślała, że żona lepiej na tym wyszła. To mąż, który przeżył, cierpiał.

– Długo byliście małżeństwem?

– Prawie dwadzieścia pięć lat. Razem chodziliśmy do szkoły, razem studiowaliśmy na uniwersytecie, razem podróżowaliśmy, wszystko robiliśmy razem.

– Lubiała podróżować?

– Tak. – Uśmiechnął się, wspomnieniem lepszych czasów odsunął na bok cierpienie wywołane jej stratą. – Oboje lubiliśmy podróżować. Najpierw jeździliśmy po Włoszech. Byliśmy na Sycylii, w Puglii, Umbrii, Wenecji. Pokochała Wenecję.

– Ach, gondole...?

– Tak, z tym miejscem wiążą się wyjątkowe wspomnienia. Tam poprosiłem Elisabetę, żeby została moją żoną.

– Romantycznie.

– Tak.

Zasępił się.

– Jestem pewna, że znów znajdziesz miłość – powiedziała Lily najdelikatniej jak umiała.

Spojrzał na nią.

– Chciałbym, ale to nie takie proste. Nie wiem, co bez niej robić, jak bez niej żyć. Chciałbym, żeby tu była. Bardzo bym chciał. Żeby wszystko było jak dawniej.

– Jestem pewna, że wiedziała, jak bardzo ją kochasz. – Mężczyzna, który czuł do żony to co Alessandro, na pewno wyznawał jej to co minuta.

– Miło, że tak mówisz, ale wcale nie jestem tego pewien. Nie należeliśmy do osób, które ciągle sobie mówią: „Och, Kocham cię, ubóstwiam, nie mogę bez ciebie żyć”. Zakładałem, że o tym wie. Ale teraz żałuję, że nie mówiliśmy sobie tego częściej, bo to była prawda.

– Jestem pewna, że i tak wiedziała.

– Gdybym mógł cofnąć czas, gdybym znów mógł z nią być, mówiłbym jej to codziennie, więc gdyby nagle mi ją odebrano, miałaby pewność... – Odwrócił się, duma mu nie pozwalała zdradzić Lily, że płacze.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że prześpi się z nim.

Chyba już to wiedziała, gdy pierwszy raz go zobaczyła przez mokrą od deszczu szybę na drodze do Montevedovy, kiedy biała płócienna koszula przylepiła mu się do oliwkowej skóry.

Ostatecznie przyjechała do Toskanii ze złamanym sercem, nie wiedziała, co się stało, a los pchnął ją w ramiona tego smutnego, sympatycznego, samotnego mężczyzny. Ładnie pachniał i chciała, żeby lepiej się poczuł. Mogła to zrobić.

Wprosiła się do jego willi, a on nie protestował.

To nie ma nic wspólnego z Danielem, powiedziała sobie, z tym, co jej zrobił, z tym, co się wydarzyło wcześniej tego dnia. Miało to związek wyłącznie z Alessandrem. Smutnym, seksownym Alessandrem i tym, jak się przy nim czuła: jakby miała coś, czego pragnął, czego potrzebował.

Drzwi do stodoły były otwarte, kiedy zatrzymali się przed jego domem. Widziała w środku gondolę, która osiadła w Toskanii. Pragnęła poznać wspomnienia, które się z nią wiązały.

W domu przeprosiła go, by umalować sobie usta, poprawić włosy (Eugenia właściwie spisała się na medal), lekko spryskać nadgarstki perfumami. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd ostatni raz kogoś uwodziła, ale przypuszczała, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat mężczyźni się nie zmienili. A czuła to, co było między nią a Alessandrem, tak wyraźnie, jakby to widziała. Chemia, okazja, podniecenie; wszystko, czego potrzeba.

W chwil kiedy weszła do kuchni, gdzie parzył kawę, uświadomiła sobie, że nie będzie go musiała uwodzić. Alessandro czuł to samo co ona. Była pewna. Wyraz jego oczu, kiedy na nią spojrział, lekkie napięcie w rozgrzanym, letnim powietrzu, iskra przeskakująca między nimi; z taką samą łatwością zbliży się do Alessandra, z jaką rozstała się z Danielem.

Odprężyła się. Wszystko będzie dobrze.

Zaniósł filiżanki z kawą do salonu i włączył muzykę – jakąś operę, którą Lily słyszała już wcześniej, ale nie znała jej tytułu. Otworzył drzwi wychodzące na basen i dolinę, a potem stanął w nich tyłem do niej. Przejrzyste płócienne zasłony trzepotały na wietrze po obu jego stronach.

Odwrócił się, uśmiechnął smutno i Lily podeszła do niego, nie mogąc się oprzeć nastrojowi. Wydawało się to czymś nieuchronnym.

Pragnęła go objąć, odgonić smutki. Wiedziała, co czuje ten samotny mężczyzna, jak głęboka może być pustka, kiedy coś stracimy, i nic nie może jej wypełnić.

Zwróciła twarz w jego stronę i go pocałowała. Poczwała jego słone usta, poczuła, jak wstrząsnął nim dreszcz, kiedy go dotknęła.

Jeśli zaskoczyła go śmiałością, nie okazał tego. Oddał pocałunek.

Przyciągnął ją bliżej, jedną rękę trzymał na jej głowie, drugą położył na biodrze, i całował szyję, ucho, obojczyk, który tak podziwiał, kiedy ujrzał Lily pierwszy raz.

Odrzuciła głowę do tyłu, gdy poczuła, że jego ból topnieje. Usłyszała cichy jęk podniecenia. Przysunęła się bliżej, przywarła do niego biodrami. Nienasycony głód ogarnął ją niczym płomień.

Kiedy jej usta znów odnalazły wargi Alessandra, niecierpliwie pragnące czegoś więcej, znów poczuła sól, ale tym razem miała inny smak. Uświadomiła sobie, że to jej łzy.

W kwaterze głównej ligi jeszcze nigdy nie panowała taka cisza.

Violetta, mrugając nerwowo, czekała, aż ktoś coś powie. Żadna z kobiet nie odezwała się ani słówkiem, chociaż wdowa Ciacci odstawiła odświeżacz powietrza z powrotem na kominek.

– Myślałam... Przez cały ten czas... Że to tylko... – Violetta postarzała się na ich oczach, policzki jej się zapadły, ramiona przygarbiły, zniknął uśmiech. – Miłość – szepnęła. – Myślałam, że wiem. Luciana była taka pewna. Jak to możliwe?

Na ratunek pospieszyła jej Fiorella.

– Och, na litość świętej Anny di Chisa. – Przewróciła oczami. – Jakie to ma właściwie znaczenie?

– Jakie to ma znaczenie? – wyrzuciła z siebie wdowa Mazzetti. – Violetta jest naszą duchową przywódczynią! Ufałyśmy jej. Słuchałyśmy jej!

– Ale czy nie dlatego to robiłyście, żeby leczyć złamane serca? – natarła na nią Fiorella. – Zaklinam się na swoje życie, że nie pojmuję, dlaczego tak ważne jest jak. Świetnie, jeśli widzicie znaki, które prowadzą was do osób najbardziej potrzebujących waszej pomocy, ale prawdę mówiąc, nie trzeba szukać daleko, żeby znaleźć kogoś w takim położeniu. Wystarczy się przejść Corso, a zobaczycie pół tuzina osób ze złamanym sercem między naszym kościołem a *gelaterią*, jeśli będziecie ich wypatrywać. Są wszędzie! Łaskotanie tam, ból tu może ma z tym coś wspólnego, ale chodzi o to, że większość ludzi się tym nie przejmuje. Najważniejsze, że jest mniej osób ze złamanym sercem dzięki temu, że je dostrzegłyście, więc czy nie możemy po prostu przejść nad tym do porządku dziennego?

– Ale biedny Alessandro... – zaczęła Ciacci.

– Och, biedny Alessandro, akurat – prychnęła Fiorella. – Nie ulega wątpliwości, że przystojniaczek z niego, a do tego dość miły, ale pamiętajmy, jak potraktował własną córkę.

Wdowy mruknęły, że dużo o tym dyskutowały i uważają, że sprawa jest rozwojowa, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by uznać, że Alessandro jest osobą najbardziej potrzebującą ich pomocy.

– A co powiecie na to, że od osiemnastu miesięcy posuwa żonę aptekarza? – spytała Fiorella. – Robi to też z jej siostrą w Montechiello, chociaż nie tak regularnie, jej mąż bowiem nie ugania się stale za piłkami golfowymi, za to dużo pije. Alessandro i czyste sumienie? Nie wydaje mi się.

Wdowa Benedicti zrobiła taką minę, jakby za chwilę miała wybuchnąć, z twarzą fioletową ze złości wycelowała trzęsący się palec w Fiorellę. Zdaje się, że często musiała odpierać takie zarzuty.

– To oszczerstwo! – syknęła. – Bezczelne oszczerstwo.

– Twój chlebodawca w środy koło trzeciej wymyka się dokądś i wraca pachnący perfumami Pink Sugar Aquoliny, prawda? Według mnie są zbytnio piżmowe, ale to nasz najdroższy zapach. Facet nie jest sknerą, trzeba mu to przyznać.

– Na litość boską, oplakuje śmierć żony – upierała się Benedicti. – Jest dobry i hojny, grzeczny i miły, i... I... I... Wysoki!

Ale rzeczywiście zauważyła, że w środowe wieczory pachnie Pink Sugar. Wiedziała o tym na sto procent, bo dał jej ich flakonik na urodziny. A kiedy robiła pranie, znalazła w kieszeni paragon na seksowną bieliznę nocną. O ile dobrze pamiętała, z jakiegoś sklepu w Montechiello.

– Podejrzewam też, że zabawia się z ogrodniczką, która przycina jego drzewa oliwne – mówiła Fiorella. – Zwykle kiedy dwoje ludzi jest tak bardzo pogryzionych przez komary w jednym czasie i w jednym miejscu, według mnie sprawa jest oczywista.

Wdowa Benedicti wiedziała, że ogrodniczka, która przycina drzewa oliwne, złapała Alessandra w swoje szpony w dniu, gdy zobaczyła go pierwszy raz. A wkrótce potem widziała zadrapania, tylko nigdy nie skojarzyła faktów.

– Nie wierzę – oznajmiła tonem świadczącym, że gotowa jest ociupinkę uwierzyć.

– Słuchajcie, nie twierdzą, że facet nie zasługuje na naszą pomoc – odezwała się pojednawczo Fiorella – ale nie jest święty. Jasne, przynębiony, i to bardzo, ale kobiety to kochają, nieprawdaż? Po prostu nie wydaje mi się, żeby był odpowiednim mężczyzną dla Lily.

– Zgadzasz się więc, że Lily jest naszą *calzino rotto*? – spytała Violetta.

– Uważam, że jest tak samo dobrą kandydatką jak ktokolwiek inny, ale trzeba jeszcze pomyśleć o tej małej dziewczynce. Tej ze skrzydłami.

– Owoc miłości zdradzającego męża? – Wdowa Mazzetti była zaskoczona. – Cóż, teraz usłyszałam wszystko. Co ona ma z tym wspólnego?

– Jak to co? Bardzo dużo. To dziecko potrzebuje matki, a nasza *calzino* pragnie mieć córkę. Co jeszcze chcecie usłyszeć? Wiecie, że serca można leczyć na sto różnych sposobów. Może tę dziurę da się zacerować nicią innego koloru. – Urwała, żeby mrugnąć do Violetty. – Dobrze wykonuje swoje zadanie, tylko z zewnątrz wygląda osobiwie.

– Ale ta mała dziewczynka ma już matkę – przypomniała wdowa Del Grasso.

– Matkę, której brak piątej klepki.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego ale. Powinna trafić do domu wariatów i...

– Już się nie mówi „domy wariatów” – przerwała jej wdowa Mazzetti. – To niepoprawnie politycznie.

– Tam, skąd pochodzę, nie zwracamy uwagi na poprawność polityczną.

– To znaczy gdzie?

– We Włoszech! Co z wami, śpicie?

– No, no, moje panie! – Violetta odzyskała trochę pewności siebie i zdecydowanie przywołała wdowy do porządku. – Pozwólcie skończyć Fiorelli.

– Uważam jedynie, że ta blondynka powinna zostać tutaj, w Montedovie, i może uda jej się pomóc zdradzającemu ją mężowi być

dobrym ojcem dla tych dzieci. Widać, że obydwójce są porządni, chociaż popełnili błędy. Ale kto nigdy nie popełnił jakiegoś błędu? A propos, chłopczyk nie jest jego. Pamiętacie tego skandynawskiego byczka, który pojawił się tu parę lat temu? Za jego sprawą na świecie pojawił się Ernesto. Ale mniejsza o to. Co powiecie na taki plan: Eugenia wyjeżdża do politycznie poprawnego ośrodka leczniczego, wybranego przez kogoś, kto się na tym zna lepiej od nas, i otoczona troskliwą opieką odzyskuje zdrowie. Po powrocie znajduje swoją prawdziwą miłość, bo nie kocha męża Lily, a on nie kocha jej. Jeśli wszyscy się odpowiednio postarają, powinni znaleźć się w ramionach właściwej osoby, a na dodatek ktoś zaopiekuje się dziećmi. Chyba nieważne, kto to będzie?

Wdowy spojrzały po sobie. Większość była zdezorientowana, ale nie Violetta. Patrzyła na Fiorellę tak, jakby ta była wielkim *gelato* o jej ulubionym smaku, a dawno tego nie jadła.

– Nie za dużo wymagamy od biednej Lily? – spytała któraś.

– Każdy głupi widzi, że polubiła dziewczynkę. Przeszkadza nam, by tu została i robiła *cantucci* w kształcie serca, póki Eugenia nie odzyska rozumu? Nie.

– Ona zrobiła *cantucci* w kształcie serca? – zdziwiła się Violetta.

Fiorella strąciła okruchy z sukienki.

– Nazwałyśmy je *amorucci*. Mówię ci, można dzięki nim przytrzeć nosa Borsolinim.

– Nie wiem, czy nie za dużo wymagamy od biednej Lily – wtrąciła wdowa Del Grasso.

– Cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo – zauważyła Fiorella.

– Ostatecznie miłość to brudne zajęcie. Do tej pory powinnyście już się zorientować.

– Pojawiła się tu i chce nam mówić, co mamy robić – rzuciła wdowa Mazzetti w przestrzeń. – Opracowałyśmy zasady postępowania w przypadku tego rodzaju...

– Och, proszę! – Fiorella teatralnym gestem wyrzuciła ręce w górę.

– Tylko nie cytuj mi regulaminu. Co mają zasady postępowania do miłości? Nie, to nie jest fair; przyznaję, że to skomplikowane, ale spójrzcie na mnie: podstępem skłoniono mnie do poślubienia skończonego palanta i musiałam patrzeć, jak mężczyzna, którego

kocham, umiera z powodu złamanego serca, ale jakoś sobie poradziłam.

– Sprawa dyskusyjna – mruknęła wdowa Mazzetti, ale wszyscy usłyszeli.

– Pozwól, że ci coś powiem, *signorina*, reguła numer sześć, klauzula B, przypisek dwa przecinek pięć – zwróciła się do niej Fiorella.

– W tej chwili pojechałabym do szpitala w Montevedovie i dałabym sobie uciąć ręce i nogi, uszy i nos, gdybym w ten sposób mogła chociaż jeden dzień spędzić z moim Eduardem. Nieważne, jak ciężko by mi potem było do końca życia. Gdyby mi pozwolono być z nim przez minutę, przez jedną minutę, nie zawahałabym się ani chwili. To się nazywa miłość, głuptaski. Powinnyście o tym doskonale wiedzieć. Nie pamiętacie już, jakie to trudne? Cóż, w takim razie jesteście w niewłaściwym miejscu. Wstydzcie się.

Pomieszczenie wypełniło uczucie ogólnego zawstydzenia, stawiając poważne wyzwanie odświeżaczowi powietrza.

– Pojechałabym do szpitala w Montevedovie i dałabym sobie uciąć obie nogi za jedną chwilę z moim Antoniem – powiedziała wdowa Del Grasso, pociągając nosem, w kłopotliwej ciszy, która zaległa.

– Ja też – szepnęła Benedicti.

– A ja i uszy – odezwała się z łkaniem Ciacci.

– Żeby znów się znaleźć w ramionach mojego ukochanego? Och! Mogą mi zabrać wszystko! – wykrzyknęła z płaczem Mazzetti.
– Wszystko!

Wtedy między te chlipiące dziewięćdziesięciolatki wkroczyła drobniutka Violetta.

– Myślę, że Fiorella przypomniała nam wszystkim, dlaczego tu jesteśmy i jakie ważne jest nasze zadanie – zaczęła, ale przerwała jej wdowa Pacini, która właśnie wtedy wpadła, dumna jak paw.

– Sukces, sukces, sukces – zapiała. – Del Grasso, twojemu wnukowi nie udało się jej zaciągnąć do *gelaterii*, Ciacci, twojemu nie udało się jej zaciągnąć do winiarni, ale tuż przed moim *alimentare* przy świeżo zerwanych dziś truskawkach nasza *calzino rotto* spotkała tego, który jest jej przeznaczony!

– Co się stało? – zapytały chórem.

– Odjechali w stronę zachodzącego słońca – triumfująco zameldowała wdowa Pacini, nim zauważyła, że coś jest nie tak. – Skąd te smutne miny? Czy nie tego chcieliśmy?

– Jak dawno się to stało? – spytała Violetta.

– Jakieś dwie godziny temu. Może trochę więcej.

– I tyle czasu zwlekałaś z poinformowaniem nas o tym?

– Musiałam zamknąć *alimentare* i wstąpić do Poliziano, by uczyć to cannelloni. Wiem, że to sycylijskie danie, ale idealnie się nadaje na taką okazję. A dlaczego pytasz? Co się stało?

– Doszło do zmiany planów – powiedziała Fiorella. – Zmieniłyśmy konie.

– Zmieniłyście konie? Violetto, to prawda? – Pacini wpatrywała się w nią ze zdumieniem. Violetta była najmniej skora osobą do zmiany koni.

– Tak – potwierdziła Violetta. – Z całą pewnością.

Lily już zapomniała, jaka jest moc pierwszego pocałunku.

Nie można tego porównać z niczym innym na świecie – tej chwili, kiedy wszystko przestaje się liczyć.

Cienkie płócienne firanki wydał powiew wiatru, kiedy Alessandro pociągnął Lily w stronę pluszowej kanapy; z niezwykłą delikatnością jak na tak rostełego mężczyznę przesunął dłońmi po jej zgrabnej sylwetce, jakby była cennym dziełem sztuki.

Nie spieszył się, był wytrawnym kochankiem, wolno rozpiął jej bluzkę i napawał się jej ciałem, stopniowo je obnażając. Mówił coś po włosku, mogła tego słuchać bez końca. Kiedy dotykał dłońmi jej szyi, piersi, żeber, brzucha, bioder, ud, niemożliwością było myśleć o czymkolwiek poza jego dotykiem, jego głosem, jego zapachem.

Usta ją paliły od pocałunku, sam dotyk wywołał podniecające mrowienie, włosy, starannie upięte, rozsypały się jej na ramiona. Poczula się wolna, niesamowicie wolna, jakby się unosiła nieważka pod błękitnym tokańskim niebem wiele kilometrów nad wstrętnym wrakiem swojego prawdziwego życia.

Cóż za rozkosz.

Potem nie spadła gwałtownie na ziemię z głuchym stukiem. Nadal się unosiła w ramionach Alessandra, mówiącego jej, jaka jest piękna, jakim jest szczęściarzem, że ją spotkał, jak czasem los popycha ku sobie dusze stworzone dla siebie, i że już od dawna nie był taki szczęśliwy.

Pragnęła zostać u niego na zawsze, w tym raj, gdzie wszystko było takie proste: dwoje zranionych dorosłych rozkoszowało się swoimi ciałami, ogrzewało ciepłem drugiej osoby, czerpało wzajemnie

ulgę ze swojej obecności. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek tak drżała od stóp do głów.

Ale jak się miało okazać, przeznaczenie nie chciało, żeby Lily została tu, gdzie była. Przeznaczenie miało inne plany i ujawniło się w osobie leciwej gospodyni Alessandra, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Na jej zaczerwienionej twarzy malowało się osłupienie. W ręku trzymała metalowe wiadro, pełne wody z mydlinami, które z głośnym brzękiem uderzyło o podłogę.

Lily, zażenowana, chociaż na szczęście już zdążyła się częściowo ubrać, zerwała się z kanapy, zapięła bluzkę, poprawiła spódnicę, złapała bieliznę, wystającą spod poduszki.

Alessandro, który dopiero co włożył spodnie, patrzył ze zdumieniem, kiedy wytrącona z równowagi signora Benedicti uniosła w górę niczym broń miotełkę z piór.

– Przyszłam posprzątać. – Odepchnęła Alessandra, podniosła z podłogi kaszmirową narzutę, po czym zaczęła poprawiać poduszki, na których dopiero co leżeli kochankowie.

– Signora Benedicti, co pani tu robi? – spytał Alessandro po włosku niezwykle spokojnym tonem, uwzględniając okoliczności. – Myślałem, że posprzątała pani rano.

– Tak – odpowiedziała kobieta po angielsku – ale wszędzie jest jeszcze pełno kurzu. Proszę. – Tak mocno uderzyła miotełką z piór w stojący w pobliżu kredens, że Lily, teraz przynajmniej zapięta jak należy, aż podskoczyła.

– Nie rozumiem. Pożegnaliśmy się. Widziałem, jak pani wychodziła.

– A czy kurz zwraca na to taką baczną uwagę? Gdyby chciał pan, żeby pana przyjaciółka dostała alergii i spuchł jej nos jak bania, a z oczu leciały łzy, nie przyszedłbym, ale aby jej uroda pozostała nieknięta, musiałam przyjść, i to teraz, i zrobić, co do mnie należy.

– Wiesz co, chyba powinnam już pójść – odezwała się przyjaciółka Alessandra.

– Nie. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś teraz wyszła. Proszę, daj mi chwilę. Signora Benedicti, jeśli zdenerwowałem panią, to bardzo przepraszam – powiedział przechodząc na swój język ojczysty – ale właściwie to nie pani sprawa.

– To nie moja sprawa – odpowiedziała, również po włosku.
– Muszę jedynie powycierać kurze, dokończyć prasowanie, umyć podłogę w kuchni, znaleźć w lodówce to coś, co bardzo brzydko pachnie, i wyrzucić. Bardzo ciężko u pana pracuję, Alessandro, ciężiej niż ta ogrodniczka przycinająca drzewa oliwne, z którą tak się pan cacka. Ja, żebym nie wiem jak harowała, nigdy nie usłyszałam od pana jednego dobrego słowa. Nigdy!

Alessandrowi aż odjęło mowę. Takie zachowanie było całkiem niepodobne do jego gospodyni.

– *Signora*, czy dobrze się pani czuje?

Popatrzyła na niego przez chwilę – naprawdę był z niego przyzwoity człowiek, nawet jeśli zbyt kochliwy – a potem oświadczyła, że czuje się bardzo źle, więc czy mógłby pójść z nią do kuchni i przyrządzić jej szklankę świeżej lemoniady z gałązką mięty, rosnącej dziko pod oliwkami, tymi nieprzyciętymi, kilkaset metrów za stodołą.

– Lily, najmocniej przepraszam, ale czy mogłabyś nam dać jeszcze chwilkę? – Alessandro wyszedł z wdową Benedicti do kuchni.

Stała przez moment, walcząc ze wstydem. Gospodyni z wiadrem mydlin i miotłką z piór sprawiła, że Lily wróciła na ziemię. Płócienne firanki, które przedtem trzepotały na wietrze, teraz gniewnie łopotały, przez otwarte okno wpadły trzy bzyczące muchy, było za gorąco. Już nie czuła mrowienia w całym ciele. Rozboleła ją głowa.

Próbowała sobie przypomnieć tamto uczucie swobodnego unoszenia się, ale na próżno.

Jej uwagę zwróciło zdjęcie na kredensie, który przed chwilą odkurzyła *signora* Benedicti. Kilka zdjęć w ramkach leżało, ale jedno stało. Wzięła je do ręki. Domyśliła się, że przedstawia młodego Alessandra z żoną, Elisabetą – drobniutką ślicznotką, spoglądającą na niego z zachwytem – a między nimi była nastolatka, bardzo podobna do matki. Patrzyła nieśmiało w obiektyw.

Alessandro miał córkę?

Nie zapytała go, czy ma dzieci, bo nienawidziła tego pytania, ale dziewczynka była tak do niego podobna, że właściwie nie ulegało to wątpliwości. Też umarła? Dziwne, że ani słówkiem o tym nie wspomniał.

Na zdjęciu wyglądał szczuplej, miał krótsze włosy, ale przede wszystkim uderzyła ją jego niefrasobliwość. Wydawał się wyższy, nieprzygnieciony ciężarem żalu, który teraz był taki widoczny. Z jego oczu, uśmiechu, nawet sposobu, w jaki trzymał głowę, biło szczęście, zadowolenie.

Tworzyli szczęśliwą rodzinę, pomyślała, porównując ich fotografię z tą, którą znalazła w bucie Daniela.

Daniel.

Opadła na kanapę, zdjęcie wysunęło się jej z dłoni, oparła głowę o poduszki i utkwiała wzrok w suficie.

Jej mąż i Alessandro różnili się pod każdym względem. Daniel był blondynem, a Alessandro szatynem, Daniel kanciasty, a Alessandro miękki, Daniel opanowany, Alessandro namiętny. Nie wyobrażała sobie Daniela przejmującego się jakimś wrogiem, który setki lat temu zawłaszczzył siedzibę rodu. Wybaczył swoim rodzicom znacznie gorsze rzeczy.

Daniel nie był człowiekiem pamiętliwym. Wolał łagodzić sytuację, niż dolewać oliwy do ognia. Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozgniewanego jak dziś, kiedy krzyczał na nią na ulicy.

Co się stało z mężem, którego tak dobrze знаła? Wydawało jej się, że wyglądał tak jak zawsze, kiedy zobaczyła go na *piazza*, ale w alejce, mówiąc ostrym tonem, z opadającymi powiekami, wzburzony, wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Starszym. Starszym?

Dzisiaj sobota. Urodziny Daniela.

Zacisnęła powieki i poczuła, jak łza płynie jej po twarzy w stronę ucha.

W zamierzchłej przeszłości planowała spędzenie tego popołudnia z mężem, zjedzenie obiadu w Muzeum Sztuki Współczesnej, a potem obejrzenie zgromadzonych tam eksponatów.

Zamiast tego zdradziła go tak samo, jak on zdradził ją.

Alessandro, któremu wreszcie udało się wyrwać z kuchni, gdzie zostawił swoją niedysponowaną gospodynię, wszedł do pokoju.

- Wybacz mi - powiedział. - Wydaje mi się, że *signora* Benedicto doszła do siebie. Przynajmniej mówi, że znów może wrócić do sprzątanania, chociaż kazałem jej odpocząć godzinkę albo dwie.

Urwał, kiedy zobaczył jej łzy.

– Zdenerwowałaś się. Wybacz mi. – Podeszedł do niej.

– Nie, to ja przepraszam – bąknęła.

Spojrzał na zdjęcie, które trzymała w dłoni.

– Ach. – Westchnął.

– Masz córkę.

– Tak.

– Nic o niej nie mówiłaś.

– Nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

– Ile ma lat? Gdzie mieszka?

Wydawał się rozgniewany i przez chwilę pomyślała, że wybiegnie z pokoju, ale nie zrobił tego. Usiadł obok niej i wziął zdjęcie.

– Ma dwadzieścia jeden lat i mieszka w Pienzie.

– Jak często ją widzisz?

– Nie widuję się z nią. – Umilkł na chwilę. – Ma na imię Sophia.

– Śliczne imię, Alessandro. W sam raz dla ślicznej dziewczyny.

– Dla mnie przestała istnieć.

– Nie wierzę.

– To prawda. Nie istnieje dla mnie już od jakiegoś czasu. Pamiętasz, opowiadałem o rodzinie, która podstępem odebrała nam dom? Sophia poślubiła mężczyznę z tej rodziny.

– Przecież tamto się wydarzyło setki lat temu.

– Ta sama trucizna wciąż płynie w żyłach Mangiavacchich. To nie żadna tajemnica, a jednak go poślubiła.

– No cóż, tam, skąd pochodzę, mówimy: na złość babci odmrozę sobie uszy – zauważyła Lily. – Jest twoją córką, Alessandro. I straciła matkę. Na pewno bardzo jej brakuje, i tobie jej.

Gdyby sądzić po jego minie, można by powiedzieć, że ma ochotę upierać się przy swoim, bronić się, ale tego nie zrobił. Zgarbił się na kanapie i westchnął.

– Tak, brakuje mi jej. Naturalnie, że brakuje. Urodziła syna, mojego wnuka, ale... Nigdy go nie widziałem.

– Alessandro, to takie smutne. Nie tylko dla niej, ale również dla ciebie i dla tego małego chłopczyka. Nie możecie się pocałować na zgodę?

– Czekam – powiedział. – Czekam, aż przejdzie mi złość na nią.

– Jak długo to jeszcze potrwa twoim zdaniem?
– Nie wiem, Lily. Nie przypuszczałem, że będzie to trwało tak długo.

– Musisz znaleźć sposób wybaczenia jej, Alessandro.
– Wiem, Lily. Wiem. Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? Na przykład o tobie? Też na złość babci odmroziłaś sobie uszy?
– Niezupełnie. Ale powinieneś wiedzieć, że mam męża.
– Rozumiem. – Wcale nie był tym zaskoczony.
– Ma przyjaciółkę i dwoje dzieci. Właśnie się o tym dowiedziałam, więc przyjechałam tu, żeby go odszukać.

To go zdumiało.

– W Toskanii?
– W Montevedovie.
– No i znalazłaś go?
– Tak, jest tutaj. Widziałam go dziś.
– Ach – mruknął. – A potem spotkałaś się ze mną. Przypuszczała, że było to oczywiste.
– Musisz mnie uważać za okropną kobietę.
– Uważam, że jesteś piękna i smutna. Doszedłem do takiego wniosku, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Zabawne. To samo pomyślałam o tobie.
– Może z tego powodu tworzymy dobraną parę? – spytał.
– Nie sądzę, byśmy tworzyli parę. To, do czego przed chwilą doszło między nami, to była pomyłka. Bardzo przyjemna, ale jednak pomyłka.

Utkwił w niej swoje smutne brązowe oczy.

– Wciąż kochasz swojego męża, prawda?

Nie znał Lily, która wzniosła mur wokół najmroczniejszych zakamarków swojego serca, ale postanowiła wpuścić go do środka.

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Kochałam go, zanim się dowiedziałam, że mnie zdradza, chociaż tak jak ty i Elisabeta nigdy właściwie o tym nie mówiliśmy. Ale teraz nie potrafię powiedzieć, czy go kocham, czy nie.

– Myślę, że gdybyś go nie kochała, mogłabyś to powiedzieć.

– Dlaczego?

– Zostałaś zraniona, Lily. Rozumiem, ale wiem również, że to, iż mąż zdradza swoją żonę, nie zawsze znaczy, że jej nie kocha. Jesteśmy mężczyznami – powiedział, kiedy próbowała zaprzeczyć.

– Nie wolno nam zbyt wierzyć. Gdy coś obiecujemy, chcemy dotrzymać obietnicy, ale musisz wiedzieć, że w obliczu pokusy jesteśmy słabi. Kiedy mężczyzna zdradza kobietę, to jest zupełnie co innego, niż kiedy kobieta zdradza mężczyznę.

– Cóż, właśnie go zdradziłam, więc chyba jedziemy na tym samym wózku.

– I jak się czujesz?

– Czuję, że zrobiłam coś, czego nigdy nie da się odkręcić. A jak ty się czujesz?

– Czuję, że maksymalnie wykorzystaliśmy okazję.

– Cóż, powiedziałaś to takim tonem, jakbyś doskonale wiedział, o czym mówisz.

– Jestem Włochem. Naturalnie, że wiem, o czym mówię.

– Miałaś romans, kiedy byłeś mężem Elisabety?

– Niejeden.

– Wiedziała o tym?

– Dowiedziała się o ostatnim i wcześniej nie miałem pojęcia, jak bardzo ją krzywdziłem.

– Ale ci wybaczyła.

– Kosztowało mnie to miesiąc pobytu w hotelu Carlyle w Nowym Jorku, bardzo drogie futro i zegarek, ale tak, wybaczyła mi.

– W moim przypadku jest inaczej. Mój mąż ma z inną kobietą dzieci, chociaż ja ich mieć nie mogę. Może być coś gorszego?

– Wybacz mi, jeśli powiem nie to, co chciałabyś usłyszeć, Lily, ale zdrada to zdrada, bez względu na to, czy w grę wchodzi dzieci, czy nie. Czulałabyś się lepiej, gdybyś wiedziała o jego romansie, ale nie o dziecku?

Och, ale Lily kochała to dziecko.

– To skomplikowana sprawa. Zbyt skomplikowana. Może nadal go kocham, ale nie wiem, czy potrafię mu wybaczyć.

– Tak, rozumiem. Tak samo jest z moją córką. Naturalnie, że ją kocham, to moje dziecko, ale nie zawsze czuję tę miłość. Przeszkadzają mi w tym inne silne uczucia.

Chociaż angielski nie był jego ojczystym językiem, udało mu się trafić w sedno i zwięźle opisać trudne położenie Lily. Nie mogła wiedzieć, czy kocha Daniela, ponieważ tyle spraw jej w tym przeszkadzało. I nie była pewna, czy zdobędzie się na wspaniałomyślność i usunie te przeszkody.

– Wydaje mi się, że nie jestem zdolna do przebaczenia.

– Jestem taki sam. Widzisz, jednak tworzymy dobraną parę.

Przez minutę czy dwie milczeli, a potem Lily wstała, wzdychając.

– Muszę już iść – oświadczyła. Słońce zachodziło, zieleń wzgórz ciągnących się za willą Alessandra przemieniła się w przydymione róże i fiolety.

– Możesz zostać. Możesz zostać, a ja się tobą zaopiekuję.

Było to na swój sposób kuszące, to uczucie unoszenia się pod błękitnym tokańskim niebem.

Zrobiła krok, żeby go cmoknąć niewinnie na pożegnanie, a on przytrzymał ją na chwilę, ale wystarczająco długo, żeby owionął ją uspokajający zapach owocu męczennicy, potu i kawy. Miała przedsmak tego, jak by to było, gdyby została w jego silnych ramionach, czując się bezpieczna i kochana.

Ale chociaż jej powiedział, że jest szczęśliwy, wciąż spoczywał na nim ciężar, którego się nie pozbędzie, leżąc nagi w jej ramionach.

Stać go było na budowanie bezużytecznej łodzi przez pamięć na zmarłą żonę, nie mógł o niej zapomnieć, ale potrafił odepchnąć rodzoną córkę, która była tak blisko i z pewnością go potrzebowała.

Alessandro to była pomyłka. Bardzo przyjemna, ale jednak pomyłka.

– Dobrze się czuję. – *Signora Benedicti* wkroczyła do pokoju.

– Ale teraz wrócę do domu i zabiorę ze sobą pana przyjaciółkę.

Przyjaciółka zgodziła się, potulnie wyszła za gospodynią i wsiadła do jej skorodowanego renaulta.

41

Dzięki niech będą świętej Annie di Chisa – wyrzuciła jednym tchem wdowa Benedicti, wybrawszy numer wdowy Ciacci w swoim telefonie komórkowym po tym, kiedy rozstała się z Lily na parkingu obok informacji turystycznej. – Kieruje się w stronę Corso – zameldowała.

– Udało się uniknąć katastrofy? – chciała wiedzieć wdowa Ciacci.

– Trudno powiedzieć – odparła wdowa Benedicti. – Może częściowo.

– Czy to wystarczy? – powątpiewająco zapytała wdowa Ciacci.
– Nie pamiętam, jak to jest.

– Nie pytaj mnie. Minęło prawie trzydzieści lat, odkąd ostatni raz to robiłam. A nawet wtedy robiliśmy to tylko w nocy, po ciemku, w każdy czwartek.

– Och, ale i tak mi tego brakuje, Benedicti. A tobie nie?

– Czwartki już nie są takie jak dawniej – przyznała przyjaciółka.
– Chociaż teraz często piekę w czwartki *crostata di more*, więc jest coś, na co czekam niecierpliwie.

– A więc co mam przekazać Violetcie?

– Powiedz jej, że zastałam nową *calzino* i starą *calzino* nie w sypialni, tylko w salonie. Nie byli kompletnie ubrani, ale kiedy ich zaskoczyłam swoim pojawieniem się, ubrali się, rozmawiali przez jakiś czas – nie jestem pewna, o czym – a potem się rozstali.

– Rozstanie było romantyczne? – Wdowa Ciacci płonęła z ciekawości.

– Zastałam ją w jego ramionach, ale chyba nie doszło do niczego zbyt pikantnego. Można powiedzieć, że był to raczej przyjacielski uścisk.

– Przyjacielski uścisk nikomu nie zaszkodził – odparła wdowa Ciacci. – Zobaczymy cię w kwaterze głównej? Czeka nas dużo pracy.

Wspinając się stromą ulicą z parkingu do *pasticcerii*, Lily rozmyślała nad tym, co jej powiedział Alessandro: że nie odczuwa miłości, ponieważ na przeszkodzie stoi tyle rzeczy. Jeśli miałyby być wobec siebie szczerą, musiałyby przyznać, że przeszkody utrudniające jej określenie, co czuje do Daniela, nie pojawiły się niedawno. Istniały od lat i nie były to jakieś małe kamyki, tylko głązy. Obrosły mchem, a wokół nich zebrały się mniejsze kamienie. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda się je usunąć z drogi.

A nawet gdyby okazało się to możliwe, ten nowy Daniel, ten, który jej powiedział, że ją kocha, ale ma tu rodzinę, ten, który stworzył sobie nowe życie bez niej na drugim końcu świata, może już wcale jej nie chce. To, czy ona go kocha, czy nie, może być zupełnie nieistotne.

Przepaść między nimi była wielka, Lily nie wiedziała, czy wybaczenie mu zdołałoby ją zasypać. Mogło też spaść na samo dno rozpadliny, nie czyniąc żadnej różnicy.

A zresztą, co to ma za znaczenie, czy Daniel już jej nie chce? Nie lepiej założyć, że chce, i rzucić go, nim on będzie miał okazję rzucić ją pierwszy?

Nie potrafiła sobie wyobrazić upokorzenia, jakiego by doznała, wybacząc Danielowi, który grzecznie by jej podziękował i poślubił Eugenię.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie wyobrażała sobie upokorzenia, jakiego by doznała, wybacząc mu. Tyle. Teoretycznie potrafiła się zdobyć na sam akt wybaczenia, ale byłby to prywatny układ ze sobą, a nie z nim. Na samą myśl, że miałyby z nim o tym

rozmawiać, analizować jego zdradę i swoje cierpienie, zbierało jej się na mdłości.

Do tej pory nie rozumiała, dlaczego niektóre małżeństwa tak szybko się rozwodziły. Znała przynajmniej trzy pary, które jednego dnia sprawiały wrażenie zupełnie szczęśliwych, a następnego się ze sobą rozstały.

Teraz wiedziała dlaczego: kto ma ochotę przeprowadzać sekcję zwłok? Jeśli coś umarło, to umarło. Po co wywlekać wnętrzności na wierzch i w nich grzebać? To z pewnością sprawi jedynie więcej bólu, zwłaszcza stronie pokrzywdzonej.

No więc przyjechała do Toskanii, zachwyciła się jej urodą, dowiedziała się dokładnie, co się dzieje z jej mężem, udało jej się przywrócić dobre stosunki z siostrą, nauczyła się robić *cantucci*, spędziła popołudnie, kochając się z przystojnym Włochem, o czym nie zamierzała nikomu powiedzieć do końca życia. Uzna cały ten wyjazd za swego rodzaju przygodę, którą nikomu się nie pochwalili. I tak jak obiecała, dopilnuje, by Daniel zachował się jak należy wobec Franceski; nawet jeśli miałyby się to niekorzystnie odbić na jej rachunku bankowym. Ale robi to ze swojego mieszkania przy Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

Naprawdę pora wracać do domu.

„Dalej prosto”, jakby powiedział Dermott. Dalej prosto. Poczula ulgę, kiedy przyznała, że jej małżeństwo się skończyło, bo wreszcie mogła opracować plan działania. Trzeba postawić kropkę nad „i”.

Ponieważ zdążył zapaść zmrok, otworzyła drzwi do *pasticceria* najdelikatniej, jak to możliwe. Dzwonek zabrzączał cichutko. Zatrzymała się na chwilę, by jeszcze raz nacieszyć się tym dziwnym, małym sklepikiem. Jak to możliwe, że zawsze pachniało w nim różami, nawet, kiedy nie było w nim róż? Przez okno wpadało słabe światło latarni, wydobywając z mroku zieloną szklaną misę, w której wcześniej Lily i Francesca ułożyły swoje *cantucci*. Wtedy przypominały bukiet ciasteczek w kształcie serca. Teraz zostały w niej tylko okruszki.

Dziwne, pomyślała Lily. Może Violetta wróciła do domu i wyrzuciła ciasteczka.

Przeszła cichutko na paluszkach, pchnęła wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni, wślizgnęła się przez nie i... Violetta, siedziała za stołem i czekała na nią. Luciana siedziała podparta na łóżku; wyglądała na zupełnie zdrową, splecione ręce położyła na kołdrze.

– O, mój Boże. – Lily się zmieszała. Zamierzała cicho się wymknąć, zostawiając wiadomość, ale może lepiej szczerze wszystko wyznać. – Właściwie nie, bardzo dobrze – powiedziała. – Cieszę się, że tu jesteście. Wyjeżdżam, Violetto. Jeszcze dziś. Spakuję się i jadę do Rzymu. Zatrzymam się w jakimś hotelu w pobliżu lotniska i wrócę pierwszym samolotem do Nowego Jorku.

Violetta pokręciła głową.

– Mmm, nie. – Miała całkiem donośny głos jak na drobniutką staruszkę. – Nie wydaje mi się. Nie, nie, nie.

Lily to zaskoczyło, ale szybko odzyskała pewność siebie.

– Tak – przemówiła zdecydowanym tonem. – *Sí. Sí, sí, sí.*

– Przecież zgodziłaś się zostać przez cały miesiąc – przypomniała jej Violetta. – Zawarłyśmy ustną umowę.

– Ustną umowę? Co, u...? I słyszę, że doskonale znasz angielski.

Kiedy właściwie zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Kiedy właściwie zamierzałaś zapytać?

– *Buonasera* – zawołała leżąca w łóżku Luciana i pomachała jej wesoło.

– Och, Luciano, witaj w domu. Dobrze się czujesz?

– *Sí. Grazie.*

– Ona nie zna *inglese* – wyjaśniła Violetta. – Tylko ja. Lily, pora, żebyśmy porozmawiały.

– To, co mówiłam... – zaczęła Lily, przypomniawszy sobie swoje monologi, kiedy siostry partaczyły wypieki. – Wszystko rozumiałaś i nie powiedziałaś ani słówka.

– Nie wszystko. Na przykład nie rozumiem, dlaczego wkładasz kaszmirowe wyroby do piekarnika? To bez sensu.

– Myślałam, że mówię do ściany! Dlaczego mi to zrobiłaś?

– Chciałyśmy się więcej o tobie dowiedzieć. – Violetta obojętnie wzruszyła ramionami.

– Dlaczego chciałyście wiedzieć o mnie więcej? I dlaczego w taki pokrętny sposób? Dlaczego po prostu nie zapytałyście?

Luciana coś wtrąciła po włosku, co rozsierdziło Violetę. Zaczęły się kłócić jak pisklęta o jedną dżdżownicę. Luciana prychnęła z pogardą i obie umilkły.

– Przepraszam, o co pytałaś? – odezwała się Violetta.

– Dobrze wiesz, o co pytałam! Dlaczego mnie oszukałyście?

– Bo chciałyśmy wiedzieć, jak długo tutaj będziesz, żebyś zapłaciła czynsz za nasz sklep – odparła Violetta.

Lily wyrzuciła ręce w górę.

– Jeśli sądzicie, że wam uwierzę, to jesteście głupie – oświadczyła. – A nie wyglądacie na głupie. Wprost przeciwnie. O co w tym wszystkim chodzi, Violetto?

Luciana powiedziała coś ostro do siostry.

– Mówi, iż wszystko przez to, że jesteśmy dwie głupie staruchy, które nie mają nic lepszego do roboty, tylko wściubiać nosy w nie swoje sprawy i wtrącać swoje trzy grosze – powiedziała Violetta.

– W to skłonna jestem uwierzyć – odparła Lily.

– Ale z czynszem to prawda. Gdyby nie ty, musiałybyśmy natychmiast zamknąć sklep.

– Zamknąć sklep? Przecież już jest zamknięty.

– Mamy kłopoty – przyznała Violetta. – Odkąd dokucza nam artretyzm, nasze *cantucci* nie są takie jak dawniej, a ci *porco* Borsołini w dole miasta zbijają majątek na sprzedaży swoich wstrętnych ciastek grubym turystom, którzy nie mają siły, żeby dotrzeć do naszego sklepu.

– No więc dobrze. Ale wiecie co? Dziękuję za waszą szczerość, lecz to nie moje zmartwienie. I powiem wam jeszcze coś. To nie ma znaczenia. Jest mi obojętne. Wyjeżdżam. Możecie zatrzymać pieniądze, które wam dałam, żeby zapłacić czynsz w tym miesiącu, ale ja wracam do domu. Natychmiast.

Siostry spojrzały na siebie.

– Stajemy się zdecydowanie za stare na to *merda* – powiedziała po włosku Violetta do Luciany.

– Chodzi o to, że twoje pieniądze poszły na czynsz za ubiegły miesiąc – zwróciła się do Lily. – Nie mamy z czego zapłacić czynszu w tym miesiącu.

– Przecież dałam wam pięćset euro!

– Zalegamy z płatnościami.

– Cóż, bardzo mi przykro z tego powodu. Mogę wam tylko poradzić, żebyście zatrudniły kogoś do robienia *cantucci*. Tylko wtedy będziecie miały realną szansę na ich sprzedaż. A jeszcze lepiej, gdyby udałooby wam się pokonać *porco* Borsolinich w ich własnej grze. Nie wiem... Robiąc to samo, co ludzie od nich kupują, tylko lepiej. Wtedy być może będzie was stać na wywiązywanie się z waszych zobowiązań finansowych. Albo porozmawiajcie z właścicielem budynku i spróbujcie osiągnąć jakiś kompromis w kwestii czynszu. Kto jest właścicielem budynku? – spytała Lily. – Komu jesteście winne pieniądze?

Doszło do zażartej dyskusji między siostrami.

– My jesteśmy właścicielkami – wyznała Violetta. – Jesteśmy winne pieniądze sobie.

Lily wybuchnęła śmiechem.

– Chcecie mnie nakłonić do wynajęcia sklepu, w którym nic nie ma, żeby nadal pozostał „otwarty”, chociaż zdaje się, że od dłuższego czasu pozostaje zamknięty, sprzedając nieistniejące *cantucci* nieistniejącym klientom?

Violetta przetłumaczyła to wszystko Lucianie, a potem obie odwróciły się w jej stronę i skinęły głowami.

– Tak.

– To jakiś żart? Nie? W takim razie dość tego dobrego. Idę na górę się spakować.

– Wspomnij o dziewczynce – poleciła Luciana siostrze.

– A co z dziewczynką? – posłusznie spytała Violetta. – Co z Francescą?

Lily zatrzymała się w pół kroku.

– Jak to „co z Francescą”? Co Francesca ma z tym wspólnego?

– Wszystko – odparła Violetta.

W pokoju zapanowała pełna skrępowania cisza. Siostry utkwily w niej swoje ciemne oczy.

– Wiecie o Danielu?

– Wiemy o małej dziewczynce spragnionej *amore*. I znamy grupkę cerowaczek, którym naprawdę smakuja *cantucci* w kształcie serca.

– Wasza grupa cerowaczek zjadła wszystkie nasze *cantucci*?

– Sł. A trudno je zadowolić. Ale wystarczy, żeby to rozgłosiły, a nasze *cantucci* w kształcie serca – nazwałyśmy je *amorucci* – mogą się stać bardzo rentownym przedsięwzięciem. Gdybyśmy tylko miały kogoś, kto by nam pomógł je robić. No i jeszcze sprawa Franceski. Aj, aj. Biednej Franceski ze złamanymi skrzydłami.

– To szantaż!

Violetta zagadkała jak stara kwoka, przetłumaczyła wszystko Lucianie, która zagadkała jeszcze głośniej.

– Mówi: witamy we Włoszech! – poinformowała Violetta, odsuwane krzesło zaszurało przeraźliwie. Z trudem się podniosła. – To nie jest właściwie szantaż, jeśli dotyczy biednych dalszych krewnych. Tak czy owak, może zechcesz się nad tym zastanowić przez noc.

Lily odebrało mowę.

– Nie mam się nad czym zastanawiać. Mam swoje życie w Nowym Jorku: dom, pracę, zobowiązania. Nie mogę tak po prostu rzucić wszystkiego, żeby zacząć prowadzić sklep z *cantucci* w Toskanii. To niedorzeczne.

Ale nie myślała o swoim domu, pracy, zobowiązaniach ani nawet o swoim złamanym sercu czy mężczyźnie, który je zламаł. Myślała o uśmiechu na buzi Franceski, kiedy zobaczyła, jaki kształt nadała *cantucci*.

Lily uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Violetty. Staruszka miała bardzo pomarszczoną twarz, ale mrugnięcie okiem zawsze jest mrugnięciem okiem.

Dochodziła druga nad ranem.

Lily spała w pokoju na górze, bo zgodziła się z problemem prześpać, ale nadal zamierzała wyjechać z samego rana. Lecz wdowy zyskały cztery dodatkowe godziny na wprowadzenie w życie pozostałej części swojego planu.

Violetta przytwierdziła do ściany mapę turystyczną Montevedovy i wbiła w nią kilka pinesek.

Jedną zaznaczyła pokój w pobliżu Piazza San Francesca, gdzie zatrzymał się Daniel, drugą – *pasticceria*, kolejną – rondo w pobliżu informacji turystycznej, czwartą – bazę kierowców ciężarówek, piątą – boczną drogę biegnącą do kościoła San Biagio, a ostatnią – sam kościół.

– Wdowy Del Grasso, Ciacci, Ercolani i Pacini, wszystko jasne?

– Sł – odparły chórem.

– Del Grasso, masz niepewną minę.

– Wiem, co powinnam zrobić, boję się tylko zapachu – powiedziała wdowa Del Grasso.

– Jeśli weźmiesz dość prowiantu i butelkę grappy, nie będziesz musiała podchodzić bardzo blisko – uspokoiła ją Violetta. – Mazzetti sporządziła harmonogram. Jeśli każda zrobi to, co do niej należy, wszystko pójdzie jak z płatka.

– Wiecie co, czasami żałuję, że nie jesteśmy zwykłymi cerowaczkami – bąknęła wdowa Benedicti.

– Zupełnie zgłupiałaś? – naskoczyła na nią Fiorella. – Cóż jest romantycznego w cerowaniu?

Violetta i Luciana spojrzały na nią, potem na siebie i się uśmiechnęły. Obie narzekały na bolące kości, lecz obie odetchnęły z ulgą. Były stare i zmęczone, ale mogły spać spokojnie, wiedząc, że kiedy udadzą się na spotkanie z Silviem i Salvatore na tamtym świecie, zostawią ligę w dobrych rękach.

Fiorella spojrzała na swoje nogi i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Spójrzcie na to! – zachichotała. – Jeden but niebieski, a drugi brązowy! To niechybny znak, że ten dzień będzie wyjątkowy.

Z całą pewnością optymistycznie patrzyła na świat.

Lily spodziewała się bezsennej nocy po huśtawce emocjonalnej, której źródłem były wydarzenia dnia, w głowie jej się kręciło od natłoku myśli, kiedy ostatni raz wchodziła po schodach do swojego pokoju.

Ale gdy tylko się położyła, zapadła w głęboki, spokojny sen. Obudziła się tak wcześnie, że życzliwy promień słońca, zwykle łaskoczący ją w brodę o poranku, jeszcze przesuwiał się w dół po ścianie.

Jasnozłote światło rzucało cętki na śliczny sufit i skrzyło się na żyrandolu w górze, odnosiło się wrażenie, że się jest w środku mieniącej się śnieżnej kuli.

Lily leżała, rozkoszując się ciepłem, starała się nie myśleć o Danielu, gdy ten krzyczał na nią w alejce, o Alessandrze, słowach szep-tanych do ucha, kiedy przesuwiał rękę po jej udzie, o Francesce, zachwyconej ciasteczką w kształcie serca.

Jej światem ktoś mocno potrząsnął, nie miała co do tego wątpliwości, ale kiedy brokat opadnie, będzie w swoim domu w Nowym Jorku, wróci do dawnego życia. Mogła oddzielić to, co się wydarzyło w Toskanii, od całej reszty, wracać do tego lub nie w zależności od tego, co uzna za stosowne.

Nie była smutna. Prawdę mówiąc, czuła lekkie podniecenie na myśl, co ją czeka, kiedy wstała i zaczęła się pakować. Starala się nie wyglądać przez okno, nie wdychać zapachu jaśminu porastającego zniszczoną kratkę na murze ani nie zachwycać się wspinałością zielonej i żyznej krainy.

To wszystko też można zamknąć w mieniącej się śnieżnej kuli.

Spakowawszy walizkę, zniosła ją po cichu wąskimi schodami i weszła do kuchni. Wiedziała, że nie uda jej się uniknąć spotkania z siostrami, ale nie była przygotowana na to, że będą na nią czekać – Violetta stała, a Luciana siedziała za stołem, na który wyłożyły wszystkie składniki, niezbędne do wielkiego maratonu pieczenia *amorucci*.

Puszki z mąką i cukrem stały pod ręką. Obok leżały tuziny jajek, świeżo zniesionych, wciąż ze żdźbłami siana. Nie wiadomo skąd wzięło się więcej blach do pieczenia, a na końcu stołu umieszczono niczym kufry ze skarbami miski z dodatkowymi składnikami: cytrynami, orzechami włoskimi, orzeszkami pinii, pomarańczami, laskami cynamonu i wanilii, wiśniami, suszonymi owocami i ciemną czekoladą.

Od wczoraj jej kolekcja pastelowych misek rozrosła się kilkakrotnie, podobnie jak przybyło łyżek do mieszania i foremek. Była to prawdziwa linia produkcyjna, gotowa do uruchomienia. Lily nie miała pojęcia, dlaczego zadały sobie tyle trudu, nie mówiąc już o kosztach, skoro wiedziały, że wyjeżdża.

Widocznie nie doceniły siły jej postanowienia. Chociaż kiedy patrzyła na nie, nieruchome w czarnych fartuchach, uderzyło ją, że od obu siostr Ferretti bije niezłomność, której wcześniej nie zauważała. Jeśli kiedykolwiek były uroczymi staruszkami, teraz nie pozostał po tym najmniejszy ślad. Trochę przypominały powykręcane, stare szczury. Nie było w nich cienia słabości. Nie żartowały. Mogłyby wyklócać się o ceny na targu korzennym w Zanzibarze.

Ale Lily już spoglądała w oczy groźniejszym przeciwnikom niż te dwie staruszki. Nie da się zastraszyć. Postawiła walizkę i zebrała się w sobie.

– Dzień dobry, moje panie – powitała je. – Widzę, że zadałyście sobie sporo trudu, ale wydawało mi się, że jasno dałam wam do zrozumienia, że nie zostanę tutaj, więc nie będę mogła wam pomóc.

Nic nie powiedziały.

– Bardzo mi było miło panie poznać. Przykro mi, że nie mogę wam więcej pomóc przy waszym przedsięwzięciu z produkcją *amorucci*, ale proszę, przyjmijcie ode mnie to, żebyście miały z czego

zapłacić czynsz. – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej ostatni banknot o wartości stu euro.

Siostry nic nie powiedziały, więc Lily wsunęła banknot do miski z pomarańczami i cytrynami. Kilka owoców spadło na stół, a później na podłogę.

Siostronom nie drgnął ani jeden mięsień.

– Och, na litość boską! – wykrzyknęła Lily, goniąc cytrusy po kuchni, a potem bez powodzenia próbowała umieścić je z powrotem w misce. Skończyło się na tym, że dwie cytryny schowała do torebki.

– No więc – mówiła – to było wyjątkowe doświadczenie. Chciałabym wam podziękować za waszą gościnność i możliwość skorzystania z kuchni. Ale widzę, że macie dziś mnóstwo pracy, więc pożegnaj się, tak jak planowałam. Jeśli chodzi o Francescę, no cóż... Kiedy ją spotkacie, proszę, powiedzcie... Proszę, powiedzcie jej... – Gardło jej się ścisnęło, uniemożliwiając mówienie. Takie okazanie emocji z całą pewnością nigdy nie zdarzyło jej się w sali posiedzeń u Heigelmana. To by było samobójstwo. – Tak. No więc byłabym wam bardzo wdzięczna, gdybyście mogły ją pożegnać w moim imieniu.

Nic. Może spoglądały na nią bardziej gniewnie, ale Lily nie zamierzała się ugiąć.

– Jeszcze raz dziękuję, i powodzenia.

Siostry nie zareagowały, więc Lily się odwróciła i pociągnęła walizkę w stronę drzwi po nierównej kamiennej posadzce. Przekląła się w duchu, że nie oddała torby do naprawy, bo obłuzowane kółko trzymało się na słowo honoru.

Zacięło się, kiedy Lily przechodziła przez wąskie drzwi do sklepu, potem jeszcze raz, kiedy okrążyła ladę, a na koniec zahaczyło o małe krzeselko pod oknem wystawowym.

Kiedy udało jej się uwolnić walizkę od mebla, stwierdziła, że nie może otworzyć frontowych drzwi. Zacięły się i aż nadwerczyła sobie rękę, szarpiąc je. Potem tak niespodziewanie puściły, że zerwał się łańcuch podtrzymujący dzwonek, który z hukiem zleciał na podłogę. Cud, że nie trafił jej w głowę.

Rozważała, czy zawrócić i powiedzieć o tym siostronom, ale uznała, że napiwek w wysokości stu euro wystarczy na pokrycie szkód.

Zebrała części dzwonka i położyła na stole pod oknem.

Brukowana Corso była pusta i cicha, jeśli nie liczyć Lily i jej walizki z obłuzowanym kółkiem. Lily szła ze spuszczoneym wzrokiem, unikając barwnych skrzynek na kwiaty i ślicznych wystaw sklepowych, fragmentów doliny widocznych w prześwitach między domami.

Na pustym parkingu wsiadła do swojego fiata 500 i włączyła nawigację, ale jej zamiar jak najszybszego dotarcia na lotnisko w Rzymie zaraz na początku napotkał przeszkody, gdy dwa wyjazdy na osobliwym rondzie w pobliżu wlotu na parking okazały się zamknięte z powodu robót drogowych.

– Skręć w lewo – poinstruował ją Dermott, a kiedy go nie posłuchała, chociaż nie ze swojej winy, znów kazał jej skręcić w lewo, ale wtedy już dwa razy zdążyła okrążyć rondo i nie wiedziała, o które lewo mu chodzi.

– Nie ma tu skrętu w lewo – niepotrzebnie się odezwała. – Mogę albo wrócić na parking, wjechać do miasteczka, jeśli mam odpowiednią plaketkę, skręcić w główną drogę do Sieny, albo w tę drugą wąską, polną.

Zdecydowała się na tę drugą drogę, która okrążała Montevedovę od tyłu, biegnąc między ogromnymi piniami, przez które po raz ostatni mogła rzucić okiem na prześliczną Val D’Orcia.

To te barwy? Hektary zielonych, pofałdowanych pastwisk? Kiście dużych winogron w ciągnących się kilometrami winnicach? Duże gaje pełnych wdzięku drzew oliwnych? Wszystko było takie pełne życia. Gdziekolwiek spojrzeć, przyroda robiła to, co do niej należało, karmiła rośliny, nawadniała pola, wypuszczała liście, kwitła. Lily czuła przyjemne łaskotanie w żołądku, póki nie wyjechała z zakrętu i omal nie wpadła na wielką ciężarówkę, która zatrzymała się na samym środku drogi. Wkrótce stało się jasne dlaczego. Wystarczyło, żeby Lily wychyliła głowę przez okno, by zobaczyć, że po drugiej stronie drogi stoi duża ciężarówka, która nadjechała z przeciwnej strony. Droga była za wąska, by się mogły minąć.

Słyszała, jak kierowcy krzyczą jeden na drugiego ze swoich pojazdów. Jeden wysiadł, potem drugi, więc Lily też wysiadła, ale szybko

wróciła do samochodu, kiedy kierowca, który wyglądał na zbyt wiekowego, by prowadzić taki wielki pojazd, sięgnął do kabiny swojej ciężarówki i dziarsko złapał klucz nasadowy.

Właśnie wtedy Lily zobaczyła z prawej strony zieloną polną drogę i doszła do wniosku, że zamiast czekać i być świadkiem kłótni kierowców, która nie wiadomo jak się zakończy, lepiej skrócić w prawo.

Droga, wąska i dość stroma, po niespełna kilometrze zrobiła się szersza i Lily znalazła się w dolinie, którą mogła podziwiać z okna swojego pokoju. Była pewna, że w oddali poznaje Bagno Vignoni, a jeszcze dalej na horyzoncie kolejne małe miasteczko z wieżyczkami, które widziała z uzdrowiska.

Zachwycając się krajobrazem, wjechała w stado kóz. W jednej chwili droga była szeroka i pusta, w następnej, pokonawszy zakręt, ujrzała kozy dosłownie wszędzie. Obstąpiły samochód, beczwały i meczały, tarasując drogę do kolejnego zakrętu, a nawet dalej.

Siedziała, nie wiedząc, co robić. Z pewnością nie miała ochoty jechać między nimi. Niewiele wiedziała o tych zwierzętach, ale wydawało jej się, że te są większe niż zwykłe kozy. Wśród nich były jeszcze młode. Mogłaby je zmiażdżyć.

Wyłączyła silnik. Pasterz kóz, jeśli nadal tak się ich nazywa, nie mógł odejść daleko. Byłoby nierozsądne zostawić na długo zwierzęta bez opieki. Lily postanowiła zaczekać.

Jakaś kózka odłączyła się od matki i wpadła w panikę, potrącana przez inne kozy. Wyciągała szyję, ale była za mała w tym tłumie. Matka ją nawoływała, rozglądając się nerwowo, kiedy inne kozy odpychały jej młode coraz dalej i dalej.

Nie mogła dłużej na to patrzeć. Otworzyła drzwi, czym wzbudziła panikę u kóz, tych najbliższych samochodowi. Nim zdołała cokolwiek zrobić, kózkę wciągnęło morze zwierząt i porwało za sobą.

Jakiś kozioł wyskoczył ze stada i wsparł się przednimi nogami na masce fiata. Spojrzał oskarżycielsko.

Lily ogarnął niepokój. Kwaśny zapach tysięcy kóz wniknął w jej ubranie. Odwróciła się, żeby spojrzeć za siebie, ale dwie kozy naparły na nią, odepchnęły ją od samochodu i Lily znalazła się na środku drogi.

Stado posuwało się w dół wzgórza, tam, gdzie droga zakręcała, porwało Lily ze sobą. Skrzywiła się, stąpając po miękkich kozich bobkach, i pożegnała się w duchu z zamszowymi mokasynami.

Kozy nie zamierzały się rozbiec, więc poruszanie się wśród nich nie było łatwe. Poza tym robiło się coraz cieplej. Lily doszła do zakrętu drogi i zobaczyła, że jeden z trzykołowych ciągników, tak kochanych przez włoskich rolników, stoi zaparkowany na poboczu drogi. Kłębiły się wokół niego kozy, ale Lily jakoś się między nimi przecisnęła, na próżno rozglądając się za kierowcą.

– Halo? – zawołała. – *Buongiorno?*

Odpowiedziały jej jedynie kozy. Po drugiej stronie drogi zobaczyła w kępie dużych drzew liściastych częściowo ukryty drogowskaz do San Biagio. W każdym innym miejscu na świecie pomyślałaby, że śni, ale we Włoszech przyzwyczaiła się, że na kościół można się tak samo natknąć przy jakiejś bocznej drodze, uczęszczanej przez kozy, jak i na *piazza grande*.

Przecisnęła się do drogowskazu i pchnęła zardzewiałą furtkę. Kilkanaście kóz wyskoczyło przed nią i pobiegło zarośniętą dróżką, którą doszła do następnej furtki, jak przypuszczała, nieużywanego tylnego wejścia na teren kościoła.

Więcej kóz dołączyło do niej, kiedy przedzierała się przez zarośla. Kiedy chaszczki się skończyły, zobaczyła zwykłe, drewniane drzwi w wielkim złotym murze. Był to kościół, więc z pewnością jest tu również ksiądz, na pewno jej pomoże, albo przynajmniej będzie telefon. Albo może zastanie tu pasterza kóz, który wstąpił do kościoła, żeby się pomodlić lub napić łyk wody święconej.

Pchnęła drzwi.

I pomyślała, że śni.

San Biagio jest imponujące z zewnątrz, ale pozbawione ozdób, wręcz ascetyczne.

Jego wnętrze przeciwnie. Freski w kolorach bladej żółci, błękitów i różów, z wizerunkami cherubinków i świętych, ozdabiały łukowate sklepienia i grube mury, zakończone poślacanymi gzymsami.

Światło, które wpadało przez duże okna w wielkiej, centralnej kopule, oświetlało miejsce przed ołtarzem, zalany delikatniejszą poświatą od strony witrażowego okna przedstawiającego Marię Pannę.

Lily podniosła rękę, żeby osłonić oczy, i wytarła buty – przeklęte kozy – nim ruszyła w stronę ślicznego ołtarza z okazałymi posągami i dekoracjami kwiatowymi wyższymi od niej.

Kiedy znalazła się bliżej, ktoś wstał z pierwszej ławki.

- Lily?

Serce zabiło jej mocniej. Światło, wpadające z góry i z tyłu, sprawiło, że jego twarz pozostawała w cieniu, ale wszędzie by go rozpoznała. Po sylwetce. Po ramionach, biodrach, głowie lekko przechylonej na bok.

To był Daniel. Wyglądał jak anioł.

Zyskałyśmy ile? Dziesięć minut? – zapytała Violetta, kiedy usłyszała, jak dzwonek spadł na podłogę *pasticcieri*.

– Tak, i sto euro – podkreśliła Luciana.

– Proszę, podaj mi swój szal, żebym mogła nim pomachać wdowie Ciacci – poprosiła Violetta, otwierając okno. – Wdowa Mazzetti już czeka ze stoperem, ale naszym jedynym prawdziwym powodem zmartwienia jest wdowa Del Grasso. Okazało się, że boi się kóz.

– Jak więc odciągnie starego Caprianiego od stada?

– Ma grappę, a co ważniejsze – kawałek *crostata di more* wdowy Benedicti. Jeśli to okaże się za mało, jest taki słaby, że przewróci się, jak go mocniej popchnie. A co z tobą, idziesz?

Luciana pokręciła głową, pokazując swoją zabandażowaną w kostce nogę.

– Nie tym razem, Violetto. Będziesz sobie musiała poradzić beze mnie.

Lily – znów powiedział Daniel, za nim płonęło złote światło w środku kościoła.

Nie mogła zebrać myśli. Nie była na to przygotowana. Odwróciła się i skierowała ku głównemu wejściu do kościoła. Zaczęła się zmagać z ciężkimi drzwiami, pchała je, zamiast ciągnąć, wreszcie udało jej się otworzyć jedną połowę i do środka wpadła mała kózka. Ta sama, która odłączyła się od matki? Biegła prosto na nią, przestraszona jak szczeniaczek albo źrebak. Odepchnęła Lily od drzwi, które znów się zatrzasnęły.

Młode podbiegło do Daniela, idącego nawą główną.

– Meee – zabeczało, potem zatrzymało się, zziajane, i zaczęło patrzeć to na Lily, to na Daniela.

Teraz jeszcze powinien się pojawić święty Franciszek z Asyżu, a Lily uwierzyłaby, że to jakiś niebiański żart, a nie prawdziwe życie.

– Nie spotkałaś przypadkiem przed kościołem świętego Franciszka z Asyżu? – zapytał Daniel.

Gapiała się na niego z niedowierzaniem.

A potem się roześmiała.

Ciągle im się to przytrafiało: jedno coś sobie pomyślało, a drugie mówiło to na głos. Chociaż nie pamiętała, kiedy było tak ostatni raz, tyle czasu upłynęło. Jakie to dziwne, że zdarzyło się właśnie teraz.

Jej śmiech rozniósł się echem w pustym kościele, wydawał się głośniejszy niż w rzeczywistości.

– Co tu robisz? – zapytała go.

– Byłem w drodze do Pienzy, żeby spotkać się z nowym klientem, i utknąłem na drodze przez te kozy. A ty?

– Kozy. No tak.

Spojrzał na młode kręcące się koło ławki, a potem znów na Lily.

– Przepraszam za wczoraj, Lily.

To było zaledwie wczoraj? Wydawało się, że upłynęła cała wieczność.

– Przepraszam za wszystko. Szukałem cię i nigdzie nie mogłem cię znaleźć. Poszedłem do *pasticcerii*, ale...

Lily, dziwnie spokojna, usiadła na końcu najbliższej ławki. W kościele było tak chłodno, cicho.

Daniel usiadł w ławce po drugiej stronie przejścia.

Przez chwilę słychać było jedynie kózkę, drepczącą wokół ołtarza.

– Wszystkiego najlepszego z okazji twoich wczorajszych urodzin – powiedziała Lily.

– Dziękuję. Skończyłem czterdzieści sześć lat.

– Co się stało, Danielu? – zapytała Lily. – Muszę to wiedzieć.

– Lily, chyba lepiej, jak...

– Proszę, naprawdę muszę to wiedzieć. Musisz być ze mną szczerzy. W przeciwnym razie nie ma sensu, żebyś w ogóle ze mną rozmawiał.

Miała rację. Naturalnie, że miała rację, było tylko jedno ale: bez względu na to, jak jej to powie, prawda ją zabolii.

Mógł wszystko przedstawić oględnie, powiedzieć, że szczegóły się nie liczą, że nie mają znaczenia, że nie chce jej sprawiać dodatkowego bólu, ale wątpił, czy to możliwe.

Chciał wszystko wyznać, a nie było to lekkie ani łatwe, ani przyjemne.

– Przyjechałem tutaj jak zwykle w interesach – mówił beznamytnie. – Spotkanie nie przebiegło najlepiej, więc poszedłem później do baru i poznałem tam Eugenię.

– Kiedy to było?

Siedział ze spuszczoną głową, zacisnął dłonie, aż pobladły mu knykcie.

– Chyba wiesz kiedy – powiedział cicho. – Właśnie przez to „kiedy” jest to tysiąc razy gorsze.

Łza potoczyła jej się po policzku. Właśnie przez to „kiedy” było to tysiąc razy gorsze.

– Jak mogłeś? Jeśli mnie kochałeś, jak mogłeś?

Gdyby istniała odpowiedź, która mogła wymazać ohydę tego czynu. Ale nie istniała, więc Daniel trzymał się prawdy.

– Nie wiem. Nie wiem. Ale to była pomyłka. Ogromna pomyłka i wiedziałem o tym od razu, ale już było za późno.

Życie tylu osób zniszczyła jego pomyłka, pomyślała Lily. Jego głupota, jego egoizm, jego bezmyślność. Jego własne życie, jej, Eugenii, Franceski i tego małego chłopczyka, którego nigdy nie poznała.

– Ale znów się z nią spotkałeś.

– Tak, kiedy ponownie przyjechałem do Włoch. Ale my nigdy... Ja nigdy... Oświadczyła, że jest w ciąży.

Lily zamknęła oczy i zobaczyła okrągły, pełny brzuch, o którym marzyła całe życie, poczuła bicie małego serduszka.

– Tak mi przykro – szepnął. I mówił szczerze, z głębi serca. Ale wiedział, że to nie wystarczy. Czym były przeprosiny w porównaniu z jego winą? Pustymi słowami.

– Kochasz ją?

– Nie.

– Kiedykolwiek ją kochałeś?

– Nie. – Pokręcił głową. – Kocham cię, Lily, naprawdę, ale byłem... Samotny. I głupi. A potem dowiedziałem się o... O dziecku. – Starał się nie zranić jej tym słowem, ale to było niemożliwe.

– Czułem, że nie mam wyboru.

– Czułeś, że nie masz wyboru – powtórzyła zimno, głucho.

– Lily, po tym, co razem przeszliśmy, nikt nie mógłby podjąć innej decyzji w zgodzie ze swoim sumieniem.

– Nie mów mi o sumieniu, Danielu!

– To była sytuacja bez wyjścia.

– Cóż, tylko i wyłącznie przez cię.

– Tak. Po prostu nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

– I postanowiłeś przez lata trzymać to w tajemnicy przede mną. Wyobrażasz sobie, jaka się czuję głupia? Zdradzona?

Daniel przypomniał sobie Ingrid. „Otwórz przed nią serce – poradziła mu. – Jeśli ją kochasz, jeśli chcesz ją odzyskać, daj jej to, czego potrzebuje”.

Nie miał nic do stracenia. Lily słuchała go i nie było sensu kłamać, upiększać prawdę czy cokolwiek ukrywać.

– Chciałem ci wszystko wyznać. Ale byłaś taka krucha po historii z małą Grace, bałem się, że będzie to ponad twoje siły. A potem...

– Co?

– Mijał czas, Lily, twoja wrażliwość przemieniła się w coś innego, Francesca miała już dwa latka, wiedziałem, że zbyt długo zwlekałem, poza tym...

– Poza tym co?

– W ogóle przestałaś mnie zauważać.

– Więc to moja wina?

– Proszę! Wiem, że wszystko to wyłącznie moja wina. Ani na moment nie daję mi to spokoju. Nie widzisz tego?

Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co widzi. To był Daniel, jej Daniel, ale zniekształcony przez to straszliwe oszustwo, które na zawsze pozostanie między nimi.

– Co to w ogóle znaczy, że przestałam cię zauważać?

Zaczęła płakać, nim zdołał jej odpowiedzieć – nad swoimi dziećmi, które straciła, nad jego pomyłką, nad tym wszystkim, co sprawiło, że się od siebie odsunęli i już nic tego nie zmieni. I dlatego, że rzeczywiście przestała go zauważać. Wiedziała, że jest samotny, bo ona też była samotna, ale łatwiej było oddawać się pracy albo jakimś rozrywkom, albo nalać sobie kolejny kieliszek wina, niż cierpieć.

– Poszłaś swoją własną drogą, Lily.

– Mogłeś pójść ze mną. – Nie przestawała płakać. – Mogłeś coś zrobić.

– Nieprawda. Mogę być z tobą tylko wtedy, kiedy mi na to pozwalasz. Zawsze tak było. Jesteś gwiazdą, za którą ja podążam.

Lily też nie miała nic do stracenia.

– To przez malutką Grace. – Łkała, nie mogąc znieść bólu rozrywającego piersi. – Przez to, że musieliśmy ją oddać. Myślałam, że wiem, co to znaczy mieć złamane serce, ale ten fotelik samochodowy, Danielu, ten przeklęty pusty fotelik samochodowy... Nie

powinnam go była wyrzucić na śmietnik. Powinnam go odesłać mamie Grace. Prawdopodobnie nigdy nie miała fotelika samochodowego. Prawdopodobnie nigdy nie miała nawet samochodu.

– Chcę usiąść obok ciebie – błagał, łzy błyszczały mu na policzkach. – Chcę cię objąć.

– Nie. – Zniosła się płaczem. – Za późno.

– Lily, proszę. Pozwól mi usiąść obok ciebie.

– Nie! – krzyknęła, chociaż nigdy nie czuła się bardziej osamotniona niż w tej chwili. – Musiałeś kochać Eugenię. Nadal się z nią widywałeś, bo przecież jest ten mały chłopczyk, Ernesto. Są zdjęcia was wszystkich, udających szczęśliwą rodzinę.

Skinął głową, otarł twarz wierzchem dłoni.

– Ernesto nie jest moim synem, wiem, chociaż Eugenia twierdzi inaczej.

– Jest podobny do ciebie!

– Jest jeszcze bardziej podobny do pewnego turysty Skandynawa, który pojawił się tutaj, żeby, jak się okazało, zrywać nie tylko winogrona. Nigdy nic nas nie łączyło, Lily. To była przelotna miłostka.

– Głupie gadanie! Kobieta wie...

– Lily, Eugenia choruje. I to od wielu lat. Wymaga troskliwej opieki. Carlotta utrzymuje kontakt z tamtym turystą, ale on nie może w żaden sposób pomóc Eugenii, więc ja robię, co mogę, dla Franceski i dla tego chłopca. Możemy udawać szczęśliwą rodzinę, ale z całą pewnością nią nie jesteśmy.

– Dajesz im pieniądze?

– Daję im pieniądze. Chociaż...

Pociągnęła nosem.

– Chociaż co?

Wypuścił powietrze z płuc.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Moje interesy nie idą najlepiej. Jedna z dużych korporacji odebrała mi najlepszych dostawców. Nie mogę mieć do nich pretensji, oferują im więcej niż ja, i na dodatek wyjazdy do Disneylandu, dasz wiarę? Został mi tylko jeden producent brunello i dwóch – *vino nobile*. Nie wiem, jak długo uda mi się ich jeszcze zatrzymać przy sobie.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Chcesz pieniędzy.

Roześmiał się.

– Nie, Lily. Nie chcę pieniędzy. Chcę być uczciwy.

– Cóż, przypuszczam, że będziesz mógł się domagać ode mnie alimentów.

– Lily, proszę. Nie zamierzam występować o alimenty.

– W takim razie co zamierzasz zrobić?

– Nie mam pojęcia. Ale wiesz co? Pomimo tego, co zrobiłem, mimo wszystko cieszę się, że dowiedziałaś się o Francesce.

Mimo wszystko Lily też była z tego zadowolona.

– Jest bezpieczna pod opieką swojej mamy?

– Nie jestem pewien.

– Więc co zamierzasz zrobić, Danielu? I co sobie myślałeś, porzucając ją w taki sposób? Jesteś jej ojcem! Nie możesz jej zostawić, kiedy jest ciężko. To tchórzostwo.

– Wiem, że to tchórzostwo, ale potrzebowałem trochę czasu, żeby się zastanowić, zdecydować, co zrobić z tym całym bałaganem, bo Francesca potrzeba czegoś więcej niż ojca przez tydzień raz w miesiącu i Carlotty, kiedy jej mama nie czuje się dobrze. Ale myślałem również o tobie, Lily. Myślałem o tym, że zawsze chciałem mieć z tobą dzieci, i że nigdy tak się nie stanie.

Kózka, wciąż drepcząca wokół ołtarza, nagle uniosła łebek, jakby usłyszała, że ktoś ją nawołuje, potem potruchtała główną nawą w stronę drzwi i się przed nimi zatrzymała.

– Powinniśmy ją wypuścić? – Lily wstała. – Chyba szuka swojej mamy.

– Nie odchodź. – Daniel położył jej dłoń na ramieniu.

Spojrzała na jego dłoń: na długie palce, które odziedziczyła po nim Francesca, kwadratowe paznokcie, złotą skórę.

– Co według ciebie powinnam zrobić?

– Nie odchodź – powtórzył.

Odsunęła się od niego, ale nie odeszła.

„Nie bądź taką zimną, samotną kobietą” – usłyszała, jak mówi Rose, a wtóruje jej Dermott, potem przyłączył się do nich pewien kremowy deser. Z jednej strony chciała przytulić się do męża, powiedzieć mu, że potrafi przeboleć to co zrobił i tego konsekwencje,

że póki on ją kocha, a ona jego, wszystko będzie dobrze. Znajdą jakieś wyjście.

Ale te głazy wciąż jej przeszkadzały i obawiała się, że nie uda jej się ich usunąć, nawet gdyby tego bardzo chciała.

– Ja wiem, myślisz, że nigdy mi nie wybaczysz, Lily. – Daniel nie wstydził się leż. – Zrobię wszystko, o co mnie tylko poprosisz. Wyjadę stąd i wrócę do domu albo dam ci rozwód i już nigdy nie będziesz mnie musiała oglądać. Zrobię wszystko, o co mnie tylko poprosisz.

Zastanowiła się, czy jest coś, co mógłby zrobić, żeby wszystko naprawić.

Kózka smutno beczała pod drzwiami. Potrzebowała matki. Każdy potrzebuje matki.

– Kocham cię, Lily Turner – powiedział Daniel zdesperowany. – Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochał. Bez względu na wszystko. Kocham cię.

Ruszyła w głąb kościoła. Kochał ją. Zawsze ją kochał i zawsze będzie ją kochał.

– Zaczekaj – zawołał. – Lily, proszę, zaczekaj.

Zatrzymała się i wyciągnęła rękę, ale zamiast drzwi dotknęła zimnego muru kościoła.

Wierzyła mu. W tym cała rzecz. Wierzyła, że zawsze ją kochał i zawsze będzie kochał. Bez względu na wszystko. To za mało, żeby usunąć głazy, ale i tak mogła coś zrobić, dotrzymać obietnicy.

Już nie była tą zimną, samotną kobietą, która przyjechała do Włoch. Wiedziała o tym. Zmieniła się. Przesunęła dłonią po murze i uchyliła drzwi, żeby wypuścić kózkę. Potem znów je zamknęła i odwróciła się do swojego męża.

– Dobrze – powiedziała. – Zaczekam, lecz nie na ciebie. Zaczekam, aż załatwisz właściwą opiekę dla Franceski, ale potem... Przykro mi, Danielu. Tylko tyle mogę zrobić.

Kiedy wyszli z kościoła, rozsunęły się firanki po obu stronach konfesjonału i Violetta razem z Fiorellą wyszły do zalanej słońcem nawy.

– Luciana będzie rozczarowana – powiedziała smutno Violetta.

– Tak, ale na szczęście jeszcze nic nie przepadło – pocieszyła ją Fiorella. – Mogło być gorzej. Wyobraź sobie, co by było, gdyby Lily przejechała przez stado kóz. Nie, żeby mi szczególnie zależało na kozach, chociaż kozi ser ma swoje zalety. Ale mogła teraz być w drodze do Rzymu i Ameryki, i nigdy więcej byśmy jej nie zobaczyły. Przecież porozmawiała z nim, prawda? A musisz przyznać, że jest bardzo przystojnym mężczyzną. I zostanie tu, no nie? Twój plan się powiódł.

– Cóż, nie zakończył się porażką – przyznała Violetta.

Fiorella poprawiła okulary na nosie.

– Lubisz mnie teraz chociaż troszkę? – zapytała.

– Nie czuję do ciebie antypatii – odparła Violetta, kiedy wyszły przed kościół. Prawdę powiedziawszy, Fiorella spadła im z nieba. Luciana miała rację, lidze potrzebny był powiew świeżego powietrza, a Fiorella zdecydowanie potrafiła to zapewnić.

Poza tym umiała wysyłać SMS-y.

– Lepiej skontaktuj się z Del Grasso, niech poprosi Maria, żeby odnalazł Carlottę i kazał jej przyprowadzić Francescę do *pasticerii*.

– Doskonały pomysł! – Fiorella klasnęła w dłonie. – Coś mi się wydaje, że będzie więcej *amorucci*.

Kiedy dwie godziny później Lily weszła do kuchni, siostry Ferretti wcale nie zrobiły zdziwionej miny.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała Violetta, jakby Lily w ogóle nie zamierzała wyjechać. – Mamy problem z wykrawaniem ciasteczek w kształcie serca. – Podniosła w górę kilka rzeczywiście bezkształtnych *cantucci*, a potem szurając nogami, podeszła do Lily i wcisnęła jej do ręki foremkę.

Kiedy Lily patrzyła na foremkę, rozległ się dzwonek nad drzwiami i do pomieszczenia wbiegła Francesca.

– Och, Lillian! – zawołała. – Och, *amorucci*!

– W ramach pomocy sąsiedzkiej w tym tygodniu opiekujemy się Francescą – wyjaśniła Violetta, wysypując na stół mąkę i cukier. – I postanowiłyśmy zgodnie z twoją radą pokonać *porca* Borsolinich w ich własnej grze. Będziemy robiły wszystko to, co oni, tylko w kształcie serca. Więc dobrze, że jesteś.

Francesca objęła Lily i wtuliła buzię w jej miękkie kaszmirowy kardigan.

– Dobrze, że jesteś.

Nie było dość słów we wszystkich językach świata dla wyrażenia tego, co czuła Lily w tamtej chwili: jakąś złożoną mieszaninę bólu i radości. Parę razy nabrała powietrza głęboko w płuca, wdychając truskawkowy zapach szamponu Franceski, i zadawała sobie pytanie, co poza tym, że miała czyste włosy, zmieniło się dziś w dziewczynce.

– Ej, gdzie są twoje skrzydła, Dzwoneczku? – Uświadomiła sobie, że właśnie ich brakuje.

– Tata zanieś je do naprawy. A zresztą, i tak już z nich wyrosłam.
– Przystała obejmować Lily w pasie i oblizwała usta na widok mis z suszonymi owocami, orzechami i czekoladą. – Zrobimy teraz *amorucci*?

Staruszki spojrzały wyczekująco na Lily, która poczuła, jak foremka do ciasta delikatnie odciska kształt serca w jej dłoni.

– Tak – odparła Lily. – Chyba tak. – I zanurzyła ręce w tym, z czego powstanie pierwsza handlowa partia *amorucci* w *pasticcieri* sióstr Ferretti.

No bo cóż innego mogła zrobić? Była tutaj, Francesca była tutaj, roztopione masło, żurawiny i kandyzowana skórka cytrynowa były tutaj. Jedyne co mogła zrobić, to wziąć się do pracy. Co więcej, kiedy minęła pierwsza godzina, podczas której Lily mieszała składniki, piekła, schładzała, wykrawała ciasteczka, znów je piekła, schładzała i próbowała, zaczęła zapominać o swoim nieszczęściu i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Nie wiedziała, skąd się wziął, ale co rusz wracał.

Wieczorem udała się do kawiarenki internetowej na *piazza grande* i wysłała e-mail do Heigelmana, w którym informowała, że niespodziewanie zatrzymały ją we Włoszech ważne sprawy rodzinne, więc nie wróci szybko. Powinna była zadzwonić; e-mail nie jest właściwym sposobem informowania o nieobecności. Ale zwyczajnie nie potrafiła sobie wyobrazić, jak tłumaczy szefowi, nie wybuchając śmiechem, że piecze we Włoszech ciasteczka z nieślubną córeczką swojego męża i leciwą właścicielką cukierni o wygórowanych wymaganiach. Absurdalne, ale w niewytłumaczalny sposób słuszne.

Lily nigdy nie spędzała czasu w kuchni. Teraz odkryła ze zdumieniem, że można tu znaleźć pocieszenie. Prosty proces mieszania zwykłych składników, by stworzyć coś nowego i cudownego, wciąż na nowo ją inspirował. To takie nieskomplikowane. I Francesca nieustrudzenie jej pomagała. Razem tworzyły kolejne partie pysznych *amorucci*. Były w swoim własnym świecie.

W ciągu dwóch dni zrobiły dość *amorucci*, by zapelnąć nimi wszystkie misy w *pasticcieri*, więc Lily z małą pomocą Luciany przekonała Violetkę, by wpuścić do sklepu klientów.

Pierwszego dnia niewielu turystów zapuściło się dalej niż do cukierni Borsolinich. Prawdę mówiąc, o ile zorientowała się Lily, do sklepu sióstr Ferretti przychodziły jedynie drobne starsuszki, bardzo przypominające same właścicielki *pasticcerii*. Niczego nie kupowały, ale chętnie brały bezpłatne próbki, które wystawiły Lily i Francesca. I chociaż nie zapełniały kasy pieniędzmi, turyści wkrótce zauważyli tłum w *pasticcerii* i zaczęli coraz częściej zaglądać do środka, by kupić *amorucci*.

– To oplacalne przedsięwzięcie – stwierdziła Violetta, patrząc, jak Francesca odlicza resztę dla postawnej cudzoziemki, która kupiła sześć torebek ciasteczek we wszystkich sześciu smakach. To Francesca wpadła na pomysł, żeby pakować *amorucci* w przezroczyste celofanowe torebki, przewiązane różowymi wstążeczkami w małe, czerwone serduszka. Trudno było się im oprzeć.

Po tygodniu uśmiech na twarzy Lily stał się jej znakiem szczególnym. Godziny spędzone w kuchni ze starszuskami i Francescą należały do najszczęśliwszych, jakie pamiętała. To nie było prawdziwe życie, to pieczenie ciasteczek w słodko pachnącej kuchni gdzieś w Toskanii z dzieckiem, które nie było jej. Ale chwile, kiedy stały obok siebie, tocząc wałki z ciasta, albo kiedy Lily wycierała czekoladę z czubka noska Franceski, albo kiedy próbowały nauczyć Violetkę żonglowania, z pewnością były prawdziwe.

Popołudniami Daniel przychodził po córkę. Początkowo uśmiech zniknął z twarzy Lily, kiedy pojawiał się w drzwiach. Trudno jej było na niego patrzeć, nie mówiąc już o rozmowie z nim, ale po jakimś czasie zaczęła traktować jego wizyty jak coś powszedniego.

Stwierdziła nawet, że patrzy na zegarek, czy Daniel się nie spóźnia.

– Mogę cię zaprosić na drinka? – spytał ją pewnego popołudnia.
– Kiedy zaprowadzę Francescę do Carlotty?

Lily czuła na karku gorące spojrzenie Violetty, zobaczyła, że Francesca przygląda się jej uważnie. Nie miała ochoty na drinka; na samą myśl o tym ogarniały ją mdłości, ale chciała się dowiedzieć, co nowego u Eugenii, więc z ociąganiem się zgodziła.

Umówili się w małym barze na małym Piazza San Francesca, z którego było widać miedzianą kopułę San Biagio.

Zobaczyła go już z daleka i ją samą zaskoczyło spostrzeżenie, jaki jest przystojny, bo nie przypuszczała, że spojrzy jeszcze na niego w taki sposób. Dwie ładne dziewczyny przeszły obok stolika, przy którym siedział, jedna zdaniem Lily zrobiła to bardzo ostentacyjnie; z pewnością też patrzyła na Daniela w taki sposób. Ale on nawet jej nie zauważył.

Wypatrywał kogoś innego. Na ułamek sekundy ścisnął się jej żołądek.

– A więc co nowego u matki Franceski? – spytała, gdy tylko usiadła.

– Przebywa w domu opieki w Umbrii. Już wcześniej się tam leczyła. Jest w dobrych rękach, ale nie wiemy, jak długo potrwa jej pobyt tym razem. Musi brać odpowiednie leki.

– A co z Francescą w tej sytuacji?

– Carlotta stara się jak może pogodzić pracę z opieką nad Ernestem, ja też staram się pracować i opiekować Francescą najlepiej jak potrafię, ale mówiąc szczerze, Lily, ty, siostry Ferretti i to pieczenie... No cóż... Niebiosa mi cię zesłały. – Uśmiechnął się. – Moja Lily i pieczenie w jednym zdaniu. Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję takiego dnia.

– Chyba oboje nie spodziewaliśmy się, że dożyjemy takich dni – odparła Lily ostrym tonem; przypomniawszy jej się matka. – Przepraszam – dodała i pokręciła głową do kelnerki, kiedy Daniel zamówił kieliszek czerwonego wina.

– Lily, wiem, że nie miałaś dużo czasu na rozważania – zaczął, kiedy zostali sami – ale gdybyś mogła...

– Nie, Danielu – przerwała mu. – Proszę, nie. Jestem tutaj z uwagi na Francescę, bo tak się składa, że mogę jej pomóc i chcę jej pomóc, ale nie będę tego mogła robić wiecznie. Muszę wracać do pracy; kończy mi się płatny urlop. Więc nie rób sobie zbyt wielkich nadziei.

– Nic na to nie poradzę, że robię sobie wielkie nadzieje. I jeśli chodzi o ciebie, Lily, zawsze będę sobie robił wielkie nadzieje.

– Cóż, to już twoje zmartwienie.

– Przepraszam, nie zamierzałem cię zdenerwować. To ostatnie, czego bym chciał. Cieszę się, że przyszłaś.

– No cóż, spróbujmy ograniczyć się do rozmowy o Francesce, dobrze? Jakie masz plany na dalszą przyszłość, jeśli chodzi o nią?

– Próbuję to teraz ustalić. Może niania mogłaby się nią zająć, póki Eugenia nie stanie na nogi, ale trudno powiedzieć, ile czasu to potrwa, a ja muszę wcześniej czy później wrócić do Nowego Jorku, by spróbować sprzedać trochę wina, żeby mnie było stać na opłacenie opiekunki. Poza tym jest jeszcze ciocia, mieszka w pobliżu Orvieto, ale Francesca musiałaby zmienić szkołę, a z trudem odnalazła się w szkole w Montevedovie, więc...

Oboje utkwili wzrok w zapierających dech swoim pięknem zielonych wzgórzach Val D'Orcia. O zachodzie słońca niebo przybrało barwę różowej macicy perłowej. Panował niesamowity spokój.

– Francesca przestała nosić swoje skrzydła. – Daniel przerwał ciszę. – Spytałem ją, czy mam je oddać do naprawy, tak jak to robiłem sto razy w ciągu ostatniego roku. Ale tylko je zdjęła i mi je dała.

Lily się uśmiechnęła.

– Tak, powiedziała mi. Oświadczyła, że „wyrosła” z nich.

– Powiedziała ci to?

Skinęła głową i zagryzła wargi, modląc się, żeby jej nie powiedział, jaką byłaby wspaniałą matką. Nie zniosłaby tego. Ale Daniel się nie odezwał.

– Myślisz o Grace? – spytała ni stąd, ni zowąd. – Kiedy myślisz o Francesce albo rozmawiasz z nią, albo patrzysz na nią, myślisz również o Grace?

– Naturalnie.

– Nie mogę powstrzymać się od rozmyślania, co teraz robi. Jak sobie radzi w szkole, co słyhać u jej mamy... U Brittany.

Milczał przez chwilę, a potem się odwrócił i spojrzał na żonę. W jego zielonych oczach malowała się niepewność.

– Lily, nie wiem, czy mamy przed sobą wspólną przyszłość, czy dasz mi jeszcze jedną szansę, ale cokolwiek się wydarzy, nie chcę, żebyśmy mieli przed sobą jakieś tajemnice.

– Są jeszcze jakieś? Proszę, Danielu, nie wiem, czy...

– Brittany poszła na uczelnię. Została nauczycielką, tak jak chciała. Dwa lata temu poślubiła faceta z dwiema córeczkami, Grace

chyba je polubiła. Mądra z niej dziewczynka, ma dobre stopnie w szkole, lubi lekcje gimnastyki, chodzi na zajęcia z baletu, jest uczulona na orzechy, gra na pianinie, chciałyby mieć kucyka, ale mama zgodziła się jedynie na kota.

Lily zaczęła płakać.

– Powiniennem być ci o tym powiedzieć – ciągnął. – Kiedy wyjechaliśmy z Tennessee, zatrudniłem prywatnego detektywa, który co sześć miesięcy przysyła mi wiadomości o Grace. Nie wiem, czy słusznie postąpiłem. Ale chciałem wiedzieć, chciałem mieć pewność, że jest szczęśliwa, żeby móc ci o tym powiedzieć i też sprawić ci radość. Nigdy nie nadarzył się odpowiedni moment. Więc ci nie powiedziałem o tym i nie sprawiłem ci radości, ale bardzo tego chciałem.

– Co jeszcze? Co jeszcze wiesz o Grace?

– Jest mała jak na swój wiek, ma ciemne włosy, jeździ na różowym rowerze.

– Mam nadzieję, że wkłada kask.

– Wkłada. Też jest różowy, z fioletowymi wstążkami. Mam zdjęcie...

– Och, Danielu...

Przysunął krzesło bliżej do niej, ale wiedział, że lepiej będzie, jeśli jej nie obejmie. Podał Lily papierową serwetkę, żeby mogła wytrzeć oczy. Dwie dziewczyny przy sąsiednim stoliku spojrzały na nią i zaczęły coś szeptać, ale Lily było to obojętne.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. – Uspokoili się. – Nie mogę uwierzyć, że kazałeś śledzić małą Grace.

– Wiem i przepraszam za to.

– Nie, nie powinieneś przepraszać. – Znów pojawiły się łzy.
– Dawaleś mi szczęście, Danielu. Kiedyś dawaleś mi szczęście.

– Myślę, że znów mógłbym ci uszczęśliwić. Gdybyś tylko dała mi szansę.

– Prosisz o zbyt wiele. Nie wiem, jak to zrobić.

– Mogę ci pomóc.

– Nie wydaje mi się, że mogłabym ci wybaczyć.

– Powinnaś.

– Ale nie potrafię. Co się stało, to się nie odstanie. – Wstała, wytarła twarz i oddała mu pogniecioną papierową serwetkę.

– Bardzo ci dziękuję, że powiedziałaś mi o małej Grace. Wprost nie potrafię wyrazić, jak bardzo to ukoilo moje serce.

– Przepraszam, Lily. Nigdy nie przestanę cię przepraszać.

– Przestań, Danielu. Jestem zmęczona słuchaniem tego. To nic nie zmieni.

– Może nie, ale czy nie jest lepiej nie mieć żadnych tajemnic?

– Może dla ciebie. To ty miałaś przede mną tajemnice.

– Tak. No cóż, skoro już przy tym jesteśmy, mam jeszcze jedną – powiedział, a w jego oku dostrzegła znajomy błysk. – Nie przepadam za koszulkami polo.

Roześmiała się i musiała się na siłę powstrzymać przed wyznaniem mu, że tak czy owak kupowała je dla niego Pearl. Nie będzie mu robić przykrości, pomyślała, idąc przez *piazza grande*. Wciąż coś do niego czuła. Nie była pewna, czy to miłość, ale z całą pewnością nie darzyła go nienawiścią. A więc co to takiego?

Właśnie wtedy jej uwagę zwrócił płacz małego dziecka. Zobaczyła, że to ta sama dziewczynka, którą spotkała pierwszego dnia swojego pobytu w Montevedovie, tylko tym razem czerwona parasolka osłaniała wózek przed słońcem, nie przed deszczem.

Ten sam dziadek porozumiewawczo mrugnął do Lily, gdy ją mijali, a ona spojrzała na małą, tłuściutką dzidzię, głośno wrzeszczącą w wózku, gniewnie wierzgającą w powietrzu nóżkami. Rączki zacisnęła w pięstki i też nimi wymachiwała.

Staruszek nie zauważył, że opaska na głowę zsunęła się dziewczynce na jedno oko, więc Lily wyciągnęła rękę i delikatnie ujęła go pod łokieć, żeby się zatrzymał, a potem pochyliła się i poprawiła opaskę na głowie dziewczynki. Dotknęła palcami gorącej, wilgotnej główki dziecka, przez króciutką chwilkę pogłaskała mięciutkie, niemal niewidoczne włoski. Dziewczynka typnęła na nią jednym okiem i wydarła się jeszcze głośniejsze.

– *Grazie*. – Staruszek z uśmiechem skinął głową. – *Grazie*. – I ruszył przez *piazza*, pchając wózek przed sobą. Lily stała i spoglądała za nimi, póki nie zniknęli za wzgórzem, ale dopiero w połowie drogi do *pasticcerii* uświadomiła sobie, że płacz dziewczynki nie przypisał, jej o skurcz żołądka.

Tydzień później wdowy siedziały w podziemnej kwaterze głównej, zając się *amorucci*, kiedy nagle wdowa Ercolani odezwała się ni stąd, ni zowąd:

– Kim jest ten starszy pan, z którym wczoraj cię widziałam za dworcem autobusowym? – spytała Fiorellę ze złośliwym błyskiem w oku. – Byliście bardzo pochłonięci rozmową.

Fiorella zerknęła na staruszki, które z zaciekawieniem nastawiły uszu.

– To nie tak, jak myślicie. Uwierzcie mi, nie tknął mnie palcem.

– Ale co to za jeden? – nalegała Ercolani. – Wolisz, żebym ja im powiedziała?

– Śledziłaś mnie? – rzuciła Fiorella oskarżycielskim tonem.

– Owszem – odparła wdowa Ercolani hardo. – I bardzo dobrze, w przeciwnym razie skąd dowiedziałyby się członkinie ligi, jaka z ciebie oszustka? Szarlatanka, pozerka i oszustka.

– Oszustka? – zdumiała się Benedicti. Polubiła Fiorellę. Zdaje się, że wszystkie ją polubiły, z wyjątkiem Ercolani.

– Szarlatanka? – Mazzetti też się zdziwiła.

– Pozerka? – zawtórowała jej Ciacci.

Violetta i Luciana tylko spojrzały na siebie i wzruszyły ramionami. Już jakiś czas temu doszły do wniosku, że kiedy się ma prawie sto lat, nic właściwie człowieka nie zdziwi.

– Tak – potwierdziła Ercolani. – A chcecie wiedzieć, dlaczego? Wcale nie jest wdową. Tam, za dworcem autobusowym, to był jej mąż. Żyje i jeśli sądzić po wyglądzie, doskonale się miewa.

Kobiety rozdziawiły usta, ukazując różny stopień braku użębienia.

Fiorella spojrzała na Violetę, która jedynie uniosła to, co jej zostało z brwi.

– Dobrze, dobrze, dobrze, przyznaję się – powiedziała. – Może nie jestem w takim stopniu wdową, jak to wam początkowo przedstawiłam. Ale naprawdę uciekł z moją siostrą i naprawdę mieszka w Neapolu.

– A Eduardo?

– Co Eduardo? Naturalnie Eduardo. Zawsze Eduardo. – Poprawiła okulary na nosie, zacisnęła dłonie w pięści, wyprostowała zgarbione ramiona i każdy by uznał, że jest gotowa się zmierzyć z mistrzem bokserskim wagi ciężkiej. Ale wtedy Fiorella Fiorucci zaskoczyła pozostałe kobiety, wybuchając głośnym, nieutulonym płaczem.

– Byłam samotna – wyszlochała. – Byłam samotna, odkąd Eduardo wyjechał na wojnę, a im jestem starsza, tym bardziej doskwiera mi samotność. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Włożyłam czerwone szpilki, a nikt nawet nie rzucił okiem na moje nogi. Pozostawałam niewidzialna, póki nie pozwoliliście mi wstąpić do waszej ligi. Jesteś wredna – wskazała wdowę Ercolani – ale pozostałe z was uważam za siostry. Nigdy nie byłam szczęśliwsza. – Płakała rzewnie, jakby chciała, by wszystkie utonęły w jej łzach.

– No, no – odezwała się wdowa Ciacci i przysunęła się do niej, by ją poklepać po ramieniu.

– Co tam robił twój mąż? – zapytała Luciana.

– On i moja samolubna, puszczańska siostra nie mają pieniędzy. Wrócił, bo chce sprzedać moje mieszkanie.

– Nie może pozostać w lidze – oświadczyła wdowa Ercolani. – Zapomnieliście, że ustaliłyśmy pewne zasady? – Trąciła wdowę Mazzetti, która nieco się zmieszala.

– Nie podejmujemy pochopnie decyzji – odparła Violetta. – Są zasady i zasady.

– Mamy dwa zbiory zasad? – zdziwiła się wdowa Mazzetti, która miała tylko jeden regulamin.

– Jeśli ostatnie wydarzenia czegoś mnie nauczyły – mówiła Violetta – to że czasy się zmieniły i my też musimy się zmienić. Fiorello,

jesteś mile widzianym nabytkiem w naszej lidze, a to, że nie jesteś wdową, nie ma znaczenia. Masz rację. Jesteś jak siostra. Wszystkie jesteśmy dla siebie siostrami.

– Przecież to nie to, co... – zaczęła wdowa Ercolani, ale prze-rwała jej wdowa Pacini, która bardzo nie lubiła, kiedy ktoś czuł się samotny.

– Zgadzam się z Violetta.

– Ja też – zawtórowała jej wdowa Benedicti.

– I ja – odezwała się wdowa Ciacci.

– I ja – dodała wdowa Mazzetti. – Chociaż może powinniśmy pomyśleć o zmianie statutu ligi.

– Wdowo Ercolani, chcesz jeszcze coś dodać? – spytała Violetta. Ale wdowa Ercolani wiedziała, że jej akcja się nie powiodła. Pokręciła głową i utkwiała wzrok w podłozde.

– W takim razie załatwione. Fiorello, ponownie witaj w Tajnej Lidze Owdowiały (albo nie) Cerowaczek. Przechodząc do kwestii cerowania: jak zapewne zauważyliście, sprawa Lily i Daniela posuwa się do przodu, chociaż powoli. Miałyśmy nadzieję, że przełom nastąpi szybciej, ale codziennie się widują, a jeśli chodzi o *amorucci*, wszystko toczy się nadspodziewanie dobrze.

Rozległo się chóralne *sí, sí, sí*. Naprawdę smakowały im *amorucci*.

– Tak czy owak, widać jak na dłoni, że Daniel nie stwarza żadnych problemów. Zrobi wszystko, żeby odzyskać Lily, jeśli wierzyć wnuczce wdowy Ciacci, która podsłuchiwała ich rozmowę w barze Francesca któregoś wieczoru i przekazała jej treść dalej. To Lily pozostaje nieufna.

– Dodam więcej – wtrąciła Fiorella. – Kupno trzech testów ciążyowych jednego dnia zwykle oznacza jedno.

Violetta o mało się nie zakrztusiła swoim *vin santo*, a Luciana zakasłała, przestraszona. Okazało się, że jednak bywają rzeczy, które potrafią je zaskoczyć.

– Lily jest w ciąży? – wychrypiała Violetta.

– Chyba tak – odparła Fiorella.

– Jest chuda jak szczapa – zauważyła Ercolani. – To nie może być zbyt zaawansowana ciąża.

- Racja – zgodziła się Violetta.

- W imię świętej Anny di Chisa – wykrzyknęła Benedicti. – To musi być dziecko Alessandra! W dzisiejszych czasach widać nawet nie trzeba się całkiem rozebrać.

- Racja – przytaknęła Violetta.

- Ależ to katastrofa! Jej miejsce jest przy Danielu, a nosi dziecko innego mężczyzny?

Violetta poczuła miłe ciepło, jakby okryła się puchową kołdrą. To jej nieomylny instynkt podpowiadał jej, co jest słuszne.

- Wszystko się zgadza. – Zachichotała. – Moje panie, podejdźcie bliżej.

Powinna skojarzyć fakty w chwili, kiedy nie ścisnął się jej żołądek, gdy usłyszała płacz tego tłusciutkiego bobasa na *piazza*.

Była zmęczona, blada, wyskoczyły jej jakieś dziwne pryszcze na zwykle gładkiej twarzy, bolała ją głowa, piersi stały się wrażliwe na dotyk. Większość tych objawów miała już wcześniej. Ale Lily wyrzuciła z pamięci tamto popołudnie na kanapie u Alessandra, więc nawet jej nie przebiegło przez myśl, że może być w ciąży, póki nie stwierdziła, że opóźnia jej się miesiączka.

Była w ciąży.

Wiedziała to. Te mdłości, niestosowność tego wszystkiego. Musiała być! Ale i tak pobiegła do apteki w dole miasteczka, by uniknąć wścibskich spojrzeń w aptecce bliżej *pasticcerii*, i kupiła test ciąży. Wynik wyszedł dodatni. Więc pobiegła jeszcze raz i kupiła jeszcze dwa testy. Wszystkie trzy pokazały to samo, ale nawet nie musiały – czuła to. Czuła to na skórze, we włosach, w oczach. Czuła to wszędzie.

I tym razem coś jej szeptało, że ten mały aniołek, który już zagnieździł się pod jej sercem, chociaż spowoduje tyle komplikacji, tak zawzięcie walczył, by osiągnąć ten etap, że będzie walczył do samego końca. Albo początku. Mocno wierzyła w to, że ten mały aniołek nie sprawi jej zawodu.

Siedziała w mikroskopijnej łazience, trzymając w dłoni trzeci test; kiedy pokazał pozytywny wynik, poczuła, jak przez całe jej ciało przebiega fala szczęścia, zatrzymuje się na chwilę w jej łonie, gdzie rozwija się nowe życie, mija szalone serce, by skończyć swoją wędrówkę w głowie, pełnej kłębiących się myśli.

Była w ciąży z Alessandrem.

To katastrofa. Cudowna, zdumiewająca, straszna, radosna, prze-
rażająca, nadzwyczajna katastrofa.

Wiązało się z tym tyle niedobrych rzeczy. Alessandro nie chciał
mieć z nią dziecka. Ledwo ją znał. Nawet go nie widziała od cza-
su tego cudownego poczęcia. Ona też nie chciała mieć dziecka
z Alessandrem.

Musiała pamiętać o swoim wieku, swojej pracy zawodowej,
swoim małżeństwie, o tym, że była we Włoszech i obiecała pomóc
Francesce, siostrze Ferretti przy robieniu *amorucci*...

Wiązało się z tym tyle niedobrych rzeczy. Ale plusów było więcej
niż minusów. Lily pragnęła tego dziecka bardziej niż czegokolwiek
na świecie. Zawsze chciała zostać matką.

Podeszła do okna panoramicznego i usiadła na parapecie,
by patrzeć, jak ten niesamowity krajobraz budzi się ze snu, tak jak
budziła się ona każdego ranka. Roześmiała się na głos sama do sie-
bie, zachwycona, a potem zagryzła usta, żeby się nie rozplakać.
Pragnęła tego dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– Lillian! – usłyszała głos Franceski z kuchni. – Gdzie jesteś,
Lillian?

– Jestem tutaj, na górze. Chodź, zapraszam cię.

Słyszac stukot sandałów na schodach, stwierdziła, że jej serce
przepelnia szczęście. Kiedy dziewczynka wpadła do pokoju, Lily
nie mogła powstrzymać łez.

– Co się stało? – zapytała Francesca, tulac się do niej. – Jesteś
smutna?

– Nie, skarbie, nie jestem smutna. Jestem szczęśliwa. Wiem,
że to wydaje się niemądre, ale czasami dorośli płaczą, kiedy są szczęś-
liwi.

– Dlaczego jesteś szczęśliwa?

Jej życie było tak dalekie od ideału, o jakim śniła, że aż komicz-
ne. Wyobrazila sobie gromadkę dzieci wokół siebie i Daniela,
kiedy będą się starzeć razem, zagubieni we mgle ich nieudanego
związku.

A jednak znalazła istotkę, którą traktowała niemal jak własną cór-
kę, a teraz, jeśli Bóg da i wszyscy święci, sama zostanie matką.

– Nie wiem. – Z całych sił objęła Francescę. – Po prostu jestem i już.

– Chodź. – Francesca wyciągnęła rączkę. – Siostry Ferretti mają dla ciebie jakieś zadanie.

Czując ulgę, że będzie miała trochę czasu tylko dla siebie, by oswoić się z myślą, że jej przyszłość stanęła na głowie, zgodziła się dostarczyć pudło *amorucci* do *trattorii* w Montechiello, jeszcze jednego małego miasteczka na wzgórzu, odległego o jakieś czterdzieści minut jazdy.

– Wasze pierwsze zamówienie – zauważyła, biorąc pudło. – Moje gratulacje.

– Na pewno trafisz do *trattorii*. – Violetta dosłownie wypychała ją za drzwi. – To jedyna *ristorante* w mieście.

Lily prawie nie pamiętała, jak tam dojechała, bo jedna myśl goniła drugą w zawrotnym tempie. Czy powinna teraz wrócić do domu w Nowym Jorku? Wydawało się to najstosowniejsze – musi udać się do specjalisty, zrobić wszystkie niezbędne badania. Naprawdę musi? Przypomniała sobie uśmiech, który kiedyś stałe gościł na jej twarzy. Zniknął na tak długo, a przywróciła go jej Toskania. Miała za co dziękować temu pięknemu zakątkowi świata.

Zaparkowała przed bramą do Montechiello i ruszyła pod górę do *trattorii*, niosąc pudło *amorucci*. Czerwone geranium przelewało się przez stary kamienny mur otaczający miasto, jaskrawozielono-żółta jaszczurka, wygrzewająca się w słońcu, pokazała jej język. Lily nie pozostała dłużna. Pogoda była idealna, słońce przyjemnie ogrzewało jej plecy, lekki wietrzyk chłodził twarz.

Pchnęła drzwi do restauracji. W środku nie paliło się światło, za kontuarem nie było nikogo, podwójne drzwi prowadziły na taras wychodzący na piękną dolinę, przez którą przed chwilą jechała.

– Halo! – zawołała i wyszła na taras. Poczowała zapach jaśminu, który piął się po kratce za nią.

Na skraju tarasu nakryto jeden stolik, biały obrus łopotał lekko na wietrze. Na stole stała butelka wina i dwa kieliszki. Za stolikiem siedział Daniel.

– Och, to ty! – zdziwiła się.

Roześmiał się i w tamtej chwili wyglądał tak jak Daniel, w którym się kiedyś zakochała. Trzeba przyznać, że miała przed sobą wersję z lekką skazą, trochę pomarszczoną, trochę przygnębiającą, ale nadal był to ten sam Daniel.

– Tak, to ja. Będzie to zbyt banalne, jeśli powiem, że powinniśmy przestać tak się spotykać?

Uśmiechnęła się i usiadła przy stoliku.

– Nigdy nie miałam nic przeciwko odrobinie banalności.

– Mam się tu spotkać z nowym producentem wina, jego żona zadzwoniła do mnie z samego rana. Ale przed chwilą nasza gospodyni powiedziała mi, że coś go zatrzymało. Zostawiła mnie z tą butelką, a sama pobiegła załatwić jakieś swoje sprawy. Wiem, że jest wcześniej, ale może napiłabyś się odrobinę?

Zamierzał jej nalać, ale Lily zasłoniła kieliszek dłonią.

– Nie, dziękuję.

– Jestem pewien, że znalazłbym białe, jeśli wolisz, albo prosecco. To nie szampan, ale...

– Nie, Danielu, naprawdę dziękuję. Nie piję.

– Nie pijesz?

Spojrzał na nią zatroskany, i właśnie wtedy zrozumiała, że go kocha, że miłość dominuje nad wszystkimi innymi uczuciami, i bez względu na to, co się wydarzyło, tylko od niej zależy, czy odepchnie te głązy, blokujące dostęp do jej serca. Może to zrobić, jeśli zechce.

I w ten leniwy, słoneczny poranek, gdy czuła nowe życie rozwijające się w jej łonie, dotarło do niej, że tego chce.

Nie była to najlepsza pora, oględnie mówiąc, ale teraz, kiedy spoglądała w przyszłość, a nie w przeszłość, znów nabrała pewności. Tak po prostu; miała pewność co do niego.

Naturalnie on mógł nie mieć takiej pewności co do niej, uwzględniając okoliczności, ale był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

– Naprawdę zawsze będziesz mnie kochał, Danielu, bez względu na wszystko?

Wyglądał na zaskoczonego, ale mimo to odpowiedział:

– Tak, będę.

– Nawet, jeśli zrobiłam coś, co na zawsze odmieni wszystko między nami?

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

– Uwierz mi, Danielu, że to jest możliwe. Właściwie mam co do tego stuprocentową pewność.

– Przerażasz mnie, Lily. Dobrze się czujesz?

– Czuję się dobrze, a nawet lepiej niż dobrze, ale musisz mi obiecać, że będziesz mnie kochał bez względu na wszystko.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, czym mogłoby być to „bez względu na wszystko”, ale tak, Lily, mówię to z pełnym przekonaniem: zawsze będę cię kochał.

– Bo wydaje mi się, że wiem, jak się czułeś, kiedy poznałeś Eugenię i dowiedziałeś się o Francesce. Gdy stwierdziłeś, że masz wszystko, czego pragnąłeś, ale z niewłaściwą osobą. Chyba to wiem.

– Bardzo mi przykro, Lily. Rozumiem, że nie chcesz tego więcej słuchać, ale to nie znaczy, że kiedykolwiek przestanę mi być przykro.

– Nie, Danielu, wszystko się zmieniło. To mnie jest przykro. Jestem w ciąży. – I nawet jego mina nie mogła zepsuć tego co czuła, wypowiadając te słowa.

– Poznałam tutaj kogoś. Nie kocham go, ledwo go znam. Wiem, pomyślisz, że to zrobiłam, by ci sprawić ból, ale to nieprawda. Nie myślałam o tobie, myślałam o... No cóż, nie wiem, o czym myślałam. I nie wiem, co będzie dalej, bo mam pracę w Nowym Jorku, ale nigdy nie byłam taka szczęśliwa jak teraz, piekąc *amorucci* z twoją córką. Nie wiem, dokąd powinnam pojechać ani co powinnam zrobić, ale nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że żałuję tego, co się stało, bo jestem w ciąży, Danielu. Jestem w ciąży i czuję, że tym razem się uda. Naprawdę. Chociaż nie mam nic na poparcie tego twierdzenia, powiem więcej, wszystko zdaje się świadczyć przeciw temu, wydaje mi się, że tym razem się uda.

Daniel wolno odstawił kieliszek na stół. Jakiś strąk z nasionami pękł z trzaskiem pod wpływem gorąca. Motocykl przemknął z warokotem na drodze w dole.

– Proszę, powiedz coś.

– Jestem w szoku, Lily. Co mam ci powiedzieć?

– Chcę, żebyś mi powiedział, że chociaż okropnie narozrabialiśmy, nadal mnie kochasz i chcesz mi pomóc, i razem jakoś znajdziemy wyjście z tej sytuacji.

– Chcesz, żebym się cieszył, że nosisz dziecko innego mężczyzny?

– W innych okolicznościach nawet by mi przez myśl nie przeszło prosić cię, żebyś się cieszył, że jestem w ciąży z innym mężczyzną. Ale w tej sytuacji właśnie o to cię proszę.

– Jezu, Lily, to...

– Niemożliwe? Tak, wydaje się niemożliwe. Ale wiesz co? Cieszę się, że masz Francescę. Naprawdę. Nigdy nie myślałam, że będę się tak czuła, i gdybym tu nie przyjechała, nigdy bym tego nie odkryła. Ale przyjechałam tutaj, dowiedziałam się, a co więcej, cieszę się, że ją mam. Chcę ci pomóc, Danielu. Wiem, że to nie jest idealna sytuacja, ale i tak lepsza niż była. Będziemy mieli rodzinę. Nie taką, o jakiej marzyliśmy, z całą pewnością nie tradycyjną, ale będziemy mieli rodzinę. Razem.

– Czuję się jak w potrzasku.

– Znam to uczucie – powiedziała łagodnie. – Różnica polega na tym, że siedzę tu przed tobą i ci o tym mówię. Nie dowiedziałeś się o tym, zaglądając do buta do gry w golfa. Obiecałeś, że mi pomożesz wybaczyć; cóż, przyjmuję twoją ofertę. A ja pomogę tobie wybaczyć mnie.

– Ale wybaczenie nie działa w taki sposób. Zapomniałaś?

– Powinno. Nie zapomniałam.

Spojrzał na nią nad stolikiem, zielone wzgórza Toskanii stanowiły tło dla jej ślicznej twarzy, maska, za którą się ukrywała przez tyle lat, spadła, i oto miał ją przed sobą taką, jaką zawsze widział w swoich marzeniach.

Kobieta, z którą tyle razem przeszedł i tyle stracił, rozkwitała na jego oczach. Czy to się uda? Ten osobliwy melanz niespokrewnionych ze sobą dzieci i psychicznie okaleczonych rodziców? Jego żona nosiła dziecko innego mężczyzny, co tak dotkliwie go zraniło, że nie był pewien, czy ta rana kiedykolwiek się zagoi. Nie wiedział nawet, czy tego chce. Ale przecież właśnie tego oczekiwał od niej. Teraz patrzyła na niego z taką pewnością siebie, z taką wiarą, patrzyła

tak, jak wiele lat temu, kiedy spoglądali w przyszłość z niezachwianą nadzieją, wierząc, że osiągną wszystko, czego pragną.

Prawdę mówiąc, jeśli pominąć wszystkie pomyłki, jakie popełnili, nadal czuł do niej to samo. Ale teraz było jeszcze dziecko i zostanie z nimi na zawsze, przypominając, jacy byli głupi i ile cierpień to przysporzyło.

– Wiem, co sobie myślisz. Uważasz, że to za dużo, że to zbyt bolesne, że nie dasz rady. Ale, Danielu, jestem chyba jedyną osobą na świecie, która wie, że cię na to stać. Może nie w tej chwili, może nie w tym tygodniu. Ale stać cię na to. Kochasz mnie, chcesz mi pomóc, razem znajdziemy wyjście z tej sytuacji.

– Nie wiem – odparł. – Naprawdę nie wiem, Lily.

Wyciągnęła ręce nad stołem i ujęła jego dłonie.

– Nie szkodzi – powiedziała. – Ja wiem.

Nad *trattorią* Violetta, Luciana i Fiorella odsunęły się od okna, przez które przyglądały się ukradkiem temu, co się działo na tarasie w dole.

– To chwila – szepnęła Luciana – na którą wszystkie czekałyśmy.

– Jesteś pewna? – spytała Violetta. – Daniel ma dziwną minę.

– Już zapomniałaś, jak wygląda zakochany mężczyzna? – syknęła Fiorella.

– W imię świętej Anny di Chisa, to była ta chwila, Violetto – powtórzyła Luciana. – Z całą pewnością.

– Powinnaś iść do okulisty – oświadczyła Fiorella. – Uwierz nam, twój plan się powiódł.

Violetta spojrzała na Fiorellę, a potem na swoją siostrę. Nie ufała im.

– Cóż, nie zakończył się fiaskiem – doszła do wniosku.

Rok później w pierwszą niedzielę lipca Lily zaraz po przebudzeniu rozsunęła zasłony w swoim mieszkaniu. Był kolejny śliczny dzień w Montevedovie – i bardzo dobrze, bo dziś inaugurowali uroczyste obchody ku czci świętej Anny di Chisa.

Wielką *festę* planowano od miesięcy, było dużo do zrobienia, bo główny akcent stanowiły *amorucci*, a musiały upiec ich jeszcze sporo.

Ale najpierw Lily zrobiła to, co robiła każdego ranka przez ostatnie cztery miesiące. Podeszła na paluszkach do kołyski w kącie pokoju i zajrzała, czy synek się obudził. Ten zwyczaj, który wydawał jej się teraz czymś tak naturalnym jak mruganie czy oddychanie, zawsze przepelniał ją błogim uczuciem zadowolenia, szczęścia, poczuciem, że jest dokładnie tu, gdzie chce być. Idealny sposób rozpoczęcia nowego dnia.

Matteo – otrzymał imię włoskiego sąsiada Daniela z czasów dzieciństwa – nie spał, leżał zadowolony na pleckach, na widok matki zmrużył swoje duże, brązowe oczy, wyciągnął do niej grubiućkie rączki, przebierając paluszkami.

Wzięła go na ręce, pocałowała wałeczki tłuszczu na rączkach, dołeczki w kolanach, mięciutkie, śniade policzki, a potem uniosła go w górę i głośno pocałowała w ciepły, tłuszczutki brzusek. Zapiszczał z zachwytu, wierzgając radośnie nóżkami. Lily wiecznie mogła słuchać tego odgłosu.

Daniel usiadł na łóżku, żeby spojrzeć na swoją żonę i dziecko na tle okna, za którym Toskania powoli budziła się ze snu.

Niemowlę odwróciło się w jego stronę, wyciągnęło tłuszciki rączki, przebierało paluszkami, piszcząc. Lily podała go Danielowi, żeby mógł go przytulić, jak to robił każdego ranka.

– Nakarmię go – powiedziała. – A potem muszę iść do *pasticerii*, mógłbyś go popilnować do następnego karmienia, a potem mi go przynieść?

– Co ty na to, Matteo? – spytał Daniel niemowlaka. – Zajmiemy się męskimi sprawami, kiedy staruszka będzie zajęta w kuchni? – Matteo zamachał rączkami i nóżkami, co zostało uznane za odpowiedź twierdzącą.

Lily przyglądała się mężowi i synkowi, moszczącym się w pościeli. Daniel zachowywał się tak naturalnie, był takim kochającym, praktycznym ojcem, że codziennie od nowa ją to zdumiewało. On ją zdumiewał.

Nie było to łatwe – przypuszczała, że wybaczenie nigdy nie jest łatwe – ale w ciągu ostatniego roku udało im się tyle rzeczy zostawić za sobą, że teraz znów liczyło się tylko to, co ich czeka w przyszłości.

Pojechała do Nowego Jorku tylko raz, w pierwszym trymestrze ciąży, żeby zobaczyć się z Rose, zgłosić się na badanie do swojego ginekologa, złożyć wymówienie u Heigelmana i zabrać kilka rzeczy z mieszkania.

Potem z łatwością zrezygnowała z dawnego życia, ani razu nie obejrzała się za siebie.

Toskania to jej przynoszący szczęście talizman, Montevedova stała się jej domem. Teraz najważniejszym zajęciem było macierzyństwo, pieczenie *amorucci* i pomaganie Danielowi w stworzeniu nowej firmy, eksportującej wina stołowe do Stanów.

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby być szczęśliwsza, bardziej kochana czy bardziej zakochana. Na myśl o tym dostawała gęsiej skórki, łzy napływały jej do oczu, a serce rosło. A myślała, że już nigdy czegoś takiego nie doświadczy.

– Nie muszę ci tego mówić, prawda? – Pocałowała męża i syna, oczy jej błyszczały.

– Nie, nie musisz. – Daniel się uśmiechnął. – Zmykaj do pracy. Matty i ja musimy wymienić się opiniami o wyścigach samochodowych i lokalach ze striptizem.

Kiedy Lily szła z ich nowego mieszkania do *pasticcierii*, sztandary ze świętą Anną di Chisa, wywieszane za okna, trzepotały na ciepłym letnim wietrze.

Festa to był jej pomysł, na który wpadła, kiedy Matteo był jeszcze wielkości główki od szpilki.

– Kim dokładnie jest święta Anna di Chisa? – spytała pewnego dnia Violetę, kiedy robiła partię *amorucci* ze skórką pomarańczową i orzeszkami piniowymi. – Ciągle słyszę jej imię.

– Ja też zadaję sobie to pytanie – dołączyła się Fiorella, jeszcze jedna żwawa staruszka z miasteczka, która już od jakiegoś czasu mieszkała w dawnym pokoju Lily na górze. Też świetnie знаła angielski.

– To może być trudne – odezwała się wdowa Ciacci po włosku do Luciany. Niemal wiecznie sterczała w otwartym oknie, bardziej smakowały jej *amorucci* teraz, kiedy nie groziło, że się spalą.

– Nie wiesz? – zwróciła się Lily do Fiorelli. – Mam wrażenie, że była kimś wyjątkowym.

– Próbowałam znaleźć coś o niej w Internecie, ale na próżno.

– Jest świętą patronką owdowiałych cerowaczek – oświadczyła Violetta.

– Naprawdę? – zdumiała się Fiorella.

– Przekonajmy się, jak sobie poradzi – powiedziała Luciana do wdowy Ciacci.

– Nigdy bym nie pomyślała, że jest dość owdowiałych cerowaczek, by mieć swoją własną świętą patronkę – zauważyła Lily.

– Tu w Montevedovie stworzyły ligę – przypomniała Violetta. – I może w innych miastach też są podobne organizacje. Spotykamy się, rozmawiamy, naprawiamy, co trzeba.

– I właśnie tym zajmujecie się na dole?

– Gdzie na dole? – spytała Violetta, utkwivszy w niej wzrok.

– Więc skąd się wzięła święta Anna di Chisa? – Fiorella gładko zmieniła temat. – Kiedy jest jej święto?

– No właśnie, muszą być jakieś obchody ku jej czci – stwierdziła Lily. – Albo święto.

– Nie ma swojego własnego dnia – wyjaśniła Violetta. – To nowa święta.

– Skąd się biorą nowe święte patronki? – zainteresowała się Lily.

– Nie było żadnej, kiedy zaczęłyśmy szukać – przyznała Violetta. – Jest święta Anna od szycia, ale nie było żadnej od cerowania. Przez jakiś czas uważałyśmy, że święta Katarzyna Genueńska by się nadała, ale zrezygnowałyśmy z niej, kiedy się okazało, że Genueńczycy przypisują sobie wymyślenie pesto, gdy wszyscy wiedzą, że pesto stworzono tutaj w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, ale nikomu nie smakowało, więc tego nie rozgłosili.

– Pesto robi się z *basilico*? – zaciekała się wdowa Ciacci. – Mar-notrawstwo *parmiggiano*, jeśli ktoś chce znać moje zdanie.

– Co powiedziała? – zapytała Lily.

– Opowiedz jej o świętej Rycie z Cascii – zaproponowała Luciana.

– Nieżyjąca już wdowa, która kiedyś była członkinią naszej ligi – zaczęła Violetta – uważała, że święta Ryta z Cascii byłaby idealną patronką. Ale potem się dowiedziałyśmy, że święta Ryta z Cascii miała stygmaty, ranę na czole, od której bił bardzo nieładny zapach. Dlatego żyła samotnie niemal do samej śmierci. Ale odkąd umarła, jej ciało roztacza słodką woń bułeczek cynamonowych.

Fiorella spojrzała na nią.

– I?

– A ta nieżyjąca już wdowa lubiła bułeczki cynamonowe.

Nawet Fiorella oniemiała, słysząc to.

– Jak więc natknęłyście się na świętą Annę di Chisa? – chciała wiedzieć Lily.

– Nie można powiedzieć, że się natknęłyśmy – odparła Violetta.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jeśli chcemy mieć *festa* albo święto, musimy je zorganizować wtedy, kiedy ojciec Dominico akurat wyjedzie do Watykanu. W przeciwnym razie możemy mieć kłopoty.

– Kłopoty? – odezwała się Fiorella. – Och, rozumiem. I bardzo mi się to podoba! – Zaczęła skakać po kuchni jak żabka.

– Co rozumiesz? – Lily wyciągnęła rękę, żeby ją powstrzymać.

– Święta Anna to patronka szwaczek – powiedziała Fiorella po włosku między jedną a drugą salwą śmiechu. – A Chisa wzięło się od „*chi sa*”.

- *Chi sa?* O czym wy mówicie?
- Kto wie! – krzyknęła Fiorella, wciąż w swoim ojczystym języku.
- *Chi sa*, czyli kto wie. Violetto, jesteś genialna. Wymyśliłaś świętą patronkę ligi!
- Cóż, nikt nie potrafił nam żadnej znaleźć – odpowiedziała Violetta po włosku.
- Co mówicie? – dopytywała się Lily. Uczyła się włoskiego, ale jeszcze słabo знаła język. – Nic nie rozumiem.
- Święta Anna di Chisa jest blondynką, jak ty – uzupełniła informację Violetta. – Ale nie jest taka wysoka.
- I postanowiły, że dzień świętej Anny di Chisa będzie obchodzony w pierwszą niedzielę lipca, a ponieważ był to pomysł siostr Ferretti, *dolci* patronki zostaną *amorucci*.
- Pół godziny po tym, jak pocałowała swojego synka na pożegnanie w dniu pierwszej *festy*, Lily całowała swoją siostrę na powitanie przed *pasticceria*.
- Nie mogę się przyzwycząić, tu wszystko wygląda tak cholernie ślicznie – mówiła Rose. – Nawet Al wygląda ostatnio cholernie dobrze. Kto wie? Myślałam, że mamy to już za sobą.
- Gdzie on jest? – spytała Lily.
- Pracuje przy gondoli razem z Alessandrem. Mam okropne przeczucie: skończy się na tym, że łódź znajdzie się na podwórku w Connecticut.
- Cóż, przynajmniej jesteście bliżej wody – zauważyła Lily, obejmując siostrę. – Bardzo dziękuję, że przyjechaliście, Rose.
- Żartujesz sobie? Letnie wakacje w Toskanii? Przyznaję, że początkowo nie chciałam zabrać ze sobą rodziny, ale przysięgam, z każdym dniem dzieciaki stają się cudowniejsze, i Al jakby mniej przeterminowany. To chyba zasługa tutejszego powietrza.
- Wciągnęły powietrze nosem.
- Woda różana i migdały – rozpoznała Lily. – Dzieci już są w kuchni?
- Jasne. Staruszki wyszły i je porwały.
- Dzwonek w drzwiach zabrzączał, kiedy Lily je otworzyła i weszła do środka.
- Wejdiesz? – zapytała siostrę.

– Och, nie, uznaję twoją niekwestionowaną przewagę w kuchni. – Rose uśmiechnęła się. – Pospaceruję sobie na włoskim słońcu w towarzystwie jedynie dużego ciastka, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Do zobaczenia na *piazza*?

– Do zobaczenia na *piazza*.

Serce Lily przepelniło jeszcze większe szczęście, kiedy weszła do kuchni i zobaczyła dzieci, zgromadzone wokół dużego, starego stołu.

Jack i Harry jak zwykle kłócili się, ale również rywalizowali o uwagę Franceski, wpatrującej się z zachwytem w Emily i Charlotte, które były oszołomione niezwykłą urodą Ernesta.

Violetta, Luciana i Fiorella siedziały w kącie, plotkując po włosku, na co miały znacznie więcej czasu, odkąd Lily przejęła stery w *pasticcerii*.

Siostry Ferretti były w wyjątkowo dobrym humorze. Ponieważ *pasticceria* przynosiła coraz większe zyski, stworzyły fundusz i obie mogły sobie pozwolić na drogie leki na artretyzm, więc poruszały się zwinniej. Violetta chodziła sprężystym krokiem, a to dzięki stentowi w sercu, które, o czym nie wiedziała, od wielu lat było przyczyną bólów w klatce piersiowej. I obie miały nowe sztuczne szczęki.

Odbyło się wiele spotkań w salce, do której wiodły tajemne schody – o ich istnieniu Lily nie powinna nic wiedzieć. Podczas tych spotkań dyskutowano, na co jeszcze należy przeznaczyć pieniądze z funduszu zdrowia. Lily zauważyła, że parę staruszek, które często widywała wokół żłobkowanych mis w *pasticcerii*, miało teraz nowe, białe zęby, parę nosiło też aparaty słuchowe.

Siostry Ferretti, Fiorella i jeszcze kilka cerowaczek czuły się zdrowo, planowały wyjazd do Cremony, by poszerzyć swoje horyzonty. Było to miejsce urodzenia Stradivariusa, a odkąd lepiej słyszały, szczególnie lubiły muzykę skrzypcową.

Nastawiły ją teraz w kuchni, chociaż trudno było cokolwiek dosłyszeć przez gwar dzieci, robiących *amorucci*.

Jedenastoletni Jack najpierw sceptycznie podchodził do pomysłu z pieczeniem, ale lubił eksperymentować z właściwą proporcją poszczególnych składników, by uzyskać jak najlepszy wynik,

i potrafił nakłaniać inne dzieci do robienia tego, czego od nich chciał.

Harry miał słabość do noży, więc lubił siekać składniki, ale trzeba go było pilnować, bliźniaczki robiły to, co im kazał Jack, chyba że akurat opiekowały się Ernestem, którego nie interesowało, co się dzieje w kuchni, ale ubóstwiał, jeśli ktoś się nim zajmował.

Francesca dała jasno do zrozumienia, że ona jest od wycinania foremką serc, chociaż czasem pozwalała to robić swoim „kuzy-nom”.

Przez następne dwie godziny Lily nadzorowała grupkę dzieci, które wyrabiały ciasto, piekły, schładzały, wykrawały, znów piekły, wykrawały i degustowały, więc kiedy Daniel pojawił się z Mat-tym, ostatnie *amorucci* były gotowe do zapakowania i zanieśienia na *piazza* na *festę*.

Potem Lily razem z mężem ruszyła pod górę. Byli obładowa-ni pudłami, otoczeni gromadką przejętych dzieci. Kiedy dotarli na *piazza*, stwierdzili, że przemieniła się w tętniący życiem plac targowy; w samym środku znajdował się stół w kształcie serca, już zastawiony żłobkowanymi misami, pełnymi *amorucci*. Na pomysł stołu wpadła Carlotta i ona go udekorowała. Okazało się, że ma zdol-ności plastyczne, na dobre rozstała się z braćmi Borsolini, żeby niańczyć Francescę i Ernesta, a także pomagać w *pasticcerii*.

Jedno z czterech stoisk z winem należało do Alberta. Były dwa kramy z pecorino, cztery z salami, dwa z wyrobami kaszmirowymi, trzy z pamiątkami, trzy z wyrobami lnianymi, po jednym z odświeża-czami powietrza i z *gelati* Maria, pięć ze świeżym makaronem, sześć z warzywami i owocami, stoisko informacji turystycznej i Polizia-no. O dziwo, bracia Borsolini nie dostali żadnej informacji o *festicie* ani nie zapraszano ich na spotkania, na których planowano świę-to. Brakowało również miejscowego proboszcza, ojca Dominico, wezwanego do Watykanu na spotkanie z papieżem, które z niewy-jaśnionych przyczyn nigdy nie doszło do skutku.

Przez dwie godziny Lily obsługiwała stoisko, kiedy miejscowi i tury-ści częstowali się darmowymi *amorucci* w misach, a potem kupowali je, by zabrać do domu. Violetę i Lucianę będzie stać na bioniczne kończyny z utargu na pierwszej *festicie* świętej Anny di Chisa.

Tłumy zaczęły się przeredzać. Patrząc na *piazzę*, Lily zapomniała o bolących nogach, kiedy zobaczyła swoją siostrę i Ala przy stoisku Maria z *gelati*. Jemu też interes szedł świetnie – *gelato* o smaku *amorucci* cieszyły się większą popularnością nawet od potrójnie czekoladowych. Francesca wpadła na pomysł, żeby dodawać to, co zostało po wykrojeniu serc z *cantucci*, do lodów, i mówiąc fachowo, okazało się to strzałem w dziesiątkę.

Rose i Al stali obok siebie, zaśmiewając się z tego, co opowiadał Mario, i wcale nie przypominali bladych, nerwowych istot, nieodzywających się do siebie od miesiąca, które wysiadły z samolotu.

Harry, Jack i Francesca ścigali się wokół studni, bliźniaczki bawiły się z Ernestem, a Daniel, siedząc w cieniu z Mattym, rozmawiał z Alessandrem. Okazało się, że znali się, nim Lily pojawiła się na scenie, bo Alessandro był jednym z małych producentów wina, którego Daniel chciał reprezentować.

Lubili się, co okazało się wielce pomocne, gdy Lily powiedziała Alessandrowi, że jest z nim w ciąży, ale chce zostać ze swoim mężem. Był zaszokowany, ale nigdy nie miał pretensji ani nie rościł sobie praw do syna. Zgodził się stać z boku, pozwolił Danielowi być ojcem dziecka i pełnić w przyszłości taką rolę, jaką wyznaczycie mu Lily.

– Nie jestem najlepszym z ojców – wyznał – ale wiem, że ty będziesz cudowną matką. – Spotykał się teraz ze śliczną, młodą panią doktor z Montalcino. Lily miała nadzieję, że nie tylko będzie się z nią spotykał.

– Sprzątnijmy *amorucci* ze stołu i przygotujmy obiad – zaproponowała Carolcie, obserwując różnych członków swojej pozszywanej rodziny w różnych punktach *piazza*. Wkrótce wszyscy zasiedli za wielkim stołem w kształcie serca, jedli, pili, rozmawiali i śmiali się, nakładając na talerze spaghetti z anchois, karmelizowaną cebulą i bułką tartą; orecchiette w zawiesistym sosie bolońskim; fettuccine z cytryną, ostrą papryką i pecorino; smażone kwiaty cukinii, nadziewane trzema różnymi serami; bakłażany ociekające oliwą z czosnkiem; i chrupiącą ciabattę.

Lily siedziała między Rose a Danielem, maleńkiego Mattea podawano sobie z rąk do rąk niczym milutką zabawkę. Na chwilę znalazł

się nawet w ramionach Eugenii, bladej i nerwowej, ale jednak wśród nich. Siostra była jej podporą, a dzieci znajdowały się w dobrych rękach. Alessandro siedział naprzeciwko Lily, jego pewna siebie i silna przyjaciółka Angelica obok. W przeciwieństwie do niego nie przejmowała się tym, co wydarzyło się dawno temu. Po jego drugiej ręce były dwa wolne krzesła, na których co rusz przysiadło któreś z dzieci, co wywoływało lekki niepokój u Lily, póki nie dojrzała przez plac jeszcze jednej młodej kobiety z trzyletnim chłopczykiem, nieśmiało zbliżającej się do hałaśliwej grupy.

– Siadajcie, siadajcie, czekałam na was – zawołała, wskazując im miejsca obok Alessandra.

– Słuchajcie wszyscy, to jest Sophia i jej syn Massimo.

Alessandro wstał, kiedy jego córka usiadła obok niego i posadziła sobie chłopczyka na kolanach. Lily domyślała się, że Alessandro ma ochotę odejść od stołu, ale wiedziała również, że tego nie zrobi. Był przywoitym człowiekiem. Wolno usiadł i przedstawił swoją córkę przyjaciółce. Kiedy Lily znów na niego spojrzała, Massimo siedział mu na kolanach.

– Obserwuję cię, Lily Turner. – Daniel podał jej Mattea. – Obserwuję cię.

– Wiem o tym. – Uśmiechnęła się i pocałowała synka w czubek główki, po raz tysięczny dochodząc do wniosku, że na całym świecie nic ładniej nie pachnie od niego.

Potem kątem oka zobaczyła, że Mario zwija swój kram.

– Poproś Ala, żeby zamienił się miejscem z jednym z dzieci, dobrze? – powiedziała do Rose i posadziwszy sobie śniadego bobasa na biodrze, podeszła do Maria, a po chwili wróciła z nim do stołu i wskazała mu wolne krzesło obok Carlotty. Siedzieli tak blisko, że dotykali się łokciami. Oboje byli nieśmiali i uparci, ale Lily uważała, że są dla siebie stworzeni i pewnego dnia to zrozumieją.

Garstka staruszek w cieniu *duomo* przyglądała się temu błyszczącymi oczami przez okulary o różnej grubości szkieł.

– Niech święta Anna di Chisa pozwoli żyć Danielowi długo i w zdrowiu – życzyła Violetta. – Ale pewnego dnia Lily zostanie niesamowitą wdową – przypomniała jej Luciana.

– Wcale nie musi zostać wdową – przypomniała jej Luciana.

- Ani umieć cerować - dodała Fiorella. - Nie ma znaczenia, jak się pozbyć dziury, prawda? Byle jej się pozbyć.

- Zacerowana skarpetka z całą pewnością na dłużej starcza - stwierdziła Violetta, częstując kobiety *amorucci* o smaku chilli i czekolady. - Prawdę mówiąc, czasami cera jest najmocniejsza w całej skarpetce.

- Wyobrażam sobie, że może się stać ulubioną częścią skarpetki - podsumowała Fiorella. - Nawet jeśli na początku wydaje się, że nie pasuje do reszty.

Spojrzała na Violetkę, która się uśmiechnęła.

- Dzięki niech będą świętej Annie di Chisa - powiedziała, a przyjaciółki przyznały jej rację.

- Dzięki niech będą świętej Annie di Chisa!

PODZIĘKOWANIA

Im jestem starsza, tym większej liczbie osób muszę dziękować, ale coraz gorzej pamiętam, komu i za co. Co się dzieje? Dlatego dziękuję wszystkim wszędzie za wszelką pomoc. Potrzebowałam jej, i w tym miejscu mogę jedynie przeprosić, że nie podziękowałam za nią osobiście.

Jedną osobą, której nigdy nie zapomnę wyrazić wdzięczności, jest moja najdroższa przyjaciółka Bridget, która podzieliła się ze mną opowieścią o malutkim Stanleyu, noworodku, którego tuliła w ramionach tylko przez sześć dni, kiedy to jego biologiczna matka zmieniła zdanie i poprosiła, żeby go oddać. Takie trudne dni... Później pojawiło się drugie maleństwo, Stella, co uszczęśliwiło i nadal uszczęśliwia Bridget i wiele innych osób.

Moja kuzynka Frances Kennedy z Rzymu zasłużyła sobie przynajmniej na wielkiego całusa za to, że jest taką fajną babką i niezawodnym wsparciem, i za pokazanie mi Montepulciano, prawdziwego tokańskiego miasteczka na wzgórzu, które mi posłużyło za pierwowzór dla Montevedovy. Jedźcie tam – wygląda tak, jak je opisałam, z wyjątkiem *pasticcerii*, chociaż w pobliskim Montalcino jest fantastyczna cukiernia Mariuccia. Zaopatrzcie się w *dolci*, a potem wybierzcie się do opactwa świętego Antyma, żeby posłuchać chorałów gregoriańskich w wykonaniu mnichów. Dla mnie to coś, co nazywam dniem na wsi.

Toskania jest olśniewająco piękna – mówią wszyscy – i dzięki niech będą świętej Annie di Chisa za pomoc w namówieniu mojej australijskiej przyjaciółki, Ronnie, by towarzyszyła mi podczas mojego drugiego tam pobytu, żeby nie dokuczała mi samotność.

Jeszcze gorętsze podziękowania należą się jej mężowi, Raoulowi, który – o czym kompletnie zapomniałam – mówi po włosku (poza tym gotuje, sprząta i prowadzi samochód). Jak bez niego znalazłybyśmy sklep detaliczny Prady? Dwa GPS-y, dwa przewodniki i mapa z całą pewnością by nie wystarczyły.

Podczas tej wyprawy zostawiłam swojego własnego męża, Marka Robinsa, w domu. Był zajęty przy budowie wielkiej łodzi, „Wędrowca do Świtu”, do trzeciego filmu na podstawie „Opowieści z Narnii”. Uznałam, że nie mogę go odrywać od pracy, zajmującej mu dwaście godzin dziennie, żeby mi towarzyszył w podróży po Toskanii w granatowym fiacie 500.

W przeciwieństwie do świętej Anny di Chisa, Mark Robins jest prawdziwym świętym.

Jak zwykle chciałabym podziękować swojej cudownej agentce, Stephanie Cabot. Gdyby nie ona, może wciąż siedziałabym w biurze i pisała o cellulicie na udach hollywoodzkich gwiazd filmowych. Dziękuję również Denise Roy, mojej zdumiewającej redaktorce z Plume, za to, że zmusza mnie do bardziej intensywnej pracy niż ta, do której z natury jestem stworzona. Mam nadzieję, że doceniasz wyniki, tak samo jak ja doceniam możliwość współpracy z taką świetną osobą.

Ale najserdeczniejsze podziękowania należą się czytelnikom, nieprzestającym mi ślać mejli, w których piszą, że lubią moje książki. Większość czasu siedzę w domu sama przed komputerem, w połowie pisania kolejnej książki, mając do towarzystwa tylko psa i może coś słodkiego. Bywa, że łapię się za głowę i zastanawiam się, co ja najlepszego robię. Czasami sporządzam listę innych zajęć, którym mogłabym się poświęcić, chociaż wywołuje to przygnębienie, bo nie ma wiele ofert pracy dla kontrolerów pięciogwiazdkowych ośrodków wypoczynkowych ani degustatorów czekolady.

Potem, kiedy zaczynam poważnie rozważać, co mogłabym robić w cyrku – a nie powinna to być praca na wysokościach ani na nocną zmianę – słyszę sympatyczne, ciche „dzyń”, informujące o nadejściu nowego mejla. Bardzo często to list od kogoś, kto poświęcił czas i zadał sobie trud, by mnie poinformować, że właśnie skończył czytać coś mojego autorstwa i mi dziękuje.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo raduje to moje serce. „Ej, dyrekcyjno cyrku, poszukaj sobie innej grubej baby czy kobiety z brodą – wołam. – Wsadźcie sobie swoje pięciogwiazdkowe ośrodki tam, gdzie słońce nie dochodzi. Natychmiast zabierajcie te trufle z ciemnej czekolady. Nie muszę ich degustować!”*

Więc tym, którzy już do mnie napisali, *grazie*; sprawiacie mi wielką radość. A tych, którzy się jeszcze ze mną nie skontaktowali, ale sądzą, że może by chcieli, zapraszam do odwiedzenia mojej strony internetowej, www.sarah-katelynch.com, z której możecie mi wysłać mejla. Czekaam na wiadomości od was.

À propos, ta opowieść, ta książka jest o leczeniu złamanego serca. Jeśli nigdy nie mieliście złamanego serca, możecie się uważać za szczęśliwców. Jeśli mieliście, cóż, nie zapominajcie, że nie jesteście sami. Wiem, że jedne przypadki są trudniejsze od innych, ale wiem również, że wszyscy się doczekają szczęśliwego zakończenia, jeśli, jak mówi Dzwoneczek, w to wierzymy. I jeśli szukamy tam, gdzie trzeba.

* Prawdę mówiąc, nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała.